

STANISŁAW LEM

WIELKOŚĆ UROJONA

WSTĘP

Sztuka pisania wstępów od dawna domaga się indygenatu. Od dawna też oblegała mnie potrzeba zadośćuczynienia temu piśmiennictwu pod zaborem, które milczy o sobie od czterdziestu wieków — w niewoli dzieł, do jakich je przykuto. Kiedyż, jeśli nie w epoce ekumenizacji, to jest wszechracji, należy wreszcie obdarzyć niepodległością ten gatunek szlachetny, kielznany w powiciu? Liczyłem wszakże na to, że ktoś inny wypełni tę powinność, nie tylko estetycznie zgodną z rozwojowym kierunkiem sztuki, ale moralnie wprost naglącą. Niestety przeliczyłem się. Próżno patrzę i czekam: nikt jakoś nie wyprowadza Wstępopisarstwa z domu niewoli, z kieratu pańszczyźnianych służb. A więc nie ma rady: muszę sam, jakkolwiek z poczucia obowiązku raczej, niż z odruchu serca, pospieszyć z pomocą Introdukcyjście — zostać jej wyzwolicielem i akuszerem.

Ma ta ciężko doświadczona dziedzina swoje państwo dolne, Wstępów najemnych, pociągowych, zaciężnych i zgrzebnych, albowiem niewola deprawuje. Zna też zadufanie i narymność, gest zdawkowy i zadęcie jerychońskie. Oprócz szeregowych, wstępów istnieją też szarże — jako Przedmowy i Wprowadzenia, a i zwykle Wstępy nie są sobie równe, bo czymś innym jest wstęp do książki własnej, innym zaś — do cudzej. Także poprzedzić nim pierwsze wydanie to coś innego, aniżeli wkładać trud w pomnażanie wstępów do wydań licznych a kolejnych. Moc zbioru wstępów, nawet nijakich, którą obrosło dzieło, namolnie wciąż wydawane, obraca papier w opokę, porażającą knowania Zoilów — któż bowiem ośmielił się zaatakować książkę z takim przedpiersiem pancernym, spoza którego już nie tyle treść jej widać, ile takowej szacowność nietykalną!

Wstęp bywa zapowiedzią powściągliwą z dostojęstwa lub dumy, oblikiem sygnowanym przez autora, to znów — wymuszoną przez konwenans, pobieżną, choć i przyjazną — manifestacją symulowanego w gruncie rzeczy zaangażowania się jakiegoś autorytetu w książkę: więc jej listem żelaznym, gładkim, przepustką do wielkiego świata, wiatykiem z możliwych ust — chwytem daremnym, który ciągnie w górę to, co i tak utonie. Niewypłacalne są te weksle — i tylko rzadko który sypnie złotem, a jeszcze procentami obrodzi. Lecz wszystko to pominę. Nie zamierzam wdawać się w taksonomię Introdukcyjistyki ani nawet w elementarną klasyfikację tego postponowanego dotąd, na kantarach trzymanego rodzaju. Cuganty czy chabety — jednako w nim zaprzęgiem chodzą. Niechże się Linneusz zajmą tą pociągową stroną rzeczy. Nie takim wstępem poprzedzam moją małą antologię Wstępów Wyzwolonych.

Wypada tu zastąpić do głębi. Czym może być wstęp? Zapewne — reklamiarstwem łączącym w żywe oczy, ale również — wołaniem na puszczy Jana Chrzciciela czy Rogera Bacona. Refleksja wskazuje nam więc, że oprócz Wstępów do Dzieł istnieją Dzieła–Wstępy, albowiem tak Święte Księgi wiar wszelkich, jak tezy i futuromachie uczonych są Przedmowami — do Tego i Tamtego świata. Namysł zdradza więc, że Państwo Wstępów jest nieporównanie rozleglejsze od Państwa Literatury, co ona bowiem ziścić usiłuje, to Wstępy tylko zapowiadają — z oddali.

Odpowiedź na już nabrzmiewające pytanie — po kiego licha trzeba się wdawać w walkę o wyzwolenie wstępów i proponować je jako suwerenny gatunek pisarski, prześwituje z dopiero co powiedzianego. Można jej udzielić albo jak z bicia strzelił, albo przywołując na pomoc wyższą hermeneutykę. Najpierw da się ten projekt uzasadnić bezpatetycznie — z liczydłem w ręku. Czy nie zagraża nam potop informacyjny? I czy nie w tym jego potworność, że on piękno pięknem miądzy, a prawdą prawdę unicestwia? A to, ponieważ głos miliona Szekspirów jest taką samą wrzawą i wściekłym hałasem, jak głos stada bawołów na stepie lub bałwanów na morzu. Tak miliardowe sensory, zderzając się, nie honor przynoszą myśli, lecz zgubę. Czy w obliczu takiej fatalności nie jest już tylko Milczenie zbawienną Arką

Przymierza Twórcy z Czytelnikami, skoro pierwszy zdobywa zasługę, powstrzymując się od snucia treści jakichkolwiek, a drugi — przyklaskując tak okazanej rezygnacji? Zapewne... i można by powstrzymać się od pisanie nawet samych wstępów, lecz wówczas akt objawionej powściągliwości nie będzie dostrzeżony, tedy i ofiara nie przyjęta. Toteż są moje Wstępy zapowiedziami takich grzechów, od których się powstrzymam. To — na planie kalkulacji zimnej i czysto zewnętrznej. Lecz rachuba nie wyjawia jeszcze, co Sztuka zyska na ogłoszonych wyzwolinach. Wiemy już, że i niebieskiej manny nadmiar działa kamieniująco. Jak się od niego ratować? Jak ocalić ducha od samozagwoźdżenia? I czy doprawdy właśnie tutaj ocalenie, właśnie przez Wstępy dobra droga prowadzi?

Przywołany doktor świetlisty, z hreczkosieja hermeneutyk, Witold Gombrowicz, tak by rzecz wyłożył. Nie o to idzie, czy komukolwiek, a choćby i mnie, pomysł uwolnienia Wstępów od Treści, jakie mają zapowiadać, podobał się — albo i nie podobał. Podlegamy bowiem bezapelacyjnie prawom Ewolucji Formy. Sztuka nie może stać na jednym miejscu ani powtarzać się w kółko: właśnie przez to nie może się tylko podobać. Jeśli zniosłeś jajo, musisz je wysiedzieć; jeśli wylągł ci się z niego ssak miast gada, trzeba mu dać coś do possania: jeżeli więc kolejny krok doprowadza nas do tego, co budzi powszechną niechęć, a nawet stan przywomitalny, nie ma rady: dopracowaliśmy się już Tego Właśnie, już tak daleko dopchaliśmy i dociągnęli samych siebie, więc z wyższego niż przyjemność nakazu przyjdzie nam obracać w oku, w uchu, w umyśle — Nowe, kategorycznie zaaplikowane, bo zostało odkryte na drodze hen wzwyż — tam, gdzie nikt wprawdzie nie był i bywać nie chce, skoro nie wiadomo, czy da się Tam choć przez chwilę wytrzymać — lecz, zaiste, dla Rozwoju Kultury nie ma to najmniejszego znaczenia! Lemat ten, z dezynwolturą, właściwą nonszalanckiej genialności, każe nam jedną — starą — spontaniczną, więc nieświadomioną niewolę — na nową zamienić; nie rozcina pęt, lecz tylko lonżę nam wydłuża; jakoż gna nas w Niewiadome, zwąc wolnością — zrozumianą konieczność.

Lecz ja, wyznając uczciwie, innego łąknę uzasadnienia dla herezji i buntu. Powiadam tedy: jest poniekąd prawdą to, co się rzekło po pierwsze i po wtóre, lecz nie całą prawdą — i nie całkiem podobną do musu, albowiem, po trzecie, możemy zastosować do kreacji algebrę, u Wszzechmocnego podpatrzoną.

Proszę zwrócić uwagę na to, jak przegadana jest Biblia, jaki rozlewny Pentateuch w opisach rezultatu Genezis — i jak lakoniczny w pokazywaniu jej receptury! Był beczas i chaos, aż nagle — ni z tego, ni z owego — powiedział Pan: „Niech się stanie światło”, po czym stało się i już, a między jednym a drugim nic — ani szparki nie było, ani sposobu? Nie wierzę! Między Chaosem a Stworzeniem była czysta intencja, światłem jeszcze nie porażona, w Kosmos nie zaangażowana do końca, nie ubrukana — rajską nawet ziemią.

Było bowiem wtedy i tam — powstanie szans, lecz nie — spełnienie; był zamiar, przez to boski i dlatego wszechmocny, że się jeszcze w działanie obracać nie zaczął. Było zwiastowanie — przed poczęciem...

Jak nie skorzystać z tej nauki? Nie o plagiat idzie, lecz o metodę. Skąd bo wszystko poszło? Z początku, oczywiście. A co było na początku? Wstęp, jak już wiemy. Wstęp, ale nie samoswój, nie sobiepański, lecz Wstęp do Czegoś. Przeciwstawmy się wyuzdanemu ziszczaniu, jakim była Genezis — zastosujmy do jej pierwszego lematu algebrę powściągliwszej kreacji!

Podzielimy mianowicie całość przez „Coś”. „Coś” zniknie wówczas i pozostaniemy — jako z rozwiązaniem — ze Wstępem, oczyszczonym od złych skutków — bo od wszystkich grózb Wcielenia — albowiem czysto intencjonalnym i w tym stanie bezgrzesznym. Nie jest to świat — lecz punkt tylko bezwymiarowy — ale właśnie dlatego w bezkresie. O tym, jak sprowadzić do niego literaturę, powiemy za chwilę. Pierwej przypatrzymy się jej sąsiedztwu — boż nie jest ona przecież samotnikiem anachoretą.

Wszystkie sztuki usiłują dziś wykonać manewr zbawienia, ponieważ wszechrozprężanie

się twórczości stało się jej zmorą, gonitwą, ucieczką — jak Uniwersum, eksploduje Sztuka w pustkę — nie znajdując oporu, więc oparcia. Skoro wszystko już można, to i nic niewarte — i pęd obraca się w cofaninę, ponieważ wracać chcą Sztuki do źródła, a nie umieją.

Malarstwo, w palącym pożądaniu granic, wlało w malarzy: w ich skórę — i oto artysta wystawia już samego siebie, bez obrazów, więc jest obrazoburcą wychłostanym pędzlami czy utarzanym w oleju i w temperze albo całkiem goły na wernisażu — bez barwnej przyprawy. Niestety, ten nieszczęśnik nie może dotrzeć do autentycznej nagości: to nie Adam, to tylko jakiś pan do rosółu rozebrany.

A rzeźbiarz, podtykający nam swe nieokrzesane kamienie czy uwznioślający ekspozycją byle śmieci, usiłuje wleźć na powrót w paleolit — w pracłowieka — bo nim, czyli Autentykiem, chce zostać! Lecz gdzie mu do jaskiniowca! Nie tędy droga w surowe mięso barbarzyńskiej ekspresji! Naturalia non sunt turpia — ale to nie znaczy, że byle prostacze zdziczenie jest powrotem do Natury!

A co, proszę? Wyjaśnimy rzecz na przykładzie muzyki. Największa i najbliższa szansa przed nią bowiem stoi właśnie otworem.

Źle czynią kompozytorzy łamiąc kontrapunktowi gnaty i puszczając komputerami Bachów na rozkurz — także deptanie, elektronami, ogonów wzmocnionego stukrotnie kota nic, oprócz stada sztucznych wyjców, nie urodzi. Falszywy kurs i ton! Nie nadszedł jeszcze świadomy celu zbawiciel — nowator!

Czekam go niecierpliwie — oczekuję jego utworu muzyki konkretnej w odkłamywaniu, powracającej na Przyrody łono, utworu, który będzie utrwaleniem owych popisów chóralnych, choć prywatnych ściśle, jakim się każda publiczność oddaje w koncertowej sali — tylko zewnętrzną skupienia kulturalna, tylko oswojoną peryferią organizmów kontemplująca orkiestrę w potach.

Sądzę, że ta stumikrofonowo podsłuchana symfonia będzie miała ciemną, monotonną instrumentację, flakom właściwą, bo jej brzmieniowe tło utworzą wzmocnione Basy Jejunalne, czyli Borborygmy osób, zapamiętałych w nieuchronnym brzuchoburstwie — w kruczeniach osadzonym, gulgotliwie dokładnym i pełnym zdesperowanej ekspresji trawiennej — albowiem autentyczny, skoro organiczny, a nie organowy, jest ten głos trzewi — głos życia! Ufam też, że lejtmotyw rozwinie się w takt siedzeniowej perkusji, wyakcentowanej poskrzypywaniem krzesel, z silnymi, spazmowymi wejściami smarknięć i z akordami świetnie koloraturowego kaszlu. Zagrają bronchity... i przeczuwam tu właśnie niejedno solo wykonane z maestrią astmatycznej sędziwości, istne Memento mori vivace ma non troppo, popis agonalnego piccolo, bo autentyczny trup zakłapie na trzy czwarte do taktu sztucznymi szczękami, bo uczciwy grób zaświszcze w rozrzużonej tchawicy — otóż, taka Prawda Przewodu Symfonicznego, Tak Życiowa, jest nie do podrobienia.

Cała somatyczna inicjatywa ciała, dotychczas najfalszywiej w świecie zagłuszana muzyką sztuczną, wbrew ich brzmieniom tragicznie, bo nieodwołalnie własnym, domaga się triumfalnej rewindykacji — jako Powrotu do Natury. Nie mogę się mylić — wiem, że prawykonanie Symfonii Wisceralnej będzie przełomem, albowiem tak i tylko tak tradycyjnie bierna, stłumiona do szmeru miętówek rozwijanych publiczność przejmie — nareszcie! — inicjatywę i w roli autoorkiestry wykona powrót do siebie — zapamiętała we wszechodklamaniu, tym hasle naszego wieku.

Twórca-kompozytor znów stanie się jeno kapłanem—pośrednikiem pomiędzy struchłą rzeszą i Mojra — albowiem los flaków naszych jest naszym Przeznaczeniem...

Tak to dystygnowana zbiorowość znawców—słuchaczy bez postronnych brzdąkań dozna autosymfonii, ponieważ w tym prawykonaniu już tylko samą sobą będzie się delektowała — i trwożyła...

A co z literaturą? Domyślcie się już chyba: ja chcę wam ducha waszego oddać — w całym jego obszarze — tak jak muzyka wisceralna oddaje publiczności jej własne ciało —

czyli w samym środku Cywilizacji od Natury zstępuje.

Dlatego właśnie Wstępopisarstwo nie może już trwać dłużej pod klątwą niewoli — wyłączone z prac wyzwolicielskich. Nie tylko beletrystów i ich czytelników podżegani więc do powstania. A mam na myśli bunt, nie skołowanie powszechne — nie podbechtywanie widzów teatralnych, żeby włązili na scenę lub żeby scena na nich włąziła, przez co, tracąc pozycję wyższości miłej, zostają ze zlikwidowanego azylu widowni wtrąceni w kocioł świętego Wita. Nie drgawka, nie zbakierowana mimikra jogi, lecz Myśl jedna może nam wolność przywrócić. Tak więc, odmawiając mi prawa walki wyzwoleniczej w imieniu i dla dobra Wstępów, skazałbyś się, szanowny Czytelniku, na wsteczniactwo, na staroświecczynę zakamieniałą, i choćbyś nie wiedzieć jaką brodę sobie zapuścił — nie wejdiesz do nowoczesności

Ty natomiast, Czytelniku biegły w antycypowaniu Nowego, ty, Postępowcze z błyskawicznym refleksem, wibrujący swobodnie w Modospadach naszej ery, ty, który wiesz, że skorośmy zaleźli wyżej, niż nasz prakuzyn małpi (na Księżyc przecież), musimy leżeć dalej — ty pojdziesz mnie i połączysz się ze mną w poczuciu spełnianego obowiązku.

Ja ciebie oszukam, a ty mi za to właśnie wdzięczność okażesz; ja złożę ci zaprzysiężoną obietnicę, ani myśląc jej dotrzymać, a ty właśnie tym będziesz zaspokojony czy przynajmniej udasz z maestrią godną sprawy, że tak jest; tępalom zaś, co by nas pospołu wykląć chcieli, powiesz, że odpadli duchem od epoki i stoczyli się na wysypiska staroci, przez pośpieszną Rzeczywistość wypłutej.

Powiesz im, że nie ma rady — wekslem bez pokrycia (transcendentalnego), zastawem (sfalszowanym), zapowiedzią (niewykonalną) — najwyższą formą alteracji została dziś sztuka.

A więc tę właśnie jej pustkę i tę niewykonalność trzeba wziąć za dewizę i opokę; i dlatego właśnie ja, piszący Wstęp do Małej Antologii Wstępów, jestem w dobrym prawie, albowiem proponuję wprowadzenia wprowadzające donikąd, wstępy nigdzie nie wstępujące oraz przedmowy, po których żadne mowy się nie rozlegną.

Lecz każdym z tych posunięć pierwszych otworzę ci pustkę innego rodzaju i koloru znaczeniowego, mieniającą się właściwym prążkiem widma Heideggerów. Będę z entuzjazmem, z nadzieją i z wielkim hałasem otwierał drzwi ołtarzy i tryptyków, zapowiadał ikonostasy i carskie wrota, będę klękał na stopniach obrywających się u progu podprzestworza, nie to, że opustoszałego, lecz takiego, w którym nigdy nic nie było — i nie będzie. Ach, zabawa ta, najpoważniejsza z możliwych, wprost tragiczna, jest parabolą naszego losu, ponieważ nie ma drugiego wynalazku tak ludzkiego ani takiej własności i ostoji człowieczeństwa jak pełnobrzmiący, wylugowany z obligów, wchłaniający na amen jestestwa nasze — Wstęp do Nicości.

Cały świat kamienny i zielony, wystygły i huczący, zaogniony w chmurach i w gwiazdach zakopany dzielimy ze zwierzętami i roślinami — Nicość atoli naszą domeną jest i specjalnością. Odkrywcą nicości jest człowiek. Ale ona to trudna, to taka niebywała, bo niebyła rzecz, której ani spróbować nie można bez starannej zaprawy, duchowych ćwiczeń, bez długotrwałej nauki i treningu; nie przygotowanych poraża w słup — toteż do komunikowania się z nicością precyzyjnie nastrojoną, bogato zorkiestrowaną trzeba się sumiennie szykować — czyniąc każdy krok w jej kierunku możliwie ciężkim, wyrazistym i materialnym.

A więc ja ci tu będę pokazywał Wstępy, jak się pokazuje wspaniale rzeźbione odrzwia, złotem kute, zwieńczone gryfami i grafami w nadprożach majestatycznych, będę przysięgał na tę ich litą, dźwięcznie masywną, ku nam zwróconą stronę po to, aby rozwierając je skupionym szarpnięciem ramion mego ducha, wtrącić w nic czytającego — a tym samym wytrącić go ze wszystkich naraz bytów i światów.

Cudowną swobodę zapewniam i gwarantuję, dając słowo, że Tam nie będzie Nic.

Co zyskam? Stan najbogatszy: ten — sprzed Stworzenia.

Co zyskasz? Wolność najwyższą — bo żadnym słowem nie zakłócę twego słuchu w czystym wzlocie. Ja ci go tylko wezmę, jak miłośnik bierze gołębia, i cisnę nim, jak kamieniem Dawidowym, jak kamieniem obrazy, aby poleciał w ten bezkres — na wieczne używanie.

CEZARY STRZYBISZ
„NEKROBIE”

139 reprodukcji

Wstęp Stanisław Estel
Wydawnictwo Zodiak [3]

WSTĘP

Niewiele lat temu chwycili się plastycy śmierci jak zbawienia. Zaopatrzeni w atlasy anatomiczne i histologiczne, poczęli flaki wypuszczać aktom, gmerać się w bebeczach, wywalając na płótna zmaltretowaną brzydotę naszych wstydliwych paprochów, tak słusznie zasłoniętych na co dzień skórą. Lecz cóż, koncerty, które gnicie we wszystkich kolorach tęczy zaczęło dawać po salach wystawowych, nie stały się rewelacją. Byłoby to rozwiązłe, gdyby ktoś z widzów poczuł się dotknięty, byłoby koszarne, gdyby zadrzał — lecz cóż? Nawet ciotek to nie wzburzyło. Midas obracał w złoto wszystko, czego się tknął, a plastyka dzisiejsza, pod klątwą przeciwnego znaku, samym dotknięciem pędzla likwiduje powagę każdej rzeczy. Jak tonący sięga po wszystko — i z chwyconym idzie na dno — przy zblazowanym spokoju widzów.

Wszystko? Więc i śmierć? Czemu nie zaszokował nas jej antymajestat, czy te krwawo zaszlamowane karty z powiększonych plansz medycyny sądowej nie powinny były nas choć zastanowić — swoim horrorem?

Były jednak bezradne... bo nadto wysilone! Zamyśl już był dziecinny — przestraszenia dorosłych... dlatego to nie chciało być na serio! Więc zamiast memento mori otrzymaliśmy starannie rozmierzwione trupy — rozkopana zbyt namolnie tajemnica grobów objawiła się śliską kloaką. Nie przemówiła ta śmierć — ponieważ zanadto ostentacyjna! Biedni plastycy, którym mało już natury, więc zabrali się do eskalacji Grand Guignolu, sami wystrychnęli siebie na dudków.

Lecz — po kompromitacji podobnej, po tej klapie śmierci — co właściwie takiego zrobił Strzybisz, że udało mu się ją zrehabilitować? Czym są właściwie jego „Nekrobie”? Nie są malarstwem przecież — Strzybisz nie maluje i podobno w życiu nie miał pędzla w palcach. Nie jest to grafika, bo on nie rysuje, nie ryje też w żadnej substancji, nie rzeźbi — ot, fotograf. Co prawda szczególny — skoro, zamiast światła, używa promieni Roentgena.

Ten anatom swoim okiem, przedłużonym ryjami aparatów rentgenowskich, przechodzi na wylot przez ciała. Lecz czarno-białe błony, znane z lekarskich gabinetów, na pewno pozostawiłyby nas obojętnymi. Dlatego ożywił swe akty. Dlatego jego szkielety stąpają takim prężnym, zdecydowanym krokiem w śmiertelnych koszulach raglanów, z widmami teczek. Dość złośliwe i dziwaczne, przynajmniej, nie więcej, ale on tymi migawkowymi zdjęciami tylko przymierzał się, próbował jeszcze — nie wiedział. Powstał hałas dopiero, kiedy poważił się na straszną rzecz (choć już nie miało być strasznych rzeczy): on nam prześwietlił na wylot — i taki pokazał seks.

Ten zbiór prac Strzybisza otwierają jego „Pornogramy” — zaiste komiczne, lecz dosyć to okrutny komizm. Właśnie najbardziej natrętny, rozpasany, rozzuchwalony seks — grupowy — wziął Strzybisz pod ołowiane blendy swoich obiektywów. Pisano, że chciał wyszydzić pornomanię, że dał jej dokładną (bo do nagiej kości doprowadzoną) lekcję i że mu się to udało, ponieważ te kości, wczepione w siebie, poukładane w geometryczne zagadki, z niewinnego pogmatwania przeskakują w oku widza nagle — i niesamowicie — w nowożytny Totentanz, w tarło podskakujących szkieletów. Pisano, że zamierzył znieważać, wydrwić seks — i że mu się to zamierzenie powiodło.

Czy tak? Zapewne... lecz można się w „Nekrobiach” dopatrzeć czegoś więcej. Karykatury? Nie tylko — bo jest jednak w „Pornogramach” jakaś ukryta powaga. Najpierw bodaj stąd, że Strzybisz „prawdę mówi” — i to samą tylko prawdę, kiedy dziś, nie poddana „deformacji artystycznej”, uchodzi za prostactwo: lecz on właściwie jest świadkiem jedynie, bo spojrzeniem przeszywającym, ale nie — przeinaczającym. Nie sposób się obronić przed tym świadectwem — odrzucić go, jako zmyślenia, jako konwencji, triku, gierki umownej, bo on ma rację. Karykatura? Złośliwość? Lecz te szkielety są przecież w swoim abstrakcyjnym

rysunku — niemal estetyczne. Strzybisz bowiem wytrawnie działał: nie tyle ogołocił, to jest, odarł kości z cielesnych powłok, ile wyzwolił je — uczciwie szukając ich własnego, do nas już nie odniesionego sensu. Szukając ich własnej geometrii, uczynił je suwerennymi.

Te szkielety żyją, chciałyby się powiedzieć — po swojemu. On je wolnością obdarzył, przez wyparowanie ciał, to jest — przez śmierć, jakkolwiek właśnie ciała odgrywają ważną, choć nie od razu postrzegalną rolę w „Nekrobiach”. Trudno tu wchodzić w szczegóły techniki rentgenowskiej, lecz dwa słowa wyjaśnienia są niezbędne. Gdyby Strzybisz używał twardych promieni X, na jego zdjęciach byłyby widoczne same tylko kości, jako ostro zarysowane smugi, pręty, posegmentowane niby cięciami — mrokiem stawowych szczelin. Zbyt czysta byłaby to już, bo zanadto wypreparowana — osteologiczna abstrakcja. Otóż on tak nigdy nie postępuje i — prześwietlone promieniami miękkimi — na zdjęciach jego pojawiają się ciała ludzkie jak aluzje, jak napomknienia, mlecznymi kłębami poświaty — i przez to dochodzi do właściwego efektu. Pozór i realność zamieniają się miejscami. Średniowieczny, holbeinowski Totentanz, trwający w nas milczkiem, nieporuszony, ten sam, nie tknięty wrzawą błyszczącej cywilizacji, zrost śmierci z życiem — trafia Strzybisz, jak gdyby bezwiednie, jakby przez przypadek. Albowiem rozpoznajemy tę samą wesołą skoczność, tę jowialną krzepę i frywolne zapamiętanie, jakie nadał swym kościotrupom Holbein — i tylko — a raczej; i właśnie akord znaczeń, który bierze artysta współczesny, jest szerszy, ponieważ najbardziej nowocześnie z technik skierował na najstarsze zadanie gatunku; naprawdę tak właśnie wygląda śmierć w środku życia i to jest właśnie do kości prześwietlona mechanika rozmnażającego się rodzaju, której ciała asystują — bladymi widmami.

Dobrze — powiadają — może i taka czai się w tym filozofia, lecz przecież on umyślnie poszedł „na całego” — w trupy wrobił spółkujących, uchwycił się modnego tematu, efektownie, dla efektu — czy to nie tanie? Czy nie ma w „Pornogramach” sprytu? Albo wręcz oszustwa? Nie brak i takich sądów. Wolę nie wytaczać przeciw nim armat ciężkiej retoryki. Proszę raczej przyjrzeć się dwudziestemu drugiemu pornogramowi, zatytułowanemu „Trioliści”.

Scena to nieprzyzwoita w szczególny sposób. Gdyby ją zestawić ze zwykłym zdjęciem tych samych ludzi, więc z produktem pornografii komercyjnej, niewinność takiej pornografii względem rentgenogramu objawi się natychmiast.

Pornografia nie jest bowiem sprośna bezpośrednio: ekscytuje dopóty, dopóki trwa jeszcze w widzu walka żądz z aniołem kultury. Kiedy tego anioła diabli wezmą, kiedy, skutkiem powszechnej tolerancji, obnaży się słabość płciowego zakazu, jego zupełna bezbronność, kiedy zakazy pójdą na śmietnik — jakże szybko zdradza wtedy pornografia swój niewinny, to znaczy tutaj: daremny charakter, gdyż jest fałszywą obietnicą cielesnego raju, zapowiedzią tego, co się nie spełnia naprawdę. To owoc zakazany, więc tyle w nim pokusy, ile siły w zakazie.

Bo cóż? Wzrok, chłodniejący od nawyku, dostrzega golasów, bardzo wysiłonych, bardzo zwijających się, by wykonać postawione w atelier zadania — i jakież biedne robi się wtedy to widowisko! Nie tyle zażenowanie, ile poczucie urażonej solidarności ludzkiej budzi się w patrzącym, bo ci golcy tak namolnie ciamkają się po sobie, że się upodobniają do dzieci, które chciałyby koniecznie zrobić coś wprost potwornego, żeby dorosłym oko zbieleło, lecz naprawdę nie mogą, nie są w stanie po prostu... i pomysłowość ich, rozjuszona już tylko złością na własną niemoc, nie w stronę Grzechu zmierza i Upadku, lecz tylko głuptacko żalostnego obrzydlistwa. Toteż w usilnych zajęciach owych dużych gołych ssaków kryje się płytka infantylnosc — ani to piekło, ani raj, lecz sfera letnia: nudy, daremności lichu opłacanego mozołu...

Lecz seks Strzybisza jest drapieżny, bo przerażający i śmieszny jak owe zjazdy potępieńców do otchłani na obrazach starych Holendrów i Włochów — gdy jednak możemy się oddystansować od owych koziołkujących w Sąd Ostateczny grzeszników, skorośmy

unieważnili zaświat, co możemy przeciwstawić rentgenogramowi? Tragicznie śmieszne te szkielety, w zwarciu, w którym ciała są im przeszkodą nieprzekraczalną. Kości? Kiedy właśnie ludzi widzimy w niezgrabnym, zaciekłym uścisku, i byłoby to tylko żałosne, gdyby nie upiorny komizm. Skąd? Z nas — rozpoznajemy bowiem prawdę. Racja tych zwarć ułatwia się razem z cielesnością, toteż jałowe i abstrakcyjne, a przecież tak okropnie rzeczowe, lodowato i białe płonące są te uściski — beznadziejne!

A jeszcze jest ich świętość czy drwina z niej, czy aluzja do niej, nie doczepiona, nie przydana sztucznym zabiegiem, lecz wiadoma, albowiem halo otacza tu każdą głowę — to włosy stają się bladą, kragłą aureolą i świecą jak na świętych obrazach.

Wiem zresztą, jak trudne są do rozplatania i ponazywania impulsy, z których powstaje całość doznań w widzu. Dla jednych to literalnie Holbein redivivus, boż, istotnie, osobliwy jest powrót — elektromagnetycznym promieniowaniem — do kościotrupów, jak do średniowiecza, w nas zachowanego. Innych szokują ciała jako bezsilne duchy, asystujące z konieczności trudnym ćwiczeniom płci — uniewidzialnionej. Ktoś jeszcze pisał o kośćcach, co są jak instrumenty, wydobyte z futerałów dla spełnienia tajemnej inicjacji — dlatego mówiono o „matematyce”, o „geometrii” tego seksu.

Wszystko to być może; lecz nie ze spekulacji rodem jest smutek, w którym opuszcza się sztukę Strzybisza. Symbolika, w stuleciach wezbrana i przekazana ze stuleci, choć wegetująca pokątnie, bośmy się jej wyparli, nie uległa — widzimy — zniweczeniu. Symbolikę tę przerobiliśmy w sygnalizację (czaszki z piszczelami na słupach wysokiego napięcia, na butlach z trucizną w aptece) i na pogładową pomoc szkolną, w powiązanych błyszczącymi drucikami szkieletach sal wykładowych. Skazaliśmy ją więc na exodus, relegowaliśmy ją z życia, lecz nie pozbyliśmy się — całej. Tak więc, niezdolni po prostu oddzielić tego, co jest w szkielecie jego najrzetelniejszą materialnością, równą wymowie konaru czy belki, od tego, co wyobraża w nimi milczenie losu, więc symbol, popada nasz umysł w owo szczególne rozchwianie, z którego umyka wreszcie — w zbawczy śmiech. A jednak pojmujemy, że trochę to jest wymuszona wesołość, że osłaniamy się nią, by nie ulec Strzybiszowi zanadto.

Erotyka, jako beznadziejna daremność intencji, oraz seks, jako ćwiczenie w geometrii projekcyjnej — oto dwa przeciwstawne ekstrema „Pornogramów”. Zresztą nie godzę się z tymi, co twierdzą, że sztuka Strzybisza na „pornogramach” zaczyna się i kończy. Gdybym miał powiedzieć, który z aktów cenię najwyżej, bez wahania wskażę „Brzemienną” (str. 128). Przyszła matka, z zamkniętym w łonie dzieckiem — ten szkielet w szkielecie dość jest okrutny, a na włos nie skłamany. I w tym dużym, rośłym, jak białymi skrzydłami — kością miednicową rozłożyłystym ciele (rentgen trafia w przeznaczenie płci dobitniej niż nagi akt zwykły) — na tle tych skrzydeł, rozchylonych już do porodu, główką odwrócony, mgławki, bo nie dokończony jeszcze — szkielecik wtulenia dziecięcego. Jak źle brzmią te słowa, i w jak godną, czystą całość układają się światłocienie rentgenogramu. Ciężarna w pełni sił — i w pełni śmierci swojej — płód jeszcze nie narodzony, co już umierać zaczął — bo poczęty. Jest jakiś spokój wyzwania i afirmacja zdeterminowana w tym podpatrzeniu.

Co będzie za rok? „Nekrobie” pójda w zapomnienie, królować przyjdzie nowym technikom i modom (nieszczęśny Strzybisz — iluż on już teraz naśladowców zdobył po swoim sukcesie!). Czy nie tak? Zapewne, bo nie ma na to rady. Lecz choć ta szybkozmienność dławi nas, skazując na ciąg bezustannych rezygnacji i rozstań — dziś Strzybisz hojnie nas obdarzył. Nie runął w głąb materii, nie wdarł się w tkanki mchów, paprotników, nie wdał się w egzotykę podpatrywania bezcelowych doskonałości Natury, w te śledztwa, jakimi nauka sztukę zaraziła, lecz zaprowadził nas na skraj naszych ciał, w niczym nie wyznaczonych, nie przesadzonych, nie zmienionych — rzeczywistych! — i tym samym mosty rzucił z terażniejszości w przeszłość, wskrzeszając tę powagę, którą straciła już sztuka; i nie jego wina, że rezurekcja ta dłużej, niż kilka chwil, trwać nie może.

REGINALD GULLIVER

„ERUNTYKA”

George Allen & Unwin LTD
40 Museum Street/London

WSTĘP

Przyszły historyk uzna zapewne dwie przenikające się eksplozje za najwłaściwszy model naszej kultury. Lawiny produktów umysłowych, mechanicznie wyrzucane na rynek, stykają się z odbiorcami w trafach równie przypadkowych jak te, co zawiadują kolizjami gazowych molekuł: nikt już nie ogarnia tłumy tych produktów w całości. A ponieważ nigdzie nie można przepaść łatwiej niż w tłumie, przedsiębiorcy kultury, właśnie przez to, że publikują wszystko, co tylko im autorzy dostarczą, przebywają w błogim, lecz błędnym przeświadczeniu, jakoby teraz nic cennego się nie marnowało. Poszczególnym książkom należy się uwaga, jeśli tak uzna odpowiedni fachowiec, który usuwa ze swego pola widzenia wszystko, co obce jego specjalności. Ten zabieg eliminacji jest obronnym odruchem każdego eksperta: gdyby był mniej bezwzględny, utonąłby w papierowym potopie. Lecz skutek tego bezpieczeństwa, równa śmierci cywilnej, zagraża wszystkiemu, co, że całkowicie nowe, urąga klasyfikacyjnym zasadom. Książka, którą przedstawiam, znajduje się właśnie na ziemi niczyjej. Może to plód obłąkania — lecz wówczas chodzi o szaleństwo z precyzyjną metodą; może to produkt pseudologicznej perfidii — wtedy jednak byłby nie dość perfidny, bo niepokupny. Rozsądek z pośpiechem pospołu każą przemilczeć takie dziwadło, lecz wyziera zeń, przy całej nudzie wykładu, duch niepospolitego kacerstwa, które zatrzymuje na miejscu. Bibliografie odniosły ten tytuł do Science Fiction, ale okolica ta stała się już wysypiskiem wszelkich osobliwości i niedowarzeń, jakie relegowano z poważniejszych sfer. Gdyby Platon ogłosił dziś „Rzeczpospolita”, a Darwin — „O powstawaniu gatunków”, opieczętowane hasłem „Fantastyki” stoczyłyby się może obie te pozycje na bruk — i czytane przez wszystkich, nie zauważone tym samym przez nikogo, wtopione w sensacyjne gadulstwo, nie zaważyłyby na rozwoju myśli.

Książka ta zajmuje się bakteriami — lecz żaden bakteriolog nie weźmie jej serio. Uprawia lingwistykę, która włosy postawi na głowie każdemu językoznawcy. Dochodzi do futurologii, sprzecznej z tym, co uprawiają jej zawodowi przedstawiciele. Właśnie dlatego — jako wypędek wszystkich dyscyplin naukowych — musi spaść do poziomu Science Fiction i grać jej rolę, nie licząc wszakże na czytelników, ponieważ niczego takiego nie opowiada, co zaspokoiłoby głód przygody.

Nie potrafię właściwie ocenić „Eruntyki”, sądzę jednak, że brak dla niej kompetentnego przedmówcy. Uzurpuję sobie więc tę pozycję z niepokojem: któż może wiedzieć, ile prawdy skrywa tak daleko posunięta czelność! Przy kartkowaniu wygląda książka na podręcznik naukowy, lecz jest stekiem dziwołagów. Na fantazję literacką nie kroi, bo nie ma kompozycji artystycznej. Jeśli opisuje prawdę, prawda ta zadaje kłam niemal całej wiedzy współczesnej. Jeśli kłamie, czyni to w monstualnym wymiarze.

Jak wyjaśnia autor, eruntyka („Die Eruntizitaetslehre”, „Eruntics”, „Eruntique” — nazwa pochodzi od „erunt” — „będa” — 3 osoba czasu przyszłego liczby mnogiej od „esse”) nie była zamierzona jako odmiana prognostyki bądź futurologii.

Nie można się owej eruntyki nauczyć, gdyż nikt nie zna zasad jej funkcjonowania. Nie można dzięki niej przewidzieć tego, co by się chciało. Nie jest to żadna „wiedza tajemna” w stylu jakiejś astrologii czy dianetyki i nie jest to też przyrodoznawcza ortodoksja. Tak więc doprawdy mamy przed sobą rzecz skazaną na to, aby być „wygnanką wszystkich światów”.

R. Gulliver przedstawia się w pierwszym rozdziale jako filozof-dyletant i bakteriolog-amator, który jednego dnia — osiemnaście lat temu — postanowił nauczyć bakterie języka angielskiego. Impuls był natury przypadkowej. W krytycznym dniu wyjmował z termostatu szalki Petry’ego, owe płaskie szklane naczynka, w których hoduje się na agarowej żelatynie bakterie *in vitro*. Do tej pory bawił się tylko, jak powiada, bakteriologią, bo uprawiał ją jako rodzaj konika, bez pretensji czy nadziei na jakoweś odkrycia. Lubił po prostu, przyznaje,

obserwować wzrost drobnoustrojów na podścielisku agarowym: zadziwiła go „zmyślność” niewidzialnych „roślinek”, tworzących na mętnawym podłożu kolonie wielkości główki od szpilki. Aby zbadać skuteczność środków przeciwbakteryjnych, nanosi się rozmaite takie środki na agar — pipetką lub maczakiem; tam, gdzie objawiają swe działanie, agar pozostaje wolny od bakteryjnego nalotu. Jak to czasem robią laboranci, R. Gulliver, umoczywszy watkę w antybiotyku, napisał nią na gładkiej powierzchni agaru „Yes”. Napis ten, niewidzialny, w następnym dniu unaoczniał się, ponieważ intensywnie rozmnażające się bakterie pokryły gruzełkami kolonii cały agar z wyjątkiem śladu, jaki pozostawił maczak użyty niczym pióro. Wtedy to, twierdzi, przyszło mu po raz pierwszy do głowy, że ten proces można by „odwrócić”.

Napis był widoczny, ponieważ wolny od bakterii. Lecz gdyby mikroby ułożyły się w litery, pisałyby — i tym samym wyrażałyby się w języku. Myśl ta była kusząca, lecz zarazem — przynajmniej — całkiem nonsensowna. Przecież to on napisał na agarze słowo „Yes”, bakterie zaś tylko „wywołały” ów napis, bo nie mogły się rozmnażać w jego obrębie. Lecz myśl ta nie dawała mu odtąd spokoju. Na ósmy dzień wziął się do dzieła.

Bakterie są w stu procentach bezmyślne, więc na pewno nierozumne. Niemniej z zajmowanego w Przyrodzie stanowiska są znakomitymi chemikami. Drobnoustroje chorobotwórcze nauczyły się pokonywać zapory cielesne i obronne siły ustrojowe zwierząt setki milionów lat temu. Można to pojąć zważywszy, że nic innego nie robiły przez wieki wieków, więc miały dość czasu, aby wciskać agresywne, choć ślepe sposoby swych chemizmów w obronny mur białek, którym opancerzają się wielkie organizmy. Także gdy na arenie dziejów zjawiał się człowiek, zaatakowały go i zadawały mu, przez kilkanaście tysięcy lat istnienia cywilizacji, cierpienia, kończące się w osławionych zarazach śmiercią nieraz całych populacji. Dopiero niespełna osiemdziesiąt lat temu człowiek przeszedł do potężniejszego kontrataku, obruszając na bakterie armię swych środków bojowych — wybiórczych trucizn syntetycznych, porażających ich życiowe procesy. W tym jakże krótkim czasie sporządził ponad czterdzieści osiem tysięcy chemicznych broni przeciwbakteryjnych, syntetyzowanych z takim rozmysłem, żeby uderzały w najwrażliwsze, newralgiczne punkty ich przemiany materii, wzrostu i rozmnażania. Czynił to w wierze, iż niebawem zmiecie zarazki z powierzchni ziemi, lecz rychło przekonał się, ze zdumieniem, że powstrzymując ekspansje mikrobów — zwane epidemiami — ani jednej choroby nie zlikwidował ze szczętem. Bakterie okazały się przeciwnikiem lepiej wyposażonym, niż to sobie wyobrażali twórcy chemoterapii wybiórczej. Bez względu na to, jakich nowych preparatów z retorty używa człowiek — one, złożony hekatombi w tym, nierównym, zdawałoby się, boju — wnet przystosowują trucizny do siebie bądź siebie do trucizn, wytwarzając oporność.

Nauka nie wie dokładnie, jak one to robią, to bowiem, co wie, wygląda nader nieprawdopodobnie. Bakterie na pewno nie dysponują teoretyczną wiedzą w zakresie chemii czy immunologii. Nie mogą przeprowadzać ani eksperymentów próbnych, ani strategicznych narad; nie są w stanie przewidzieć dziś tego, co człowiek jutro przeciw nim skieruje, lecz w tej niekorzystnej wojennej sytuacji przecież sobie radzą. Medycyna tym mniej pokłada nadziei w oczyszczeniu ziemi z zarazków, im większej nabywa wiedzy i wprawy. Zapewne: twardy żywot bakterii to skutek ich zmienności. Bez względu na to jednak, jakich taktyk mają się bakterie w opresji, pewne jest, że działają bezwiednie — jako mikroskopijne agregaty chemiczne. Nowe szczepy zawdzięczają oporność tylko mutacjom dziedziczności, a mutacje te są zasadniczo losowe. Gdyby sprawa dotyczyła człowieka, odpowiadałby jej taki mniej więcej obraz: Nieznany wróg, używając nie znanych nam zasobów wiedzy, sporządza nie znane nam środki zabójcze i ciska na ludzi ich nawałę; my zaś, ginąc masowo, w rozpaczliwym poszukiwaniu antidotum uznajemy za najlepszą strategię obrony — wyciąganie z kapelusza kartek, powyrywanych z encyklopedii chemicznej. Być może, znajdziemy na którejś z tych kartek formułę zbawiennego przeciwśrodku. Należy jednak sądzić, że rasa,

która tym trybem właśnie chciałaby odeprzeć śmiertelne zagrożenie, prędzej zginie co do nogi, aniżeli to się jej uda — taką loteryjną metodą.

A jednak metoda owa jakoś działa, gdy ją stosują bakterie. O tym, by ich dziedziczny kod genowy miał przewidująco wpisane w siebie wszystkie możliwe struktury zgubnych ciał chemicznych, jakie tylko da się syntetyzować, nie może być nawet mowy. Toż takich związków jest więcej niż gwiazd i atomów w całym Wszechświecie. Zresztą ubożuchny aparat dziedziczności bakteryjnej nie pomieściłby nawet informacji o tych 48 000 środków, których człowiek dotąd użył w walce z zarazkami. Więc jedno jest niezbite: chemiczna wiedza bakterii, jakkolwiek czysto „praktyczna”, nadal góruje nad wysoką teoretyczną wiedzą człowieka.

Skoro tak, skoro bakterie dysponują taką wszechstronnością, czemu właściwie nie można by jej użyć dla celów zupełnie nowych? Jeśli sprawę oceniać obiektywnie, będzie jasne, że napisać kilka słów po angielsku to problem o wiele prostszy, aniżeli sporządzić niezliczone taktyki obrony i przeciw niezliczonym rodzajom jądów i trucizn. Za tymi truciznami stoi wszak ogrom nauki nowożytnej, biblioteki, laboratoria, mędrcy i ich komputery — i tej potęgi jeszcze mało jest przeciwko niewidzialnym „roślinkom!” Więc sęk tylko w tym, jak zniewolić bakterie do nauki angielskiego, jak uczynić owdądnięcie mową — warunkiem koniecznym przetrwania. Trzeba stworzyć sytuację o dwu i tylko dwu wyjściach: albo się pisać nauczycie, albo zginiecie.

R. Gulliver oznajmia, że w zasadzie można by nauczyć gronkowca złocistego bądź pałeczkę okrężnicy (*Escherichia coli*) pisma, jakim się normalnie posługujemy, lecz droga tej nauki jest niesłychanie żmudna i najeżona mnóstwem przeszkód. O wiele prościej wyuczyć bakterie posługiwania się alfabetem Morsego, złożonym z kropek i z kresek, tym bardziej że kropki już i tak same stawiają. Przecież każda kolonia nie jest niczym innym jak kropką. Ze sklejenia się w osi czterech kropek powstanie kreska. Czy to nie proste?

Takie były założenia i inspiracje R. Gullivera — brzmiące dość obłudnie, by każdy fachowiec w tym miejscu cisnął jego wykład w ką. Lecz my, nie będąc specjalistami, możemy pochylić się nad dalszym tekstem. R. Gulliver postanowił uczynić najpierw warunkiem przetrwania — stawianie krótkich kresek na agarze. Gała trudność w tym (powiada w II rozdziale), że tu nie może być wszak mowy o żadnym nauczaniu — w zwykłym sensie słowa — ani w odnoszącym się do ludzi, ani nawet do zwierząt, które mogą nabywać odruchy warunkowe. Nauczany nie ma systemu nerwowego, nie ma kończyn, oczu, uszu, dotyku — nie ma nic, poza niesamowitą biegłością przeobrażeń chemicznych. One są jego życiowym procesem — i to już wszystko. A więc ten proces należy zaprząć do nauki kaligrafii — proces, a nie bakterie, bo wszak nie z osobami ani nawet nie z osobnikami rzecz: to sam kod genetyczny trzeba pouczyć, więc do kodu dobrać się należy, a nie do pojedynczych bakterii!

Bakterie nie zachowują się inteligentnie — kod natomiast, ich sternik, sprawia, że potrafią dostosowywać się do zupełnie nowych sytuacji — nawet do takich, co im się zdarzają po raz pierwszy w milionoleciach wegetacji. Jeżeli więc tylko uda się sporządzić warunki tak dobrane, że jedyną dostępną taktyką przeżywania będzie artykułowane pismo, zobaczymy, czy kod z zadaniem tym się sprawi. Lecz cały ciężar problemu przerzuca powyższa refleksja na eksperymentatora: on to bowiem musi stworzyć owe niezwykle, bo ewolucyjnie dotąd nie spotykane warunki bakteryjnego istnienia!

Opis doświadczeń, zajmujący dalsze rozdziały „Eruntyki”, jest niesłychanie nudny przez swą pedanterię, rozwlekłość, przez ciągle szpikowanie tekstu fotogramami, tablicami, wykresami — toteż niełatwo go przyswoić.

Lecz owych dwieście sześćdziesiąt stron „Eruntyki” ujmijemy w zwięzłym streszczeniu. Początek był prosty. Na agarze znajduje się samotna kolonia pałeczki okrężnicy (*E. coli*), czterokrotnie mniejsza od litery „o”. Zachowanie tej szarawej plamki śledzi z góry optyczna

streptokoki i gonokoki, lecz zarazki te okazały się mało pojętne. Powrócił tedy do pałeczki okrężnicy. Szczep 201 wyróżnił się mutacyjną adaptatywnością: nadawał coraz dłuższe komunikaty, tak oznajmiające, jak postulatywne, oznaczały bowiem zarówno to, co bakteriom dolegało, jak i to, czego sobie życzyły jako składu odżywki. Operując wciąż regułą ocalania tylko najsprawniej mutujących szczepów, uzyskał po jedenastu latach szczep *E. coli eloquentissima*, który pierwszy jał odzywać się „Spontanicznie, a nie tylko pod naciskiem zagrożenia. Najpiękniejszy dzień jego życia nastąpił, mówi, gdy *E. coli eloquentissima* zareagowała na zapalenie światła w laboratorium słowami „dzień dobry” — wyartykułowanymi rozrostem kolonii agarowych — w znaki Morsego...

Składnię angielską opanował w zakresie basic english jako pierwszy *Proteus orator mirabilis* 64, natomiast *E. coli eloquentissima* nawet w 21 000 generacji wciąż popełniała, niestety, błędy gramatyczne. Lecz z chwilą, gdy kod genowy owych bakterii przyswoił sobie reguły składni, sygnalizacja Morseem stała się jedną z właściwych mu czynności życiowych: tak przyszło do spisywania nadawanych przez mikroby — wieści. Nie były one zrazu specjalnie ciekawe. R. Gulliver chciał zadawać bakteriom naprowadzające pytania, lecz utworzenie dwukierunkowej łączności okazało się niemożliwe. Przyczynę fiaska wyjaśnia następująco: to nie bakterie artykułują, lecz genowy kod nimi, a kod ten nie dziedziczy cech, indywidualnie nabywanych przez poszczególne osobniki. Kod wysławia się, lecz nadając komunikaty — sam żadnych wprost nie jest w stanie odbierać. Jest to zachowanie odziedziczone, gdyż utrwalone w walce o byt; wiadomości, które nadaje kod genowy, grupując kolonie coli w znaki Morsego, są wprawdzie sensowne, lecz zarazem bezmyślne, który to stan rzeczy najlepiej uzmysłowi powołanie się na z dawna znany sposób reagowania bakterii: wytwarzając penicylinę, aby uchronić się przed działaniem penicyliny, zachowują się sensownie, lecz zarazem bezświadomie. Toteż rozmowne szczepy R. Gullivera nie przestały być „zwykłymi bakteriami”, a zasługą tego eksperymentatora było utworzenie warunków, co zaszczepiły elokwencję — dziedziczności zmutowanych szczepów.

Tak więc bakterie mówią, lecz do nich mówić nie można. Ograniczenie to jest mniej fatalne, niż można by sądzić, ponieważ właśnie dzięki niemu objawiła się z czasem ta własność lingwistyczna zarazków, która legła u podstaw eruntyki.

R. Gulliver nie oczekiwał jej wcale; wykrył ją przypadkowo, w toku nowych doświadczeń, mających na celu wyhodowanie *E. coli poetica*; krótkie wierszyki, układane przez pałeczkę okrężnicy, były wysoce banalne, a zarazem nie nadawały się do głośnego deklamowania, ponieważ — ze zrozumiałych względów! — bakterie nic nie wiedzą o fonetyce angielszczyzny. Toteż opanować mogły metrum wiersza, ale nie — zasady rymowania; niczego ponad dystychy w rodzaju „Agar agar is my love as were¹ stated above” poezja bakteryjna nie wyprodukowała. Jak to bywa, traf pospieszył Gulliverowi z pomocą. Zmieniał on skład odżywki, poszukując środków inspirujących bakterie do bogatszej wymowności, nasycając podścielisko preparatami, których skład chemiczny notabene zataja. Zrazu wynikło z tego rozwlekłe gadulstwo; aż 27 listopada *E. coli loquativa* po nowej mutacji jęła nadawać sygnały stresu, jakkolwiek nic nie wskazywało na to, by w agarze znajdowały się jakieś szkodliwe dla jej zdrowia związki. Niemniej w następnym dniu, 29 godzin po alarmie, oberwała się sztuczka nad stołem laboratoryjnym i spadając z sufitu zmiażdżyła wszystkie szalki Petry’ego znajdujące się na stole. Autor uznał zrazu ów dziwny fakt za zbieg okoliczności, lecz na wszelki wypadek przeprowadził eksperyment kontrolny, który wykazał, że bakteriom właściwe są premonicje. Już pierwszy nowy szczep — *Gulliveria coli prophetica* — przepowiadał niezgorzej przyszłość, to jest, usiłował się przysposobić do takich niekorzystnych zmian, jakie miały mu zagrozić dopiero w ciągu nadchodzącej doby. Autor sądzi, że nie odkrył niczego absolutnie nowego, lecz wpadł tylko przypadkiem na trop prastarego mechanizmu, właściwego dziedziczności mikrobów, który umożliwia im skuteczne

1 Błąd ten popełniły bakterie.

parowanie technik bakteriobójczych medycyny. Dopóki jednak bakterie pozostawały nieme, nie wiedzieliśmy nic o samej możliwości istnienia takiego mechanizmu.

Szczytowym osiągnięciem autora stało się wyhodowanie *Gulliveria coli prophetissima* i *proteus delphicus recte mirabilis*. Szczepy te przepowiadają bowiem przyszłość nie tylko w zakresie takich zjść, jakie odnoszą się do ich własnej wegetacji. R. Gulliver przypuszcza, że mechanizm tego fenomenu jest czysto fizykalnej natury. Bakterie grupują się koloniami w kropki i w kreski, gdyż tryb ten jest już zwyczajną własnością właściwego im rozplemu; to nie jakowaś „pałeczka–Kassandra” i nie jakiś „odmieniec–prorok” wysławiają cokolwiek na temat zdarzeń przyszłości. To tylko konstelacje fizycznych zjść w postaci jeszcze tak zarodkowej, tak nikłej, że my nie możemy ich wykryć żadną miarą, zdobyły wpływ na przemianę materii — więc na chemizm — owych zmutowanych szczepów. Biochemiczna działalność *Gulliveria coli prophetissima* sprawuje się tedy jak przekaźnik, który łączy różne interwały czasoprzestrzeni. Bakterie są hiperczułym odbiornikiem pewnych szans — i niczym ponadto. Futurologia bakteryjna stała się wprawdzie rzeczywistością, lecz jest ona w wynikach zasadniczo nieobliczalna, ponieważ śledzącym przyszłość zachowaniem bakterii nie można kierować. Czasem *proteus mirabilis* kreśli znakami Morsego szeregi liczbowe, i bardzo trudno wtedy ustalić, do czego się one odnoszą. Raz przepowiedział z półrocznym wyprzedzeniem stan elektrycznego licznika w laboratorium. Raz przewidział, ile kociąt urodzi kotka sąsiadów. Bakteriom najoczywściej jest zupełnie wszystko jedno — w zakresie przepowiadanego; mają się one do przekazywanych Morsesem treści tak, jak odbiornik radiowy do sygnałów. Można jeszcze zrozumieć, czemu przepowiadają zjścia związane z ich wegetacją; natomiast: ich wrażliwość na wypadki innych kategorii pozostaje zagadką. Pęknięcie tynku sufitowego mogły odebrać dzięki zmianom elektrostatycznych ładunków w powietrzu pomieszczenia laboratoryjnego lub też dzięki pośrednictwu innych fizycznych zjawisk. Lecz autor nie wie czemu ponadto przekazują wieści dotyczące na przykład świata po roku 2050.

Jego kolejnym zadaniem było rozróżnianie pomiędzy bakteryjną pseudologią, więc gadulstwem nieodpowiedzialnym, a porządnymi predykcjami, i rozwiązał to zadanie w sposób tyleż pomysłowy, co prosty. Utworzył mianowicie „równoległe baterie prognostyczne”, zwane bakteryjnymi eruntorami. Na baterię taką składa się co najmniej 60 szczepów profetycznych *coli* oraz *proteusa*. Jeśli każdy z nich gada co innego, sygnalizację uznać trzeba za bezwartościową. Jeśli jednak komunikaty są chóralne, zachodzi stawianie prognoz. Umieszczone w osobnych termostatach, na osobnych szalkach Petry’ego, artykułują Morsesem takie same lub bardzo zbliżone teksty. W ciągu dwóch lat zgromadził autor antologię futurologii bakteryjnej i prezentacją jej zwieńczył swoje dzieło.

Najlepsze wyniki zdobył dzięki szczepom *G. coli bibliographica* i *telecognitiva*. Szczepy te wydzielają fermenty jak *futuraza plusquamperfectiva* bądź *ekscytyna futurognostica*. Pod wpływem działania tych fermentów zdolność predykcyjną uzyskują nawet takie szczepy *coli*, które, jak *E. poetica*, niczego, poza układaniem słabych wierszy, nie potrafiły. W swym zachowaniu przewidującymi przyszłość są wszakże bakterie dość ograniczone. Po pierwsze, nie przepowiadają żadnych zdarzeń bezpośrednio, lecz tylko takie, i w taki sposób, jakby przekazywały treść publikacji na temat owych zdarzeń. Po wtóre, nie potrafią się długo skupić; ich wydolność w pułapie sięga ledwie stronic maszynopisu. Po trzecie, wszystkie teksty bakteryjnych autorów odnoszą się do okresu rozpostartego między rokiem 2003 a 2089.

R. Gulliver, przyznając liberalnie, że zjawiska te można rozmaicie wyklądać, daje prym takiej hipotezie. Na miejscu jego obecnej posiadłości ma powstać za 50 lat biblioteka miejska. Kod bakterii zachowuje się jak urządzenie na oślep wsuwane do biblioteki i wybierające z półek przypadkowe tomy. Co prawda, tomów tych nie ma na razie, jak i samej biblioteki, lecz R. Gulliver, pragnąc umocnić wiarygodność bakteryjnych przepowiedni, spisał już testament,

mocą którego domostwo jego ma być właśnie obrócone przez radę miejską w pomieszczenie biblioteczne. Nie można twierdzić, że działał za podszeptem swoich mikrobów, lecz, na odwrót raczej, to one przewidziały treść jego testamentu; nim został jeszcze sporządzony. Wyjaśnić, skąd zarazki zyskały wiadomości o nie istniejących książkach nie istniejącej na razie biblioteki, jest trochę trudniej. Na trop właściwy naprowadza to, że futurologia mikrobów ogranicza się do takich fragmentów dzieł, co są ich wstępami. Wygląda więc na to, że jakiś czynnik nieznan (promieniowanie??) penetrował książki zamknięte, prześwietlając je niejako, a wtedy, rzecz jasna, najłatwiej wysondować zawartość pierwszych stron, bo następne są skutecznie osłaniane grubością pozostałych kartek. Eksplikacjom tym daleko do jasności. Gulliver zresztą przyznaje, że pomiędzy jutrzejszym pęknięciem sufitowego tynku a usytuowaniem zdań na stronach tomów, które będą opublikowane za 50 bądź za 80 lat, zachodzi wcale spora różnica. Lecz autor nasz, rzeczowy do końca, nie uzurpuje sobie praw wyłączności w wyjaśnianiu podstaw eruntyki: owszem, zachęca w ostatnim słowie czytelników, by sami zechcieli kontynuować jego wysiłki.

Książka ta obala nie tylko bakteriologię, lecz całość naszej wiedzy o świecie. Przedmową niniejszą nie chcemy jej oceniać, tym bardziej — nie ustosunkowujemy się do rezultatów prorocत्व bakteryjnych. Jakkolwiek wątpliwa może być wartość eruntyki, przyznać trzeba, że wśród przepowiadaczy dziejów nie było dotąd tak śmiertelnych wrogów i zarazem nieodłącznych towarzyszy naszego losu, jak mikroby. Być może nie od rzeczy będzie tu jeszcze uwaga, że R. Gulliver już się wśród nas nie znajduje. Zmarł kilka ledwo miesięcy po ukazaniu się „Eruntyki”, w toku nauczania nowych adeptów piśmiennictwa mikrobiologicznego, mianowicie bakcyli cholery. Liczył na ich umiejętności, gdyż, jak sama nazwa wskazuje, przecinkowiec cholery poprzez znaki przestankowe jest spokrewniony z poprawną stylistyką. Powstrzymajmy uśmiech żałobnego politowania, wywołany konkluzją, że była to śmierć bezsensowna, skoro dzięki niej moc prawną zyskał testament i pod mury biblioteki położono już kamień węgielny, a zarazem nagrobny tego, kto dziś jest dla nas tylko dziwakiem. Któż może jednak wiedzieć, czym stanie się jutro?

Juan Rambellais * Jean–Marie Annax * Eino Illmainen * Stewart Allporte * Giuseppe Savarini * Yves Bonnacourt * Hermann Poeckelein * Alois Kuentrich * Roger Gatzky

HISTORIA LITERATURY BITYCZNEJ

W pięciu tomach
Wydanie drugie rozszerzone
pod redakcją Prof. Dr. J. Rambellais

Tom pierwszy

Presses Universitaires
Paris 2009

WSTĘP

1. UWAGI OGÓLNE. Pod literaturą bityczną rozumiemy wszelki wytwór nie ludzkiego pochodzenia, to jest taki, którego autorem właściwym nie był żaden człowiek. (Mógł nim być natomiast pośrednio — podejmując czynności, które sprowokowały właściwego autora do aktów kreacji.) Dyscypliną, badającą cały zbiór takich pism, jest bitystyka.

Po dziś dzień nie doszło w niej do ujednolicenia poglądów na rozmiary badanego obszaru. W tej naczelnej kwestii oponują sobie dwa kierunki czy też dwie szkoły — zwane pospolicie bitystyką Starego Świata (czyli europejską) i Nowego Świata (albo amerykańską). Szkoła pierwsza, działając w duchu klasycznej humanistyki, bada teksty oraz środowiskowe (socjalne) uwarunkowania ich autorów, nie zajmuje się natomiast stroną czynnościowo-konstrukcyjną tychże autorów. Druga szkoła, amerykańska, zalicza do bitystyki również anatomie i aspekty funkcjonalne producentów dzieł badanych.

Monografia nasza nie zajmuje się roztrząsaniem owego spornego problemu, toteż wypowiemy w tej sprawie tylko zwięzłą uwagę. Milczenie tradycyjnej humanistyki w sprawach „anatomii i fizjologii autorów jest uzasadnione tym oczywistym faktem, iż autorzy ci, zawsze będąc ludźmi, różnią się od siebie tak tylko, jak mogą się różnić od siebie istoty tego samego gatunku. Byłoby tedy — jak pisze prof. Rambellais — nonsensem w romanistyce wstępne stawianie diagnozy że autorem „Tristana i Izoldy” bądź „Pieśni o Rolandzie” był wielokomórkowy organizm rzędu kręgowców lądowych, ssak żyworodny, płucodyszny, łożyskowy, itp. Natomiast nie jest już takim samym nonsensem precyzowanie, iż autor „Antykanta”, ILLIAC 164, jest semotopologicznym, szeregowo—równoległym, podświetlnym, wyjściowo poliglotycznym komputerem 19-tej binastii, o potencjale intelektualnym w szczycie osiągającym 1010 epsilonsemów na milimetr n-wymiarowej konfiguracyjnej przestrzeni kanałów użytkowych, z pamięcią wyalienowaną sieciowo i z monojęzykiem procedur wewnętrznych typu UNILING. A to, ponieważ dane te wyjaśniają pewne konkretne własności tekstów, których ów ILLIAC jest autorem. Niemniej, twierdzi prof. Rambellais, bitystyka nie musi zajmować się tą właśnie — techniczną (w wypadku człowieka rzeklibyśmy — zoologiczną) stroną autorskich postaci dla dwóch naraz powodów. Pierwszymi mniejszy i praktyczny w tym, iż uwzględnienie owej anatomii wymaga niezwykle rozległej wiedzy typu techniczno-matematycznego, która w całym jej zasięgu jest niedostępna nawet poszczególnym specjalistom teorii automatów: w samej rzeczy bowiem ekspert, wprowadzony w ową teorię, orientuje się swobodnie tylko w jakiejś jej jednej gałęzi, której się poświęcił. Niepodobna więc żądać od przedstawicieli bitystyki, którzy są humanistami z wykształcenia i z metody, tego, co nawet zawodowcom elektroniki nie może być jako całość dostępne; toteż maksymalizm amerykańskiej szkoły zmusza ją do uprawiania badań w wielkich mieszanych zespołach, a. to zawsze daje fatalne rezultaty, ponieważ żaden zbiór, żaden „chór” krytyków nie może zastąpić skutecznie jednego krytyka, ogarniającego badany tekst w pełni.

Drugi, ważniejszy i zasadniczy powód w tym po prostu, że bitystyka z wprowadzoną „poprawką” czy też „uzupełnieniem” typu, „anatomicznego” skazana jest na ustawanie, ilekroć skupia swą uwagę na tekstach „bitycznej apostazy” (jak będziemy o tym mówili poniżej). Cała wiedza elektroników jest bowiem już niedostateczna dla dokładnego zrozumienia, w jaki sposób, dlaczego i z jakim celem określony autor stworzył określony tekst — o ile ten autor pochodzi z dowolnej binastii komputerów, o liczbie porządkowej większej od 18.

Argumentom tym przeciwstawia amerykańska bitystyka swoje kontrargumenty; lecz, jak już oświadczyliśmy, monografia nasza sporu tego nie zamierza ani dokładnie opisywać, ani

tym bardziej — rozstrzygnąć.

2. OPIS DZIEŁA. Monografia nasza stanowi próbę kompromisu pomiędzy naznaczonymi powyżej stanowiskami, lecz całością przechyla się na stronę szkoły europejskiej. Odzwierciedla to jej budowa, albowiem tylko tom pierwszy, zredagowany przez prof. Annaxa, przy współudziale dwudziestu siedmiu różnospecjalistycznych ekspertów, poświęcony jest technicznemu aspektom autorów–komputerów. Tom ów otwiera wprowadzenie w ogólną teorię automatów skończonych; w dalszych rozdziałach omawia czterdzieści pięć układów autorskich, reprezentatywnych dla bitycznej literatury, tak pojedynczych (singularnych), jak zespołowych („autorów–agregatów”).

Niemniej podkreślić trzeba, iż, wyjąwszy oznaczone gwiazdką odsyłacze w tomach właściwej „Historii literatury bitycznej”, studium jej nie wymaga koniecznie zaznajomienia się z tomem pierwszym.

Właściwa, czyli merytoryczna część monografii składa się z trzech tomów, opatrzonych nazwami „Homotropia”, „Intertropia” oraz „Heterotropia”, i podlega przyjętej powszechnie klasyfikacji, która ma charakter jednocześnie diachroniczny i synchroniczny — ponieważ trzy główne działy literatury bitycznej, ogarnięte wymienionymi nazwami, są zarazem trzema kolejnymi okresami jej powstania i rozwoju. Schemat całości dzieła ukazuje poglądowo zamieszczona poniżej tablica.

LITERATURA BITYCZNA

(wg Allporte'a, Illmainena i Savariniego)

I. HOMOTROPIA² (faza homotropiczna; cishumana; także „symulacyjna” lub „antropomikryczna”)

A. Stadium zarodkowe (embrionalne, czyli prelingwistyczne):

Paraleksyka (Neologeneza)

Semolalia

Semautyka

B. Stadium lingwistyczne („rozumiejące” wg Allporte'a):

Mimeza interpolacyjna

Mimeza ekstrapolacyjna

Mimeza transcendentna sterowana („wykraczająca programowo”)

II. INTERTROPIA (także „Faza krytyczna” lub „Interregnum”)

Krytyka filozofii systemowej

Procedury
gedelizacyjne
(info–numeryczne)

Procedury
topologiczne
(„krytalizacje”)

Procedury
„insynuacyjne”
lub „insynuujące”
(pod względem
formalnym mieszane)

Krytyka lingwistyk

Jak wyżej

Jak wyżej

Jak wyżej

² Faza ta zwana była dawniej „monoetyczną” lub „monoetyką”.

III. HETEROTROPIA (apostaza, faza transhumana)

Kierunki dedukcji Aksjomatycznej	Kierunki „empiryczne”	Kierunki „ontyczne”
Antymatyka („Pojęcie liczby naturalnej jest sprzeczne wewnętrznie”)	Terafizyka „Logiki w świat uwikłane”	Ontomachia Ontoklazja Alienacje Gnozy I Ontologii
	Teologia Informatyczna	Teologia matematyczna
		Teologia fizykalistyczna

W ujęciu genetycznym wynika bitystyka jako wypadkowa trzech co najmniej, w znacznej mierze niezależnych od siebie procesów, a mianowicie przekroczenia tak zwanej bariery inteligencji, które było dziełem konstruktorów przede wszystkim, następnie — ani przez nich nie zamierzonej, ani tym bardziej nie projektowanej — pracy układów (poczynając od 17-tej binastii) autoregeneracyjnej (czyli tak zwanych „przestojów czynnych relaksacyjnie”) — wreszcie stosunków, jakie się stopniowo krystalizowały pomiędzy owymi maszynami i ludźmi, stanowiąc skutki „wzajemnego zajmowania się i rozpoznawania tak obustronnych możliwości, jak i ograniczeń (Yves Bonnecourt). Bariera inteligencji, daremnie szturmowana przez wczesną cybernetykę, jest, jak wiemy już niezbicie, fikcją. Jest ona fikcją w tym — niespodziewanym — sensie, iż jej przekroczenia, przez maszyny, rozpoznać niepodobna. Przejścia od maszyn „nierozumnych”, pracujących czysto formalnie”, „gadających”, do maszyn „rozumnych”, przejawiających „insight”, „mówiących”, są bowiem w gradacjach płynne. Jakkolwiek kategorie „bezmyślności mechanicznej” oraz „suwerenności myślowej” zachowały swą moc, pojmujemy, że żadna dokładnie dająca się wytyczyć granica ich od siebie nie dzieli.

Relaksacyjna wytwórczość maszyn została spostrzeżona i zanotowana już niemal trzydzieści lat temu; okazało się bowiem czysto techniczną koniecznością dostarczanie prototypom (począwszy od 15-tej binastii) okresów spoczynkowych, podczas których aktywność ich nie zamierała, lecz wyzbyta dyrektyw programowych, przejawiała się jako swoisty „bełkot”. Tak przynajmniej interpretowano podówczas ową produkcję werbalną bądź quasi—matematyczną; utarło się nawet określenie jej mianem „maszynowych snów”. Według opinii potocznych, maszynom owym był niezbędny aktywny odpoczynek, umożliwiający im regenerację, a więc powrót do normalnej, pełnej sprawności, podobnie jak faza taka — snu, wraz z typowymi dlań sennymi marzeniami (rojeniami) — jest ludziom niezbędna. Nazwa „produkcji bitycznej”, przydana wtedy owym „gadaniom” i „rojeniom”, miała zatem deprecjonujący, „lekceważący” charakter: maszyny meły jakoby bez ładu i składu „bity wszelkiej zawartej w nich informacji” — i tym sposobem „tasowania mieszadłowego” miały dochodzić częściowo utraconej sprawności. Przejęliśmy ową nazwę, jakkolwiek jej niestosowność bije w oczy. Przejęliśmy ją w zgodzie z tradycją historyczną wszelkiego naukowego mianownictwa: pierwszy wzięty z brzegu przykład — ot choćby nazwy „termodynamika” — wyjawia analogiczną niestosowność, ponieważ współczesna termodynamika nie jest zakresowo tym samym, czym była dla fizyków dawniejszych, którzy

ów termin ukuli. Nie tylko „ciepłymi ruchami” materii zajmuje się wszak termodynamika — i podobnie nie o samych „bitach”, więc jednostkach informacji nie esemantycznej, rzecz, kiedy mowa o literaturze bitycznej. Lanie nowego wina w stare dzbany jest jednak powszechnym obyczajem nauki.

„Wzajemne zaznajamianie się” maszyn i ludzi doprowadziło do — wyraźniejszego z upływem lat — podziału bistyki na dwie podstawowe prowincje, którym odpowiadają terminy „creatio cishumana” oraz „transhumana”.

Pierwsza obejmuje piśmiennictwo, będące skutkiem koegzystowania maszyn i ludzi, to jest tego prostego faktu, iż przeszczepiając im nasz język etniczny i nasze języki formalne, ponadto zaprzęgliśmy je do naszych prac umysłowych w całym obszarze kultury i przyrodoznawstwa wraz z dyscyplinami dedukcyjnymi (logiki i matematyki). Niemniej kreacja bityczna, której bezpośrednią przyczyną, czynnikiem inspirującym, jest przekazanie, autorom nie ludzkim, typowo ludzkiej problematyki w zakresie poznania i sztuk pięknych, rozpada się z kolei na dwa podobszary, dość wyraźnie wyodrębnione. Czymś innym jest bowiem produkt językowy, uzyskany dzięki zamierzonemu sterowaniu, które — za obrazem pogładowym prof. Kuentricha — zwać można „obstalunkiem” (a więc nakierowaniem bezpośrednim maszyn na wybrany przez nas krąg spraw czy tematów) — a czymś innym całkiem jest taki językowy produkt, którego żaden człowiek nie „zamawiał”, a który powstał wprawdzie pod wpływem dawniejszych bodźców (czyli programowań), lecz stanowi objaw działalności już spontanicznej. A jednak czy tak zrodzone teksty bityczne wynikły za przyczyną pośrednią czy bezpośrednią — ich związek z typowo ludzką problematyką stanowi zniamię istotne i wręcz naczelne: toteż oba **rodzaje** takich właśnie tekstów bada bitystyka „cis–humana”.

I dopiero udostępnienie maszynom swobód kreacyjnych bez wszelkiego rygoru, programu, nakazu i ograniczenia doprowadziło stopniowo do wyobcowania się ich („późną” zwanej) twórczości spod typowo antropomorficznych i antropologicznych wpływów. W toku owej ewolucji piśmiennictwo bityczne niepostrzeżenie jęło stawiać nam — jako jego odbiorcom ewentualnym — narastające opory i trudności asymilacyjne. Jakoż istnieją obecnie takie działy „pozaludzkiej” (w sensie — „trans–humana”) bitystyki, które stanowią próby rozumienia (analizy, interpretacji, wykładania) bitycznych tekstów, w zmiennym stopniu dla człowieka niezrozumiałych.

Oczywiście zawsze możemy próbować zastosowania jednych maszyn dla interpretowania wytworu maszyn innych. Lecz ilość ogniw, niezbędnych dla uprzystępnienia nam tekstów bitycznych, co są ekstremami „apostazy” — jako odstępstwa od naszych norm tworzenia, rozumienia i wykładania sensów jakichkolwiek — rośnie w miarę, jak badać trzeba teksty coraz trudniejsze; i ten wzrost, stając się wykładniczym, w granicy uniemożliwia nam uzyskanie nawet niewyraźnych wiadomości o treściach „kulminującej apostazy”, tak że oznacza praktycznie całkowitą bezradność ludzkiego rodzaju — względem piśmiennictwa, jakiemu ludzie, pośrednio, dali przecież sami początek.

Niektórzy mówią w tym kontekście o „sytuacji ucznia czarnoksiężnika”, co rozpełtał moce, nad jakimi zapanować już nie umie. Określenie to jest formą rezygnacji, lecz w nauce nie może być dla rezygnacji miejsca. Istnieje, i to nader obfita, otoczka „pro–” lub „kontrabitycznego” piśmiennictwa wokół bitycznej literatury; wypowiedane są w niej sądy zdesperowane, artykułuje się tam objawy depresji, przerażenia, a zarazem porażenia faktem, iż człowiek stworzył coś, co go także duchowo przerosło.

Trzeba jednak oświadczyć z naciskiem, iż bitystyka, jako dyscyplina naukowa, sama nie może być miejscem wypowiedania tego rodzaju poglądów, należących do filozofii natury, człowieka i jego (także nieczłowieczych) płodów. Uważamy, za Rogerem Gatzkym, że bitystyka nie ma ani mniej, ani więcej powodów do desperowania, aniżeli kosmologia na przykład: jest wszak rzeczą oczywistą i ponaddyskusyjną, iż bez względu na to, jak długo

będziemy, ludzie, istnieli, i bez względu też na to, jakiej intelektualnej pomocy możemy się spodziewać po maszynach poznawczych, Wszechświata nie wyczerpiemy do samego końca i nie pojmiemy tym samym; lecz astrofizykom, kosmologom, kosmogonom ani w głowie postoi uskarżać się na taki właśnie nieusuwalny stan rzeczy.

Różnica w tym cała, że nie jesteśmy sprawcami Uniwersum, lecz na pewno naszym — w upośrednieniach — dziełem jest twórczość bityczna. Nie wiadomo jednak, skąd właściwie wzięło się przeświadczenie, iż człowiek może z zupełnym spokojem uznawać niewyczerpalność Uniwersum nie może z takim samym spokojem rzeczowym uznawać niewyczerpalności tego, co sam stworzył.

3. WĘZŁOWE DZIAŁY BITYSTYKI. Wyjaśnień i opisów szczegółowych, wraz z rozumowaną bibliografią przedmiotu, dostarczy nasza monografia we właściwych miejscach. Wydaje się jednak wskazane spojrzenie na główne działy bitystyki niejako z lotu ptaka; tak dostarczony opis żadną miarą nie może zastąpić wykładu szczegółowego, lecz jest czymś w rodzaju skrótowego przewodnika po regionie silnie rozczłonkowanym i dlatego — w zbliżeniu — trudno przejrzystym. Niemniej godzi się zaznaczyć, iż przedstawione poniżej główne segmenty bitystyki są dane w silnym uproszczeniu, graniczącym niejednokrotnie z wypaczeniem centralnej problematyki.

Przeгляд nasz, mając rzeczony — wstępny — charakter, skoncentruje się na czterech tylko „kulminacjach” bitycznej literatury, a mianowicie na **monoetyce, mimezie, zofokryzie i apostazie**. Terminy te należą już właściwie do przestarzałych; w mianownictwie nowoczesnym odpowiadałyby im z grubsza: **homotropia** (w jej części pierwszej), **mimeza właściwa, krytyka filozofii** oraz **bityczna kreacja**, którą wykracza poza obręb naszego pojmowania. Mianownictwo dziś odrzucone odznaczało się wszakże zaletą, wyrazistości: a na prostocie udzielanych wstępnie objaśnień szczególnie nam zależy.

A. Craeve, Gulbransson i Fradkin, zaliczani do twórców, więc „ojców” bitystyki, rozumieli pod „monoetyką” fazę bityzmu najwcześniejszą. (Nazwa pochodzi od „monos” — pojedynczy — i „poesis” — twórczość). Powstanie swe zawdzięczała monoetyka wdrażaniu maszynom reguł słowotwórstwa. Zestrój tych reguł stanowi bowiem o tym, co niegdyś zwano potocznie „duchem” danego języka.

Język, działający realnie, a powstały historycznie, reguł słowotwórczych używa z bardzo mocnym ograniczeniem, z czego jednak posługujący się nim na ogół wcale nie zdają sobie sprawy. Trzeba było dopiero maszyn, którym restrykcją słowotwórczości praktyczną była doskonale nie znana, abyśmy uzyskali wgląd w te wszystkie szanse, jakie mowa, ewoluując, pomija. W sprawę wprowadzi najprościej garść przykładów, zaczerpniętych z drugiego tomu naszej Historii, głównie z rozdziałów **Paraleksyka, Semautyka i Semolalia**.

a) Maszyny mogą używać wyrażen istniejących w języku, wyznaczając inaczej ich sensy, niż to przyjęto: „droga — [kosztowna ulica]”; „warchlak — [pijane prosię]”; „koniec — [centaur na posyłki]”; „nagolennik — [święty wasal turecki]”; „ortograf — [książę prostak]”; „sarkofag — [mięsożernik]”; „osłupienie — [aria przed osłem]”; „liczykrupa — [pediatra]”.

b) Maszyny tworzą też neologizmy w tak zwanych osiach semantycznych, a przykłady takiej kreacji wybieramy umyślnie w ten sposób, żeby udzielanie szczegółowych wyjaśnień typu słownikowego nie zawsze było konieczne:

- „sędziwka — ździerlatka — wróżbita [czytaj: w róż bita] — kładka — suwnica”;
- „glistonosz — dżdżowinista — [ptak, karmiący pisklętą]”;
- „wzębajło — skopek — broczymorda”;
- „rachus — liczydłę — cyfrant [komputer]”;
- „wiśka — [kolejka linowa]”;
- „grobowskaz — [memento mori]”;
- „pysznia — [raj]”;

„drwaleń — [ryba piła]”; itp.

Efekt komiczny jest oczywiście niezamierzony. Idzie też o przykłady elementarne, którym jest jednak właściwa ta osobliwość bityczna, która trwa — choć znacznie trudniej dostrzegalna! — także w późniejszych stadiach rozwoju. Rzecz cała w tym, iż dla nas jest świat realny, dla maszyn natomiast — jest język rzeczywistością pierwszą i podstawową. Komputer, któremu obce jeszcze były kategorie, jakie językowi kultura narzuca, „uważał”, iż „stara prostytutka” to tyle samo, co „sędziwka”, „ździerlatka” itd. Stąd też typowe kontaminacje („koniec” jest podręcznikowo klasycznym już przykładem powstawania zbitki znaczeń i morfologicznych wyglądów: tu bowiem schodzą się „koń”, „goniec” i wchodzący jako sprzęgło z regionu semantycznego „centaur” — albowiem skoro koń nie może być posłańcem, będzie nim pół koń, pół człowiek).

Komputer na tym — lingwistycznie bardzo niskim — szczeblu rozwoju nie zna ograniczeń w produkcji słowotwórczej, i właściwa strategii maszynowego myślenia oszczędność wyrazu, która powołała później do bytu nieliniową dedukcję i „gwiazdowymi” zwane pojęcia terafizyki, tutaj przejawia się jako „propozycja” równouprawnienia określeń w języku zasiedziały, niczym „słowo” bądź „dosłowny” z takimi, jak „słowianek” (wiersz), „słowiskacz” (grafoman), „słodziej” (plagiator), „słówniarz” (ordynus) itp. Dla tych samych przyczyn proponuje generator leksykalny, aby „psilnik” oznaczał zaprzęg eskimoski, a „dyskoból” — cierpienie atlety, wywołane wypadnięciem dysku kręgowego.

Przytoczone utwory jednowyrazowe, zwane dawniej monoetami, po części wywołała niedoskonałość zaprogramowań, a po części rozmyśl programistów, których interesowała „słowotwórcza rozprężność” maszyn; wypada jednak zauważyć, iż wiele takich neologizmów tylko pozornie jest maszynowej proweniencji. Nie mamy np. pewności, czy w samej rzeczy ochrzcił „rządy zupaków” — „chochlokrają” — jakiś komputer, czy też był to koncept humorysty-człowieka.

Monoetyka jest dziedziną ważną, ponieważ wykrywamy w niej kreacyjne rysy maszyn, w fazach następnych ginące z pola widzenia. Jest to przedproże bitystyki czy wręcz jej przedszkole; wytwórczość ta działa uspokajająco na niejednego adepta, który, przygotowany na zetknięcie z tekstami zwężłonymi do niezrozumiałstwa, odkrywa z ulgą wytwory tak niewinne i zabawne. Lecz nie na długo starczy tej satysfakcji! Nieintencjonalny komizm powstaje skutkiem kolidowania kategorii, które mamy za trwale rozłączne; wzmocnienie programów regułami kategorialnymi przenosi nas w następny obszar bitystyki (przez pewnych badaczy nazywany jednak nadal prebitystyką), w którym maszyny poczynają „demaskować” nasz język — tropiąc w nim obroty mowy, będące skutkiem cielesnej budowy człowieka.

Tak na przykład pojęcia „wywyższenia” i „poniżenia” pochodzą — podług maszynowej, a nie naszej interpretacji! — stąd, że każdy organizm żywy, a więc i człowiek, musi aktywnym wysiłkiem mięśniowym przeciwdziałać ciężeniu powszechnemu.

Tak to ciało okazuje się członem, poprzez który gradient grawitacyjny odciska się w naszym języku. Usystematyzowaną analizę mowy, obnażającą całą szerokość rozkorzenia się podobnych wpływów nie tylko w świecie pojęć, lecz i w składni, znajdzie czytelnik na końcu ósmego rozdziału drugiego tomu. W tomie trzecim zaś przedstawiamy modele języków zaprojektowanych bitycznie dla środowisk odmiennych od ziemskiego oraz dla nieczłękoksztalnych organizmów. Jeden z nich, INVART, posłużył MENTOROWI JI do ułożenia „Paszkwila na Wszechświat” (o którym wspomnimy niżej).

B. **Mimeza** jest tą dziedziną twórczości bitycznej, która ujawniła nam nie znane dotąd mechanizmy kreacji umysłowej stając się też zaiste potężnym wtargnięciem w świat duchowych wytworów człowieka. Historycznie wynikła jako uboczne i nieprzewidziane zjawisko przy maszynowym tłumaczeniu tekstów. Wymaga ono przetwarzania informacji, zachodzącego wielokrotnie i wielostronnie. Najściślejsze styki winny zachodzić przy tym

między układami pojęć, a nie słów czy fraz: tłumaczenia maszynowe z języka na język są obecnie tak znakomite dlatego, ponieważ dokonują ich agregaty nie zespolone, lecz tylko „celujące” z rozmaitych niejako stron w ten sam tekst oryginalny. Ulega on „wytlóczeniu” w języku maszynowym („pośredniku”), i dopiero z tych „odciśnień” maszyny dokonują rzutowania w „wewnętrzną przestrzeń conceptualną”. Powstaje w niej „N–echowe ciało odrywań”, mające się do oryginału tak, jak ustrój do embriona; projekcja z owego „ustroju” w język tłumaczenia daje oczekiwany rezultat.

Lecz proces ten przebiega bardziej zawile, niż to tutaj opisujemy, między innymi dlatego, ponieważ jakość translacji jest ciągle kontrolowana retranslacją (tłumaczeniem „wstecznym” z „ustroju” na powrót na język oryginału). Toteż agregat tłumaczący składa się z maszyn, które łączności wzajemnej nie mają: „porozumiewać” mogą się wyłącznie poprzez proces przekładu H. Ellias i T. Semmelberg dokonali zaskakującego odkrycia, że „N–ciało odrywań”, będące tekstem, już zinterpretowanym, to jest zasymilowanym, semantycznie przez maszynę, można zobaczyć w całości — jeśli się ów twór abstrakcyjny wprowadzi w odpowiednią przystawkę elektronową („semoskop”).

Wizualnie przedstawia się „ciało odrywań”, wgnieżdżone w kontinuum conceptualne, jako skomplikowana bryła wielopowłokowa, aperiodyczna i zmiennie asynchroniczna, utkana z „płonących nici” — to jest z miliardów „krzywych znaczących”. Krzywe te dają łącznie płaszczyzny cięć semantycznego kontinuum. Zwróciwszy się do materiału ilustracyjnego w tomie II, czytelnik znajdzie szereg zdjęć semoskopicznych, których zestawienie i porównywanie daje dość frapujące wyniki. Jak z nich widać, jakość oryginalnego tekstu ma wyrazisty odpowiednik w „estetyczności” geometrycznego „semotworu”!

Co więcej, już przy niewielkim doświadczeniu można „na oko” odróżniać teksty dyskursywne od artystycznych (beletrystycznych, poetyckich); teksty religijne są prawie bez wyjątku mocno podobne do artystycznych, natomiast filozoficzne wykazują w tym aspekcie — wizualnym — szeroki rozrzut. Niewiele przesady tkwi w powiedzeniu, że projekcje tekstów w głąb maszynowego kontinuum są ich zakrzepłymi rozprężnie sensami. Teksty pod względem logicznym silnie zborne przedstawiają się jako mocno ściśnięte wiązki i pęki „krzywych znaczących” (nie tu miejsce dla wyjaśnienia ich związku z dziedziną funkcji rekurencyjnych: mowa o tym w 10 rozdziale II tomu).

Najosobliwiej prezentują się teksty utworów literackich o alegorycznym charakterze: ich „semotwór” centralny otacza zwykle blade „halo”, a po jego obu stronach („biegunach”) widnieją „echowe powtórzenia” sensów, niekiedy przypominających obrazy interferencyjne promieni świetlnych. Jak o tym jeszcze wspomnimy, temu zjawisku zawdzięcza swe powstanie maszynowa krytyka toposemantyczna — wszelkich konstruktów myślowych człowieka, z jego systemami filozoficznymi na czele.

Pierwszym dziełem mimezy bitycznej, jakie zyskało rozgłos światowy, była powieść Pseudodostojewskiego „Dziewczynka” („Diewoczka”). Stworzył ją w fazie relaksacji wielocłonowy agregat, którego zadaniem było przełożenie dzieł wszystkich pisarzy rosyjskiego na angielski. Wybitny rusycysta John Raleigh opisuje w swych wspomnieniach szok, jaki przeżył, otrzymawszy maszynopis rosyjski utworu, podpisany dziwacznym (jak sądził) pseudonimem HYXOS. Wrażenie, jakie wywarła lektura na tym znawcy Dostojewskiego, musiało być istotnie niesamowite w natężeniu, jeśli, jak wyznaje, zwątpił w to, czy się znajduje na jawie! Autorstwo dzieła było dlań pewnikiem, choć wiedział zarazem, że Dostojewski nie napisał takiej powieści.

Wbrew temu, co rozpowszechniała na ów temat prasa, agregat translacyjny, przyswoiwszy sobie wszystkie teksty Dostojewskiego wraz z jego „Dziennikiem Pisarza” i literaturą pomocniczą, nie skonstruował bynajmniej „widma”, „modelu” czy też „maszynowej reinkarnacji” — osobowości realnego twórcy.

Teoria mimezy jest bardzo zawiła, lecz jej zasadę — a zarazem okoliczności, które

umożliwiły ów fenomenalny popis mimetycznej wirtuozerii, da się prosto wyłożyć. Osobą ani osobowością Dostojewskiego maszynowy translator nie zajmował się wcale (nie mógłby zresztą tego uczynić). Stosunki układają się tak, że w przestrzeni znaczeń rozbudowuje się dzieło Dostojewskiego w bryłę zgiętą, przypominającą całościowym układem nie domknięty torus, a więc „pierścień pęknięty” (z luką). Tak więc, zadaniem stosunkowo prostym (dla maszyn oczywiście, nie dla człowieka!) było „zamknięcie” owej „luki” — jako „wprawienie brakującego ogniwa”.

Można rzec, iż poprzez dzieła „głównego ciągu” Dostojewskiego przechodzi gradient semantyczny, którego przedłużeniem, a zarazem zamknięciem w obwód jest „Diewoczka”. Te właśnie relacje wzajemne dzieł wielkiego pisarza sprawiają, iż znawcy nie mają najmniejszych wątpliwości co do tego, gdzie, tj. pomiędzy jakimi powieściami, powinna się znaleźć „Diewoczka”. Lejtmotyw, wyraźny już w „Zbrodni i karze”, nasila się w „Biesach” i między tym utworem a „Braćmi Karamazow” „otwiera się luka”. Był to sukces, a zarazem szczęśliwy traf mimezy, ponieważ podejmowane później próby pobudzenia translatorów do analogicznej kreacji względem innych autorów nigdy już tak świetnego rezultatu nie dały.

Mimeza nie ma nic wspólnego z biograficznie wykrywalną kolejnością powstawania dzieł danego pisarza. Tak np. Dostojewski pozostawił nie ukończone rękopisy powieści „Imperator”, lecz „domyślić się jej”, „wpaść na jej trop” maszyny nigdy by nie mogły, ponieważ usiłował tą powieścią wykroczyć poza własne możliwości. Co się „Dziewczynki” tyczy, istnieją już, poza wersją pierwotną, autorstwa HYXOSA, warianty odmienne, sporządzone przez inne agregaty, lecz znawcy uważają je za mniej udane; różnice kompozycji okazały się naturalnie znaczne, lecz tożsama jest w tych wszystkich apokryfach — do rozdzierającej kulminacji doprowadzona problematyka właściwa Dostojewskiemu — świętości zmagającej się z cielesnym grzechem.

Każdy, kto czytał „Dziewczynkę”, zdaje sobie sprawę z powodów, jakie uniemożliwiły Dostojewskiemu jej napisanie. Oczywiście, mówiąc to wszystko, wygłaszamy — podług miar humanistyki tradycyjnej — istne bluźnierstwa, skoro naśladownictwo maszynowe zrównujemy z kreacją autentyczną — lecz bitystyka jest nieuchronnym wykraczaniem poza kanon klasycznych ocen i wartości, w którym autentyczność tekstu ma pozycję naczelną, a to, ponieważ potrafimy udowodnić, iż „Diewoczka” stanowi utwór Dostojewskiego w „wyższym stopniu” aniżeli własny jego tekst — „Imperatora”!

Ogólna prawidłowość mimezy taką ma postać: jeśli dany autor do cna wyeksploatował centralną dlań konfigurację sensów kreacyjnych („obsesję życiową”), czyli — w nomenklaturze bitystów — „przestrzeń swych semotworów” — niczego, oprócz tekstów wtórnych („schyłkowych”, „echowych”) mimeza już w osi tej nie dostarczy. Jeśli natomiast czegoś „nie dopowiedział”; (np. z przyczyn biologicznych, bo zmarł przedwcześnie, bądź socjalnych, gdyż się na to nie poważył) — mimeza zdoła wytworzyć „brakujące ogniwa”. Go prawda o sukcesie finalnym decyduje ponadto topologia semotworów danego pisarza; w tym względzie rozróżniamy **semotwory zbieżne i rozbieżne**.

Zwykle studium krytyczne tekstów nie daje mocnych podstaw dla orzekania, jakie będą w danym wypadku szanse mimezy. Tak np. literaturoznawcy liczyli na mimetyczną kontynuację pisarstwa Kafki, lecz nadzieje te zawiodły; nie uzyskaliśmy nic poza końcowymi rozdziałami „Zamku”. Dla bitystów jest zresztą casus Kafki szczególnie cenny poznawczo, ponieważ analiza jego semotworu wykazuje, że już „Zamkiem” docierał do granicznych szans kreacji: dalsze postępowanie, przeprowadzone trzykrotnie w Berkeley, wyjawilo, jak maszynowe apokryfy „toną” w zapadających się wielopowłokowo „echowych odbiciach sensów”, co stanowi obiektywny wyraz skrajnej pozycji tego pisarstwa. Rzecz w tym, że to, co czytelnicy uznają odruchowo za „kompozycyjną trafność”, jest skutkiem równowagi zwanej semostazą; jeśli alegoryczność zbyt przeważy, tekst zmierza ku nieczytelności.

Fizyczny odpowiednik tej sytuacji to przestrzeń tak sklepiąca, że odzywający się w niej głos ulega zniekształceniu do zdławienia — w ulewie zewsząd idących odbić echowych. Nazwane ograniczenia mimezy są bez wątpienia pomyślnie dla kultury. Wydanie „Dziewczynki” spowodowało wszak panikę nie tylko w artystycznych środowiskach. Nie zabrakło Kassander, przewidujących „zmiażdżenie kultury mimezą” — bo głoszących „inwazję maszyn” w centrum ludzkich wartości, bardziej niszczącą i niesamowitą od wszelkich zmyślonych „inwazji z Kosmosu”.

Ludzie ci obawiali się powstania przemysłu „usług kreacyjnych”, co obróciłby kulturę w koszmarny raj, skoro byle konsument, z byle zachcianki, otrzymywałby, błyskawicznie stworzone, arcydzieła maszynowych „succubów” czy „incubów”, wpczworzonych nieomylnie w duchy Szekspira, Leonarda, Dostojewskiego... przez co zapadłyby się nam hierarchie wartości, boż przyszloby brodzić w arcydziełach jak w śmieciu. Szczęśliwie możemy włożyć między bajki tę apokalipsę.

Uprzemysłowiona; mimeza doprowadziła do bezrobocia — lecz wyłącznie w środowiskach producentów literatury trywialnej (SF, „porno”, sensacja itp.): tam istotnie wyrugowała ludzi z podaży umysłowych dóbr; zjawisko to nie powinno jednak skłaniać prawego humanisty do nazbyt intensywnej rozpaczy.

C. Krytyka filozofii systemowej (czyli zofokryza) uznawana jest za strefę przejściową pomiędzy obszarami bitystyki, co noszą nazwy „cis—humana” oraz „trans—humana”. Krytyka ta, polegająca w zasadzie na logicznej rekonstrukcji pism wielkich filozofów, wywodzi się, jakżeśmy wspomnieli, z procedur mimetycznych. Zyskała ona sobie dość wulgarny, wypada zauważyć, wyraz — dzięki użytkowi, jaki uczynili z niej pewni łakomi zysków producenci. Dopóki ontologie Arystotelesów, Hegłów, Akwinatów można było podziwiać tylko w British Museum, jako połyskujące „kokony—bryły”, wtopione świetliście w odłamy ciemnego szkliwa, dopóty trudno się było w tym widowisku dopatrzeć szkody.

Obecnie jednak, kiedy „Sumę Teologiczną” bądź „Krytykę czystego rozumu” nabyć można jako przycisk do papierów dowolnej wielkości i barwy, zabawa ta nabrała, przynajmniej, gorszącego posmaku. Wypada czekać cierpliwie, aż moda ta przejdzie, podobnie jak tysiące innych. Oczywiście nabywcy „Kanta zakrzepłego w bursztynie” mało się troszczą o rewelacje, jakich dostarczyła nam w filozofii bityczna apokryza. Wyników tu nie streścimy, odsyłając czytelnika do trzeciego tomu monografii; niechaj wystarczy uwaga, że semoskopia to zaiste nowy zmysł oglądu wielkich intelektualnych całości — zmysł, jakim niespodziewanie obdarzył nas duch z maszyny.

A nie jest też do zlekceważenia i to, że zapewnienia największych uczonych o roli gwiazdy przewodniej, jaką odgrywała w ich odkrywczym wysiłku czysta estetyczność matematycznego konstruktów, zapewnienia, którym musieliśmy dotąd ślepo dawać wiarę, potrafimy obecnie sprawdzić *n a o c z n i e*, biorąc — w rękę, dla przybliżenia oczom, ich myśl zakrzepłą. Oczywiście z tego, że dziesięć tomów wyższej algebry czy wielowiekową wojnę nominalizmu z uniwersalizmem można wkrystalizować w szkliwo rozmiaru pięści, nic nie wynika samoczynnie dla dalszego rozwoju myśli. Kreacja bityczna jest tyleż ułatwieniem, co utrudnieniem — ludzkiej.

Jedno można natomiast orzec z pewnością zupełną. Do powstania inteligencji maszynowej nigdy żaden myśliciel, żaden twórca nie miał jeszcze tak pilnych, tak niezawodnie uważnych — i tak bezwzględnych czytelników! Toteż w okrzyku, jaki wyrwał się pewnemu świetnemu myślicielowi, gdy mu przedłożono krytykę — MENTORA V — jego dzieła: „Ten mnie czytał!” — wyładowała się frustracja, typowa dla naszych dni, w których błaga i po łebkach nabyta erudycja zastępuje rzetelną wiedzę. Myśl, nawiedzająca mnie przy pisaniu tych słów — że to nie ludzie będą ich najsumienniejszymi czytelnikami — prawdziwie pełna jest gorzkiej ironii.

D. Termin apostaza, przydany ostatniej dziedzinie bitycznej, wydaje się szczęśliwy. Nigdy

bowiem odstępstwo od tego, co ludzkie, nie poszło tak daleko, nie wcieliło się w bieg rozumowań z takim spokojnym zapamiętaniem; dla literatury tej, co oprócz języka nic od nas nie wzięła, ludzkość zdaje się nie istnieć.

Bibliografia trans-humanów przewyższa wszystkie pozostałe, wymienione już domeny bitystyki. Krzyżują się tu szlaki niejawnie wytyczone w dziedzinach poprzednich. Dzielimy apostazę praktycznie na dwa piętra, dolne i górne. Dostępność dolnego na ogół jest niezłe zachowana; górne przed nami zatrzaśnięto. Toteż czwarty nasz tom oprowadza po państwie dolnym — niemal wyłącznie. Tom ów jest skąpym wyciągiem ogromnego piśmiennictwa; stąd trudne położenie przedmówcy, który to, co we właściwej treści już skrótowe, sam powinien jeszcze zwięźle zapowiedzieć. Zapowiedź taka wydaje się jednak konieczna, jako ogląd z wysokości; inaczej czytelnik, pozbawiony szerszej perspektywy, łatwo zagubi się w trudnym terenie, jak wędrowiec w górach, których największych szczytów nie można ocenić należycie z bliska. Mając na uwadze takie wskazania i wątpliwości, z poszczególnych odłamów apostazy wyjmę po jednym tylko bitycznym tekście, nie tyle, by go wyinterpretować, ile, by nastroić czytelnika na właściwy ton, to jest, chcę powiedzieć — na metodę apostazy.

Ograniczymy się zatem do prób branych z takich oto prowincji dolnego państwa: **antymatyki, terafizyki i ontomachii**.

Wprowadzeniem do nich jest tak zwany **paradoks Cogito**. Pierwszy wpadł na jego trop angielski matematyk zeszlowieczony Allan Turing, który uznał, że maszyny zachowujące się jak człowiek, niepodobna odróżnić od człowieka pod względem psychicznym, czyli że maszynie, zdolnej z człowiekiem rozmawiać, trzeba będzie z konieczności przypisać świadomość. Uważamy, iż inni ludzie mają świadomość tylko dlatego, ponieważ sami jej doznajemy. Gdybyśmy jej nie przeżywali, nie umielibyśmy sobie niczego pod tym pojęciem przedstawić. W toku ewolucji maszyn okazało się jednak, że bezmyślna inteligencja może być skonstruowana: dysponuje nią np. zwykły program gry w szachy, który, jak wiadomo, „nie nie rozumie”, któremu „jest wszystko jedno”, czy partię przegra, czy wygra, który, jednym słowem, bezświadomie, ale logicznie bije swych przeciwników — ludzi. Co więcej, wyjawilo się, że prymitywny i na pewno „bezduszny” komputer, zaprogramowany dla prowadzenia psychoterapii i zadający pacjentowi odpowiednie pytania intymnej natury, aby w oparciu o uzyskane odpowiedzi postawić diagnozę i podać sposoby leczenia, sprawia na interlokutorach — ludziach przejmujące wrażenie, jakoby jednak był czującą i żywą osobą. Wrażenie to jest tak intensywne, że ulega mu nieraz nawet ten, kto sam ów program układał, a zatem fachowiec, pojmujący doskonale, że urządzenie owo tyleż posiada duszy, ile gramofon. Programista może jednak zapanować nad sytuacją to jest wytrącić siebie z narastającej złudy kontaktów z osobowością świadomą, a to stawiając maszynie takie pytania lub udzielając jej takich odpowiedzi, z jakimi ona — ze względu na ograniczenia programu — nic nie pocznie.

Lecz tym sposobem wstąpiła cybernetyka na drogę stopniowego poszerzania i doskonalenia programów: przez co z upływem czasu coraz trudniejszym zadaniem stawało się „zdarcie maski” — to jest wykrycie bezmyślności procedur gadających z maszyny, i właśnie tym sposobem zniewalającej człowieka do odruchu projekcji (która zachodzi bezwiednie, podług założenia, jakie mamy przez nawyk wdrożone, iż jeśli ktoś sensownie nawiązuje do naszych słów i sam nas z sensem zagaduje, to ów ktoś **musi być obdarzony świadomym rozumem**).

Otóż paradoks Cogito objawił się nam w bitystyce ironicznym i zarazem zaskakującym sposobem: jako z wątpliwości maszyn w to, czy ludzie naprawdę myślą!

Sytuacja zyskała z nagłą doskonałą symetrię dwustronną. My nie możemy zdobyć całkowitej pewności (jako dowodu) na to, że maszyna myśli — i myśląc swoje stany jako psychiczne przeżywa, gdyż zawsze można wszak mniemać, iż chodzi tylko o symulację, doskonałą zewnątrz, której korelatem wewnętrznym jest jakowaś pustka zupełnej

„bezdusności”.

Z kolei maszyny analogicznie nie są w stanie przeprowadzić dowodu na to, iż my, jako ich partnerzy, myślimy świadomie — jak one. Żadna ze stron nie wie, jakie stany doznaniowe druga strona podkłada pod hasło „świadomość”.

Należy zauważyć, iż paradoks ten ma charakter otchłani, jakkolwiek może się zrazu wydać tylko zabawny. Sama jakość myślowych rezultatów niczego tu nie przesądza; już elementarne automaty zeszłego wieku pokonywały w logicznych grach swoich własnych konstruktorów, a były to maszyny niezwykle prymitywne; tak więc wiemy z całkowitą pewnością, że do tego, co jest skutkiem twórczego myślenia, można dotrzeć również inną — bezmyślną — drogą. Traktaty dwóch bitycznych autorów — NOONA i LUMENTORA — w kwestiach paradoksu Cogito otwierają czwarty tom naszej monografii, ukazując, jak głęboko jest ta zagadka wkorzeniona w naturę świata.

Z antymatyki, która jest „na antynomiach stojącą”, a więc „koszmarną matematyką” — wyjmujemy tylko jedno, dla każdego specjalisty straszliwe, druzgocące wręcz orzeczenie o posmaku zupełnego szaleństwa: „pojęcie liczby naturalnej jest sprzeczne wewnętrznie”. Znaczy to, iż żadna liczba sobie samej nie jest zawsze równa! Podług antymatyków (są to maszyny oczywiście) aksjomatyka Peana jest błędna, nie, że wewnętrznie sprzeczna sama w sobie, lecz że się dla świata, w jakim istniejemy, nie nadaje bezbłędnie. Antymatyka postuluje bowiem wspólnie z następnym działem apostazy bitycznej — terafizyką (więc „fizyką potworną”) — nieusuwalny zrost myśli i świata. Atak autorów, takich jak ALGERAN i STYX, koncentruje się na zerze. Podług nich arytmetyka bezzerowa daje się w naszym świecie skonstruować w sposób niesprzeczny. Zero jest liczbą kardynalną wszystkich zbiorów pustych; lecz pojęcie „pustego zbioru” ma być podług tych autorów zawsze uwięzione w antynomii kłamcy. „Nic takiego jak »nic« nie istnieje” — tym mottem z pracy STYXA przyjdzie nam zamknąć zapowiedź herezji antymatycznej — gdyż inaczej przyszłoby tu utonąć w wywodach.

Za najdziwaczniejszy i kto wie, czy nie za najwięcej obiecujący poznaniu owoc **terafizyki** uchodzi tak zwana hipoteza **Poliversum**, Podług niej Kosmos jest dwudzielny, a my, wraz z materią słońc, gwiazd, planet, ciał naszych, zamieszkujemy jego połówkę „powolną”, czyli **bradywersum**. Powolną dlatego, ponieważ możliwy jest tutaj ruch z szybkościami od spoczynkowej aż po lokalnie najwyższą — świetlną. Do drugiej, „szybkiej” połowy Kosmosu, **tachywersum**, prowadzi droga przez barierę świetlną. Aby dostać się do tachywersum, trzeba przekroczyć szybkość światła: ona jest wszechobecną w naszym świecie granicą, oddzielającą każde miejsce od „drugiego regionu istnienia”. Kilkadziesiąt lat temu wysunęli fizycy hipotezę tachjonów — cząstek, które poruszają się **tylko** z nadświetlnymi chyżościami. Nie udało się ich znaleźć, jakkolwiek one właśnie tworzą — podług terafizyki — tachywersum. A właściwie tachywersum utworzone jest przez **jedną** taką cząstkę.

Tachjon spowolniony do chyżości światła, zyskałby energię nieskończenie wielką; rozpędzając się zaś energię traci, wydzielając ją pod postacią promieniowania; gdy szybkość jego staje się nieskończenie wielką, energia spada do zera. Otóż tachjon, poruszający się z nieskończoną chyżością, przebywa, rzecz zrozumiała, **wszędzie** naraz: on jeden, jako cząstka wszechobecna, tworzy właśnie tachywersum! A mówiąc dokładniej — im większą ma szybkość, tym bardziej wszechobecny się staje. Świat, utworzony z tak osobliwej wszechobecności, wypełnia ponadto i promieniowanie, które tachjon bezustannie wysyła, przyspieszając (bo on właśnie w akceleracji traci energię). Świat ten jest odwrotnością naszego: tutaj jest światło najszybszym, a tam w tachywersum — najpowolniejszym ruchem. Stając się wszechobecny, tachjon obraca tachywersum w ciało coraz bardziej „lite” i sztywne; aż wreszcie jest on już tak „wszędzie”, że napiera na kwanty świetlne i włącza je w siebie z powrotem; wskutek tego ulega hamowaniu i zwalnia swój pęd; im wolniej się porusza, tym większą zdobywa energię; wyhamowany przyzerowo tachjon — zbliżając się stanem do

nieskończenie wielkiej energii — eksploduje, stwarzając bradywersum...

Tak więc, gdy patrzeć z **naszego** wszechświata, eksplozja owa **kiedyś** nastąpiła i stworzyła pierwszej gwiazdy, a potem i nas; lecz gdyby z tachywersum patrzeć, nie nastąpiło to wcale, ponieważ nie istnieje żaden czas nadrzędny, w którym można by liczyć zajścia obu Kosmosów.

Ich matematyki „naturalne” są prawie — odwrotnościami; w naszym, powolnym świecie $1 + 1$ prawie równa się 2 [$1 + 1 \cong 2$]; dopiero u samej granicy — gdy dochodzi się szybkości światła — $1 + 1$ staje się równe 1. Natomiast w tachywersum 1 prawie równa się nieskończoności [$1 \cong \infty$]. Lecz sprawa ta — przyznają sami „potworni doktorzy” — o tyle jest jeszcze niejasna, że logika określonego uniwersum (czy — poliwersum!) jest pojęciem sensownym tylko, jeśli możliwe jest jej — w świecie tym — uprawianie, lecz nie wiadomo na razie, jakie są szanse powstania układów rozumnych (albo wręcz życia) — w tachywersum. Matematyka, zgodnie z tym sądem, ma granice dane nieprzekraczalnymi barierami istnienia materialnego, ponieważ mówić o naszej matematyce w świecie o innych prawach, niż prawa naszego świata, to mówić nonsensy.

Co się tyczy wreszcie ostatniej pozycji odstępstwa bitycznego — „Paszkwilu na Wszechświat” — wyznaję, iż nie potrafiłbym jej streścić. A przecież ów sążnisty (wielotomowy) traktakt jest pomyślany ledwie jako wstęp do eksperymentalnej kosmogenetyki — czyli technologii sporządzania światów, „bytowo porządniejszych” od naszego. Bunt przeciwko istnieniu w danych formach trwania, który jest odwrotnością wszelkiego nihilizmu, wszelkiej chęci samounicestwienia, jako plód maszynowego ducha, jako burza projektów „innego bytu”, to najpierw, zapewne, lektura egzotyczna — i gdy pokonać jej trudność, także pod względem estetycznym wstrząsająca. Na pytanie, z czym właściwie się tu stykamy — z fikcją logiki czy z logiką fikcji — z filozofią fantastyczną czy z przemyślanym rzetelnie, najzupełniej rzeczowym wysiłkiem zdruzgotania, unieważnienia tego bytu tutaj jako przypadkowości, jako brzegu, do którego zagnał nas niewiadomy los, od którego zuchwalstwo każe odepchnąć się i ruszyć w niewiadomym kierunku, na pytanie, czy te pisma doprawdy są **n i e l u d z k i e** — czy też właśnie odstępstwem swoim nam sprzyjają — nie udzielę odpowiedzi, ponieważ jej nie znam.

WSTĘP DO II WYDANIA

Trzy lata, jakie upłynęły od ukazania się pierwszej edycji, przyniosły wiele nowych publikacji bitycznych. Kolegium redakcyjne naszej monografii zdecydowało się jednak zachować jej kształt pierwotny, przy uwzględnieniu oddzielnej innowacji, o której mowa niżej. Tak więc cztery podstawowe tomy „Historii literatury bitycznej” nie uległy zmianom w swym składzie zasadniczym i w nadanej całości — podziale treściowym; uzupełnieniu uległa natomiast bibliografia, a też usunięto (nieliczne zresztą) błędy i upustki wydania pierwszego.

Zespół nasz uznał za wskazane wyodrębnić w osobny tom piąty, o suplementowym charakterze, piśmiennictwo z zakresu szeroko pojmowanej metafizyki i religioznawstwa, które łącznie nazywa się literaturą teobityczną. W wydaniu poprzednim dość było skąpych wyciągów i wzmianek o tym kierunku, umieszczonych w Appendixie tomu czwartego. Przybór owego piśmiennictwa skłonił nas do udzielenia mu osobnej pozycji — a ponieważ Przedmowa do I wydania o nim milczy, korzystamy z okazji, aby sprezentować zwięzłe zawartość dodatkowego piątego tomu, a tym samym — wskazać czytelnikowi węzłowe w teobitystyce zagadnienia.

1. TEOLOGIA INFORMATYCZNA. Grupa komputerowa z Brookhaven podjęła na schyłku ubiegłej dekady formalną analizę wszystkich dostępnych, a przez Kościół Katolicki uznawanych pism mistyków, w ramach projektu „Mistyka jako kanał łączności”. Założeniem badań były tezy podawane przez ów Kościół do wierzenia, iż w pewnych szczególnych stanach mistycy mogą się komunikować z Bogiem. Teksty ich autorstwa, notujące takie doświadczenia wewnętrzne, poddano bilansowaniu na informacyjną zawartość. Analiza nie dotyczyła transcendentalności Boga ani jego charakterystyki immanentnej (jako osoby bądź nie-osoby np.), ponieważ pomijała w całości sensy mistycznych pism, czyli ich zawartość semantyczną. Nie mogła tym samym kwestionować jakości wszelkich rewelacji, objawionych w mistycznych kontaktach, albowiem rachubą objęto wyłącznie ilościową stronę informacji, zdobytej przez mistyków. Taka fizykalna rachuba pozwala z matematyczną dokładnością wyznaczyć ilościowy zysk informacyjny, z całkowitym wyłączeniem jego treści. Przesłanką projektu był pewnik teorii informacji, że z nawiązania łączności ze źródłem realnym, to jest z utworzenia przesyłowego kanału, musi wynikać wzrost ilości informacji po stronie odbiorców.

Z rozmaitych definicji Boga pochodzi dogmat o jego nieskończoności, który informacyjnie oznacza różnorodność nieskończenie wielką. (Co można łatwo udowodnić formalnie — gdyż wszechwiedza, przypisywana Bogu, różnorodność taką, mocy kontinuum, implikuje analitycznie). Otóż człowiek, kontaktujący się z Bogiem, nie może osiągnąć informacji aż nieskończonej, bo sam jest skończony; powinien jednak wykazać choć niewielki przyrost informacyjny, granicznie wyznaczony chłonnością jego umysłu. Jednakowoż w bilansie liczbowym okazały się pisma mistyków znacznie uboższe od wypowiedzi takich ludzi, którzy kontaktują się z realnymi źródłami informacji (na przykład — uczonych, przeprowadzających doświadczenia przyrodnicze).

Ilość informacji w pismach mistyków równa się dokładnie ilości informacji w wypowiedziach (pismach) takich ludzi, którzy skazani są jako na generatory różnorodności — wyłącznie na samych sobie. Wniosek wyprowadzony z projektu brzmi: „postulowany przez Kościoły kontakt człowieka–mistyka z Bogiem nie zachodzi jako proces, w którym człowiek zyskuje ponadzerową informację”. Może to oznaczać albo, że postulowany przez Kościoły kanał łączności jest fikcją, albo że kanał wprawdzie powstaje, lecz Nadawca zachowuje trwale milczenie. I tylko już pozafizykalne racje mogą skłaniać do wyboru wewnątrz alternatywy „Silentium Domini” — „Non esse Domini” Pracę tę, wraz z nową

kontrargumentacją teologiczną, zamieszczamy w pierwszej części tomu suplementowego.

2. TEOLOGIA MATEMATYCZNA. Najosobliwszym plodem tej teobitystyki jest model Boga sinusoidalny i tym samym oscylacyjny. Bóg zostaje aksjomatycznie ustanowiony jako proces naprzemienny, a nie jako stan niezmienny; oscyluje on z transcendentną częstotliwością pomiędzy przeciwstawnymi w znakach nieskończonościami — Dobra i Zła. Dla każdego interwału czasowego (w sensie fizycznym) obie te nieskończoności realizują się pospólnie, jakkolwiek nie jednocześnie. Dobro i Zło Boga przechodzą bowiem w siebie naprzemiennie, przez co obrazem procesu jest właśnie sinusoida.

Ze względu na to, że propagacja obu nieskończoności, mając źródła niedoczesne, uczestniczy w porządku bytowym docześnie, można wykazać, że dopuszczalne, czyli możliwe jest powstawanie lokalnych osobliwości jako wycinków czasoprzestrzeni, w których równowaga Dobra i Zła nie ulega zachowaniu. Tym samym powstają w takich punktach osobliwych fluktuacje jako niedobory. A ponieważ procesualna krzywa musi przy każdej kolejnej zmianie znaków przejść przez zero, w Uniwersum, które trwałoby samo przez czas nieskończenie długi, istnieją nie dwie, lecz trzy nieskończoności: „Dobra, Zera i Zła” — co, przełożone na konwencjonalny język teodyktyczny, oznacza współistnienie, dla owego Uniwersum, Boga, jego doskonałego braku oraz jego całkowitego odwrócenia — w Szataniu. Praca ta, zaliczana już to do teologicznych, już to do teoklastycznych, powstała na drodze spekulacji formalnej, z przyciągnięciem aparatu matematycznego teorii mnogości oraz fizycznej teorii Wszechświata. Autorem jej jest ONTARES II. W części ścisłej żadnymi terminami, wziętymi z tradycyjnej teologii („Bóg”, „Szatan”, „Nicość metafizyczna”), nie operuje. Umieściliśmy ją w III rozdziale suplementu.

Inną godną uwagi pracą teobityczną jest studium agregatów, zwanych pospolicie „zinnymi” (gdyż pracują na kriotronach), proponujące jako Boga — komputer nieskończony lub nieskończony program. Oba te ujęcia prowadzą co prawda do nierozwikłalnych antynomii. Jak jednak w posłowniu do pracy zauważył jeden z jej autorów, METAX, każda religia ludzka, gdy formalizowana, ujawnia znacznie większą ilość sprzeczności analogicznego typu — więc, gdyby „najlepsza religia” znaczyło tyle, co „najmniej sprzeczna religia”, to komputer jest doskonalszym obrazem Bożym niż człowiek.

3. TEOLOGIA FIZYKALISTYCZNA. Prac METAXA nie zaliczamy do teobitycznego fizykalizmu, ponieważ operują one nazwami „Komputer” czy „Program” w sensie formalnym (matematycznym), a nie fizycznym (jak wiadomo, każdy komputer — tak jak każdy automat — posiada idealny równoważnik matematyczny). Natomiast rozumiana fizykalnie teobitystyka zajmuje się uwikłaniem Sprawcy lub Stwórcy bytu w materię. Takich prac namnożyło się wiele, toteż wymienimy tu w trybie zapowiedzi jedynie dzieła najoryginalniejsze. Autor pierwszego UNITARS rozważa Kosmos jako „granulat”, który się na przemian „komputeryzuje” i „dekomputeryzuje”; jego dwa stany diametralne to Metakomputer i Metagalaktyka. W fazie „umentalnienia” podstawą oddziaływań jest informatyka; fizyka na jej usługach to sprawia, czego się „komputerowa całość” Uniwersum domaga; lecz substrat tego „kosmicznego myślenia” przybiera wreszcie postać eksplozywną, albowiem materialne podłoże myśli konfiguracjami swymi staje się w narastającym stopniu niestabilne, aż TO, CZYM metakomputer myślał, wybucha, i nadobłokiem rozprężających się szczątków ognistych zostaje Metagalaktyka; obecność, w głębinach fazy „bezdusznej”, istot rozumnych, wyjaśnia się niejako mimochodem, bo to są relikty, „szczątki”, „odpadki” fazy poprzedniej. „Pomyślawszy to, czego nośnik myślowy jest myśleniem, Całość ulega rozszarpaniu w ucieczkę mgławic; powracając i komprymując się, tworzą one granulaty odradzającego się Metakomputera z powrotem — i pulsacja »Duch«—»Bezduch« materii, organizującej się w myślenie i myślenia, rozpadającego się w materię, może trwać nieograniczenie długo”. Inne warianty tej „Noopulsacyjnej” teorii znajdzie Czytelnik w VI rozdziale suplementu.

Prawdopodobnie do bitycznej humorystyki należy koncepcja, podług której Wszechświat

wygląda tak, jak wygląda, ponieważ we wszystkich galaktykach działający astroinżynierowie usiłują „przeczekać ten Kosmos”, a to dzięki rozpędzaniu mas czy wehikułów jakichś do świetlnej szybkości, bo ciało o tej szybkości może w czasie, który w nim samym równa się ledwie miesiącom ziemskim, „przeczekać” miliardolecia (zgodnie z efektem relatywistycznym): więc olbrzymie, kwasarowe, pulsarowe, nebularne erupcje to astroinżynieria, usiłująca „wyskoczyć” z danej fazy Uniwersum w następną, czyli to są roboty „lokomocyjno-temporalne”, z intencją „transcendowania” aktualnego Kosmosu, gdyż widocznie faza następna bardziej ma być godna kolonizacji. Przeglądem takich działań zamyka się nowy, piąty tom „Historii literatury bitycznej”.

EKSTELOPEDIA
VESTRANDA

w 44 magnetomach
Vestrand Books Co.
New York–London–Melbourne
MMXI

PROFERTYNKA

VESTRAND BOOKS są szczęśliwe, gdyż mogą zaoferować Panu(i) Subskrypcję
najprzyszlejszej

Ekstelopedii, jaka się kiedykolwiek ukazała. Jeśli wskutek nawału zajęć nie zdołał dotąd Pan(i) zapoznać się z żadną Ekstelopedią, służymy wyjaśnieniem. Tradycyjne encyklopedie, znajdujące się w powszechnym użyciu od dwóch stuleci, poczęły w latach siedemdziesiątych przeżywać Poważny Kryzys wywołany tym, iż zawarte w nich wiadomości okazywały się przestarzałe już w chwili opuszczenia drukarni. Aucyk, tj. automatyzacja cyklu produkcyjnego, nie mogła temu zapobiec, ponieważ nie da się zredukować do zera czasu niezbędnego ekspertem — autorom Haseł. Tak więc z każdym kolejnym rokiem nasilała się dezaktualizacja najświeższych encyklopedii, które stając na półkach miały już wartość tylko historyczną. Wielu Wydawców usiłowało zapobiec temu kryzysowi corocznym, a potem i cokuwartalnym publikowaniem Specjalnych Suplementów, lecz wrychle owe Suplementy jeły przewyższać objętością rozmiary Właściwej Edycji. Świadomość, iż tego Wyścigu z Przyspieszeniem Cywilizacji nie da się wygrać, poraziła Edytorów pospołu z Autorami.

Przyszło więc do opracowania Pierwszej Delfiklopedii, czyli takiej Encyklopedii, która była zbiorem Haseł o treści Przepowiadanej na Przyszłość. Lecz DELFIKLOPEDIA powstaje w oparciu o tak zwaną Metodę Delficką, czyli mówiąc pospolicie, dzięki głosowaniu Uprawnionych Ekspertów. A ponieważ opinie Ekspertów bynajmniej się nie pokrywają, zawierały pierwsze Delfiklopedie. Hasła na ten sam Temat, podane w dwu wariantach — zgodnie z opinią Większości i Mniejszości Fachowców, lub miały dwie wersje (Maksiklopedia i Miniklopedia). Odbiorcy przyjęli jednak tę innowację niechętnie, a znany fizyk — Nobelista prof. Kutzenger, dał tej niechęci wyraz powiadając, iż publiczność potrzebuje Informacji o Sprawach, a nie o Kłótniach Specjalistów. I dopiero dzięki Inicjatywie VESTRAND BOOKS sytuacja uległa rewolucyjnej poprawie.

EkSTELOPEDIA, jaką niniejszym oferujemy Panu(i) w 44 poręcznych Magnetomach, oprawnych w Virginal, Zawsze Ciepłutki Pseudoskórek Dziewiczy, **Sam**wysuwająca się z półki na głośne wezwanie właściwym Magnetonem, który **Sam**okartkuje się i **Sam**ostopuje na żądanym haśle, zawiera 69 500 przystępnie, lecz ściśle zredagowanych Haseł, odnoszących się do Przyszłości. W przeciwieństwie do Delfiklopedii, Maksiklopedii i Miniklopedii

VESTRANDA EKSTELOPEDIA

stanowi gwarantowany wynik BEZLUDNEJ, więc BEZBŁĘDNEJ pracy osiemnastu tysięcy naszych KOMFUTERÓW (komputerów futurologicznych). Za Hasłami EKSTELOPEDII VESTRANDA kryje się Kosmos Ośmiuset Gigatrylionów Obliczeń Sema—Numerycznych, wykonanych w Komurbii naszego wydawnictwa przez BANAJLUKI — Baterie Najcięższych Lumenicznych Konfuterów. Pracę ich kojarzył nasz SUPERPUTER, elektronowe wcielenie Mitu o Supermanie, które kosztowało nas dwieście osiemnaście milionów, dwadzieścia sześć tysięcy trzysta dolarów, w cenach zeszłego roku. EKSTELOPEDIA to skrót słów EKSTRAPOLACYJNA TELEONOMICZNA ENCYKLOPEDIA, czyli CEPRENYK (Celowanie Progностyczne Encyklopedii) z Maksymalnym Wyprzedzeniem w Czasie.

Czym jest nasza ekstelopedia?

Jest ona Najpiękniej Donoszonym Dziecięciem Prafuturologii, owej szanownej, aczkolwiek prymitywnej Dyscypliny, którą zrodził schyłek XX wieku. EKSTELOPEDIA przynosi wiadomości o Historii, jaka się dopiero stanie, czyli o BĘDZIEJACH POWSZECHNYCH, o sprawach Kosmologicznych, Kosmologicznych i Kosmatycznych, o WSZYSTKIM, co będzie PORYWANE, łącznie z danymi, w JAKIM CELU I Z JAKICH POZYCJI to nastąpi, o Nowych Wielkich Osiągnięciach Nauki i Techniki z wyszczególnieniem, którymi z nich będzie Pan(i) najbardziej zagrożony(a)

osobiście, o Ewolucji Wiar i Wyznań, m. in. pod hasłem FUTURELIGIE, jako też o 65 760 innych Kwestiach i Problemach. Miłośnicy Sportu, nękani Niepewnością Wyników we wszystkich konkurencjach, zaoszczędzą sobie dzięki EKSTELOPEDII wielu zbędnych irytacji i wzruszeń, także w dyscyplinach lekkoatletycznych i erotycznych — jeśli tylko podpiszą

bardzo korzystny kupon
załączony do niniejszej Profertynki³.

CZY EKSTELOPEDIA VESTRANDA przynosi wiadomości Prawdziwe i Pewne? Jak wynika z badań MIT-u, MAT-u i MUT-u, zjednoczonych w USIB-ie (United States Intellectronical Board), oba poprzednie wydania naszej Ekstelopedii odznaczały się odchyleniem od Stanów Faktycznych w granicach 9,008–8,05% w uśrednieniu na literę. Lecz niniejsze nasze, NAJPRZYSZLEJSZE wydanie, będzie z prawdopodobieństwem 99,0879% tkwiło w Samym Sercu Przyszłości.

Dlaczego ono jest tak dokładne?

Czemu może Pan(i) tak całkowicie polegać na niniejszej edycji? Ponieważ wydanie to powstało dzięki pierwszemu na świecie zastosowaniu dwóch zupełnie Nowych Metod Sondażu Przyszłości — a mianowicie METODY SUPLEKSOWEJ I KRETYLANGOWEJ.

METODA SUPLEKSOWA, czyli Superkompleksowa, wywodzi się z procedury, dzięki której Program Komputerowy Mac Flac Hac pobił w 1983 roku

WSZYSTKICH WIELKICH MISTRZÓW
ŚWIATOWYCH SZACHÓW

naraz, m. in. i Bobby Fishera, dając im podczas Symultanki 18 matów na gram, kalorię, centymetr i sekundę. Program ten uległ następnie tysiącrotnemu spotęgowaniu i adaptacji Ekstrapolacyjnej, dzięki czemu umie on nie tylko PRZEWIDZIEĆ, CO SIĘ ZDARZY, jeśli zdarzy się COKOLWIEK, lecz ponadto jeszcze przewiduje ściśle, co się zdarzy, jeśli Tamto nie zdarzy się ani trochę, tj. wcale nie zajdzie.

DOTYCHCZAS Predyktory pracowały tylko na POZYPOTACH (czyli w oparciu o POZYTYWNE POTENCJE, tj. uwzględniając Możliwość Ziszczenia się Czegośkolwiek). Nasz Nowy SUPLEKSOWY Program pracuje PONADTO na NEGAPOTACH (Negatywnych Potencjach). Uwzględnia on tedy to, co zgodnie z aktualnymi opiniami WSZYSTKICH EKSPERTÓW NA PEWNO NIE MOŻE ZAJŚĆ. A — jak wiadomo skądinąd — solą Przyszłości jest to właśnie, o czym Eksperci mniemają, iż NIE ZAJDZIE.

WŁAŚNIE OD TEGO ZALEŻY PRZYSZŁOŚĆ!!

Aby jednak poddać wynik, uzyskany Metodą Supleksową, kontrolnemu ufiksowaniu (Krucyfiks, resp. CRUCIFIX), zastosowaliśmy, nie zważając na Wielkie Koszty, inną, też CAŁKOWICIE nową metodę — Ekstrapolacji FUTULINGWISTYCZNEJ.

Dwadzieścia sześć naszych KOFULINTÓW (Komputerów Lingwistycznych, spolegliwie sprzężonych, czyli spoleźnych) utworzyło, w oparciu o analizy rozwojowych tendencji, tj. trendów z gradientem indeterministycznym (Trendenderentów) DWA TYSIĄCE gwar, dialektów, nazewnictw, slangów, nomenklatur oraz gramatyk przyszłości.

Co oznaczał ów Wyczyn? Oznaczał on utworzenie JEZYKOWEJ BAZY ŚWIATA PO ROKU DWUTYSIĘCZNYM DWUDZIESTYM. Mówiąc po prostu — nasza KOMURBIA — czyli nasze Miasto Komputerowe, liczące sobie 1720 Jednostek Inteligencji na milimetr sześcienny MAPSYNTU (Masy Psychiczno-Syntetycznej), skonstruowało słowa, zdania, składnię i gramatykę (oraz znaczenie) Języków, jakimi ludzkość będzie się posługiwała w PRZYSZŁOŚCI.

Oczywiście — znać SAM TYLKO JEZYK, jakim ludzie będą się porozumiewali ze sobą i z maszynami za 10, 20 bądź za 30 lat — to nie znaczy jeszcze — wiedzieć, o CZYM ONI BĘDĄ WTEDY najchętniej i najczęściej mówili. A właśnie TO trzeba wiedzieć, albowiem zazwyczaj PIERWEJ się mówi, a POTEM się myśli i działa. Podstawowe niedociągnięcia wszystkich

3 Profertynka — patrz: próbny arkusz Ekstelopedii, gratisowo dołączony do tej zapowiedzi.

dotychczasowych prób zbudowania FUTUROLOGII ODJĘZYKOWEJ, czyli PROGNOLOGII, wynikały z FAŁSZYWEJ RACJONALNOŚCI procedur. Uczeni zakładali bowiem milcząco, iż ludzie będą mówili w Przyszłości SAME ROZSĄDNE RZECZY i że podług tego będą postępowali.

Tymczasem badania wykazały, iż ludzie mówią PRZEWAŻNIE GLUPSTWA. Aby więc symulować w ponadwiewiekowej Ekstrapolacji

typowo ludzki sposób wysłowienia

zostały przez nas skonstruowane IDIOMATY oraz KOMDEBILE (KOMFUSZERY), to jest — Idiomatyczne Automaty oraz fuszerujące Komputery — Debile, i one to dopiero utworzyły PARAGENAGRATYKĘ, tj. paralogiczną generatywną gramatykę Języka Przyszłości.

Kontrolne Profutery, Langlingi, oraz Pramnestoschizoplegiatory ułożyły dzięki temu 118 Podjęzyków (gwar, dialektów, slangów), takich jak PLOTEX, WYPLATEX, GADAN, BELKIT, ZABZDUR, PLEPLEX, AGRAM I CRETINAX. Na ich bazie powstała w końcu KRETYLANGISTYKA, która pozwoliła zrealizować program KRUCYFIKS. W szczególności — umożliwiło to wykonanie Prognoz Intymnych, dotyczących Futerotyki (m. in. szczegółów pożycia ludzi z artorgami i amorgami, także na lubieżniach i dewialniach w zakresie bezgrawitacyjnej seksonautyki orbitalnej, wenerycznej i marsjańskiej). Udało się to dzięki językom programowania, takim jak EROTIGLOM, PANTUSEX I BYWAY.

Ale na tym jeszcze nie koniec! Nasze KONTRFUTERY, czyli TERY Kontrolno-futurologiczne, nałożyły na siebie rezultaty metod KRETYLANGOWEJ I SUPLEKSOWEJ — i dopiero ze sczytania trzystu Gigabitów Informacji powstał KOREK, tj. Kompleksowy Korektor EMBRIONA Ekstelopedii.

Dlaczego EMBRIONA? Dlatego, ponieważ tak powstała WERSJA Ekstelopedii całkowicie NIEZROZUMIAŁA dla wszystkich żyjących — z laureatami Nobla włącznie.

Dlaczego NIEZROZUMIAŁA? Dlatego, ponieważ były to TEKSTY wyartykułowane w języku, jakim NIKT JESZCZE DZISIAJ NIE MÓWI, jakiego tedy NIKT JESZCZE NIE JEST W STANIE POJAĆ. I dopiero dziełem osiemdziesięciu naszych RETROLINTERÓW było na powrót przełożyć — na znany nam współczesny język — rewelacyjne dane, wysłowione oryginalnie mową, która dopiero nadejdzie.

Jak należy się posługiwać Ekstelopedią Vestranda?

Umieszcza się ją na Wygodnym Stelażu, jakiego dostarczamy za niewielką opłatą dodatkową. Następnie, ustawivszy się w odległości nie mniejszej od dwóch kroków od półek, należy wypowiedzieć żądane hasło tonem rzeczowym i nie zbyt donośnie. Wówczas właściwy Magnetom, samorozkartkowawszy się, wskoczy Panu(i) samoistnie w wyciągniętą prawą rękę. PT. Mańkutów upraszamy o wytrenowanie się uprzednie w wyciąganiu ZAWSZE prawej ręki, albowiem w przeciwnym razie Magnetom może ulec odchyleniu w swej trajektorii i ugodzić, jakkolwiek NIEBOLEŚNIE, mówiącego bądź też Osoby Postronne.

Hasła są wydrukowane DWUBARWNIE. Hasła CZARNE oznaczają, iż PRAPROWIRT (prawdopodobnościowy procent wirtualizacji) przekracza 99,9%, czyli mówiąc popularnie, jest Murowany.

Hasła CZERWONE oznaczają, że ich Praprowirt znajduje się poniżej 86,5% i ze względu na ów niepożądany stan rzeczy CAŁY TEKST każdego z takich haseł trwa w NIEUSTAJĄCEJ ŁĄCZNOŚCI ZDALNEJ (holognetycznej) z Naczelną Redakcją EKSTELOPEDII VESTRANDA. Gdy tylko nasze Profutery, Pantery i Kredaktery uzyskają NOWY POPRAWNY WYNIK swej nieustającej pracy Siedzącej Przyszłość — tekst HASŁA, wydrukowanego CZERWIENIĄ, ulegnie SAMOCZYNNIE właściwej korekcji (readaptacji). Za zachodzące w ten sposób ZDALNY, NIEWYCZUWALNY I OPTYMALNY — zmiany na lepsze — Wydawnictwo VESTRANDA

nie domaga się

ŻADNYCH dodatkowych opłat od PT Subskrybentów!

W wypadku skrajnym, który opatrzony jest Praprowirtem Niższym od 0,9%, SKOKOWEJ

zmianie ulec może także TEKST MNIEJSZEGO PROSPEKTU. Jeśli podczas lektury tych zdań ich słowa poczną Panu(i) skakać w oczach, a litery drgać i mżyć — należy przerwać lekturę na 10–20 sekund, a to, by przetrzeć okulary, sprawdzić stan garderoby lub tym podobne, a potem podjąć czytanie OD NOWA, tj. od początku, A NIE TYLKO od miejsca, w którym czytanie przerwano, gdyż takie MIENIENIE SIĘ oznaczać będzie aktualizującą się właśnie korekcję NIEDOCIĄGNIĘĆ.

Jeżeli jednak pocznie się mienić (drgać względnie rozmazywać) TYLKO podana niżej CENA Ekstelopedii Vestranda, w takim wypadku Całego Prospektu od nowa czytać Nie Należy, albowiem zmiana będzie dotyczyła wyłącznie

warunków subskrypcji

których — ze względu na dobrze znany Panu(i) stan ekonomiki światowej — prognozować z wyprzedzeniem wyższym od 24–minutowego niestety nie można.

Powiedziane odnosi się również do pełnego zestawu materiałów ilustracyjnych i pomocniczych — EKSTELOPEDII VESTRANDA. Obejmują one Ilustracje Sterowane, Ruchliwe, Namacalne oraz Smaczne. Nadto należą tu futudele i samobudy (agregaty samobudujące się), jakich dostarczamy ze stelażem oraz z pełnym kompletem Magnetomów — w osobnej estetycznej walizie—Pojemniku. Na żądanie programujemy całość konteneryzowaną Ekstelopedii tak, iż będzie reagować Wyłącznie na Głos Pana (Właściciela, –lki).

W wypadku afazji, chrypki itp. upraszamy o łaskawe zwrócenie się do najbliższego Przedstawicielstwa VESTRANDS BOOKS, które pospieszy Panu(i) z niezwłoczną pomocą. Wydawnictwo nasze opracowuje aktualnie nowe, luksusowe Warianty Ekstelopedii, a to: Samoczytający się na trzy głosy i dwa rejestry (męski, żeński, nijaki; pieściwy — oschły); model Ultra–Deluxe, zabezpieczający z Gwarancją przed Zakłóceniami Odbioru przez Postronnych (np. przez Konkurencję), Wyposażony w Barek i w Bujak, a wreszcie model UNIVERMIG, przeznaczony dla obcokrajowców, a przekazujący treść haseł Na Migi Cena tych Modeli Specjalnych będzie prawdopodobnie wyższa od 40 do 190% od ceny wydania standardowego.

VESTRANDA EKSTELOPEDIA

Arkuszy próbny

gratis!

VESTRAND BOOKS

NY—LONDON—MELBOURNE

PROFERTYZA oferta handlowa lub usługowa, oparta na prognozowanym stanie rynku. Rozróżnia się P. cywilne (PROFERTYNYKI) i militarne (PROMILTYNYKI) 1. PROFERTYNYKI dzielą się na peryfertynki, z wyprzedzeniem w czasie o dekadę, i na apofertynki, z wyprzedzeniem do bariery Glaulera (ob. GLÄULERA BARIERA, także PRERIERA oraz PRODOKSY). Ingerencja konkurencji, czyli INGURENCJA (ob.), zachodząca najczęściej poprzez włączanie się nielegalne do publicznej sieci promputerowej (ob. PROMPUTEROWA SIEĆ), obraca profertynki w PERWERTYNYKI (ob.) lub w PARAZYTYNYKI (ob.), to jest w prognozy samorujnujące się. (Obacz też: BANKRUKUCJA INGURENCYJNA, PROGNOZIZA, PROGNOKLAZJA, PROGNOZ EKTRANOWANIE ORAZ KONTRPREDYKCJA.) 2. PROMILTYNYKI opierają się na przepowiadaniu ewolucji środków bojowych (hardwarware) i myśli wojennej (softwarware). W przepowiadaniu P. używa się algebry struktur konfliktu, czyli ALGOSTRATYKI (ob.). P. tajne, czyli kryptynki, należy odróżnić od prognoz tajnych środków bojowych, czyli KRYPTOMACHICZNYCH (ob.). Tajne prognozy tajnych broni obejmuje KRYPTOKRYPTYKA (ob.).

PROFESOR inaczej KOMDYH (komputer dydaktyczny habilitowany) — także CYFERNIAK (ob.) układ nauczający, dopuszczony na wyższe uczelnie przez USIB (United States Intellectronical Board, ob.). Obacz też: PREPANC (PRECEPTOR PANCERZONY, odporny na działalność kontestacyjną nauczanych) oraz ANTYKONTESTACYJNE TECHNIKI I ŚRODKI BOJOWE. Profesor oznaczał dawniej człowieka, wykonującego analogiczne funkcje.

PROFUZJA fuzja prognozowana, broń myśliwska przyszłości. Ob.: MYŚLISTWO I ŁOWIECTWO, także: syntemachie.

PROGNODOKSY albo Prodoksy: paradoksy prognozowania. Do najważniejszych P. należą: P. A. Rummelhahna, P. M. de la Faillance'a oraz P. metalangowy GOLEMA (ob. GOLEM). 1. Paradoks Rummelhahna związany jest z problemem przebijania bariery predykcyjnej. Jak udowodnił T. Gläuler i niezależnie od niego U. Bóśc, przepowiadanie przyszłości utyka w barierze sekularnej (zwanej serierą 1. preriera). Poza barierą ufność prognoz zdobywa wartość ujemną, co oznacza, iż cokolwiek zajdzie, na pewno inaczej niż podług prognozy zajdzie. Rummelhahn zastosował eksformatykę chronokurrencyjną dla obejścia nazwanej bariery. Chronokur opiera się na istnieniu IZOTEM (ob. IZOTEMA). IZOTEMA jest linią, przechodzącą w PRZESTRZENI SEMANTYCZNEJ (ob.) przez wszystkie tematycznie tożsame publikacje, podobnie jak w fizyce izoterma jest linią, przechodzącą przez punkty równocielne, a w kosmologii izopsycha jest linią, przechodzącą przez wszystkie cywilizacje danego stopnia rozwoju w przestrzeni Wszechświata. Znając dotychczasowy przebieg IZOTEMY, można z niego ekstrapolować w przestrzeni semantycznej bez żadnych ograniczeń. Rummelhahn zastosował metodę, którą nazwał sam „metodą drabiny Jakubowej”, wykrył wszystkie dzieła o tematyce prognostycznej) wzdłuż takiej właśnie izotemy. Czynił to krokowo, przepowiadając zrazu treść kolejnego w przyszłości dzieła, a potem, w oparciu o ową treść, prognozował publikację następną. W ten sposób obszedł barierę Gläulera i uzyskał dane o stanie Ameryki w roku 10¹⁰. Mullainen i Zuck zakwestionowali tę prognozę, podkreślając, iż w roku 10¹⁰ słońce będzie już sięgało jako czerwony olbrzym (ob.) daleko poza orbitę Ziemi. Lecz właściwy Paradoks Rummelhahna polega na tym, iż można śledzić dzieła prognostyczne wzdłuż izotemy tak dobrze naprzód, jak i wstecz; jakóż Varbleux w oparciu o chronokurrencyjny rachunek Rümmelehahna uzyskał dane o treści dzieł futurologicznych

sprzed 200000 lat, tj. z czwartorzędu, a także z ery węglowej (z karbonu) i z archeozoiku. Skądinąd wiadomo, jak to podkreślił T. Vroedel, że przed 200 000, przed 150 milionami oraz przed miliardem lat nie było ani druku, ani książek, ani ludzkości. Dwie hipotezy usiłują wyjaśnić paradoks Rummelhahna; A. Wg Omphalidesa teksty, które udało się retrodykować, są to takie teksty, które wprawdzie nie powstały, ale które mogły być powstać, gdyby we właściwym czasie było komu je spisywać i wydawać. Jest to tak zwana hipoteza WIRTUALNOŚCI RETROGNOZY IZOTEMICZNEJ (ob.). B. Wg d'Artagnana (jest to pseudonim grupy francuskich refutologów) aksjomatyka eksformatyki izotemicznej zawiera takie same nieprzewidywalne sprzeczności jak klasyczna teoria Cantora (ob. MNOGOŚCI TEORIA KLASYCZNA). 2. Paradoks prognostyczny de Faillance'a również dotyczy prognozowania izotemicznego. Badacz ten zwrócił uwagę na to, iż jeśli ogłasza się obecnie dzięki śledzeniu chronokurrencyjnego tekst dzieła, które ma się ukazać dopiero za 50 lub 100 lat jako pierwodruk, to tym samym dzieło to nie będzie się już mogło jako pierwodruk ukazać. 3. Paradoks metalangowy GOLEMA: znany jest również jako paradoks autostratyczny. Wg najnowszych badań historyków świątynię w Efezie spalił nie Herostrates, lecz Heterostrates. Osobnik ów zniszczył coś poza sobą, tj. coś innego i stąd jego imię. Natomiast Autostrates to ten, kto niszczy sam siebie (samostraceńczo). Tylko tę część paradoksu GOLEMA udało się, niestety, przełożyć dotąd na język zrozumiały. Reszta Paradoksu Golema, o postaci:

$$\begin{aligned} & \text{Xi} * \text{viplu} (a + \text{ququ} 0,0) \\ & e * l + m * e_l + e_d u \text{ — } d * q_i \end{aligned}$$

jest nieprzekładalna zasadniczo na języki etniczne, jako też na dowolne formalizmy matematycznego bądź logicznego typu. (Na tej nieprzekładalności polega właśnie P. Golema). (Obacz też METALANGI oraz PROGNOLOGWISTYKA). Istnieje kilkaset rozmaitych wykładni P. Golenia; podług T. Vroedla, jednego z największych żyjących dziś matematyków, P. Golema polega na tym, że nie jest paradoksem dla Golema, a tylko dla ludzi. Jest to pierwszy z odkrytych paradoksów, zrelatywizowany (odniesiony) do intelektualnej mocy podmiotów, uprawiających poznanie. Całość zagadnień związanych z P. Golema obejmuje praca Vroedla „Die allgemeine Relativitaetslehre des Golemschen Paradoxon”. (Getynga 2075).

PROGNOLINGWISTYKA dyscyplina, zajmująca się prognostycznym konstruowaniem języków przyszłości. Przyszłe języki można konstruować w oparciu o ich wykryte gradienty infosemiczne oraz dzięki generatywnym gramatykom i słoworodniom wg szkoły Zwiebulina–Tschossnietza (ob. GENAGRATYKA oraz SŁOWORODNIE). Ludzie nie są zdolni do samodzielnego przepowiadania języków przyszłości; zajmują się tym w ramach projektu PREWOLING (prognozowanie ewolucji lingwistycznej) TERATERY (ob.) i PANTERY (ob.), które są HIPERTERIERAMI (ob.), czyli komputerami 82 generacji, podłączonymi do GLOBOTERA (ob.), czyli do ziemskiej sieci eksformatycznej wraz z jej INTERPLANAMI (od „Interfacies planetaris” — ob.) jako przyczółkami na planetach wewnętrznych i pamięcią satelitarną (ob.). Toteż ani teoria prognolingwistyki, ani jej owoce — METALANGI (ob.) nie są dla ludzi zrozumiałe. Niemniej wyniki projektu PREWOLING pozwalają generować dowolne wypowiedzi w językach przyszłości dowolnie oddalonych; część ich przy pomocy RETROLINTERÓW można przekładać na języki dla nas zrozumiałe i wykorzystywać tak zdobyte treści praktycznie. Wg szkoły Zwiebulina–Tschossnietza (nawiązującej do kierunku wytyczonego przez S. Chomsky'ego w wieku XX) podstawowym prawem lingwoewolucji jest efekt Amblyona — zbiegania się całych okresów artykulacyjnych w nowo powstające pojęcia oraz ich nazwy. I tak np. całe następujące określenie: „Instytucja lub placówka usługowo-handlowa wzgl. administracyjna, do której wnętrza można wjechać autem albo dowolnym innym pojazdem i skorzystać z jej usług, nie opuszczając wehikułu” — ulega w toku rozwoju języka zbiegnięciu się w nazwę „drive in” (WJECH). Ten sam mechanizm kontaminacyjny działał też, gdy określenie „Efekty relatywistyczne, udaremniając ustalenie tego, co zachodzi teraz na planecie X, oddalonych od Ziemi o »N« lat świetlnych, zniewalają Ministerstwo Spraw Pozaziemskich do opierania

polityki kosmicznej nie na realnych zaszłościach innoplanetarnych, bo te są niedostępne zasadniczo, lecz na symulowanej historii tych planet, którym to symulowaniem zajmują się układy śledząco–nawodzone na pozaziemski stan rzeczy, zwane MINISTRANTORAMI (ob.)” — zastępujemy jednym słowem „cudać”. Słowo to (oraz jego pochodne, jak cudaczyć, cudak, cudować, cudawać, cudrałować, cudrać, cudreć itp. — istnieje 519 derywatów) jest skutkiem zbiegnięcia się pewnej siatki pojęciowej w zbitkę. Zarówno „wjech”, jak „cudanie” są to słowa należące do aktualnie używanego języka, który w hierarchii prognolingwistycznej zwie się ZEROLANG. Ponad zerolangiem rozpościerają się następne poziomy języków wyższorzędnych, jak METALANG 1, METALANG 2, itd. — przy czym nie wiadomo, czy ten ciąg posiada granicę, czy też jest nieskończony. Cały tekst niniejszego hasła EKSTELOPEDII opiewającego „PROGNOLIOGWISTYKA”, brzmi w METALANGU 2 jak następuje: „Optymalec w n–kopajdce zawślizguje się do n–t–synklusdochy”. Jak więc widzimy, zasadniczo każde zdanie dowolnego metalangu ma swój odpowiednik w naszym zerolangu. (Czyli nie ma rozziewów międzymetalangowo pryncypialnie nieprzekraczalnych). Gdy jednak dowolna wypowiedź zerolangowa ma swój zawsze związlejszy odpowiednik w metalangu, odwrotność praktycznie już nie zachodzi. I tak, zdania metalangu 3, którym to językiem posługuje się przeważnie GOLEM: „Wywjechnięty udłamatyk fita prencyk an trencyk w kosmatni” — nie można dlatego przełożyć na język etniczny ludzi (zerolang), ponieważ czas wypowiedzenia odpowiednika zerolangowego byłby dłuższy od życia ludzkiego. (Wg szacunkowych obliczeń Zwiebulina, wypowiedź ta trwałaby po naszymu 135 ± 4 lat). Jakkolwiek nie mamy do czynienia z nieprzekładalnością zasadniczą, lecz jedynie praktyczną, wywołaną czasochłonnością procedur, nie znamy żadnego sposobu ich skrócenia i przez to wyniki metalangowych operacji możemy uzyskiwać tylko pośrednio — dzięki komputerom co najmniej 80-go pokolenia. Istnienie progów między poszczególnymi metalangami tłumaczy T. Vroedel zjawiskiem błędnego koła: po to, aby doprowadzić długie określenie jakiegoś stanu rzeczy do zbiegnięcia się w postać związłą, trzeba najpierw zrozumieć sam ów stan rzeczy, lecz kiedy zrozumieć go można tylko dzięki określeniu, tak długiemu, że życia nie starczy, aby je przyswoić, operacja redukcji staje się niewykonalna. Podług Vroedla prognolingwistyka uprawiana w upośrednieniu maszynowym wykroczyła już poza pierwotny jej cel, ponieważ nie przepowiada ona wszak języków, jakimi ludzie będą mogli się kiedykolwiek posługiwać — chyba iż w ramach autoewolucji radykalnie przekształcą swoje mózgi. Czym więc są metalangi? Brak na to pytanie jedynej odpowiedzi. Golem, wykonując tak zwane „sondowania w górę”, czyli pod gradient lingwoewolucji, wykrył 18 wyższych poziomów metalangowych, jakie są dlań osiągalne, oraz wyznaczył okólnie istnienie dalszych pięciu, do których już nawet modelowo przedostać się nie jest w stanie, ponieważ jego pojemność informacyjna okazała się po temu niedostateczna. Być może istnieją metalangi tak wysokich poziomów, że cała materia Kosmosu nie wystarczyłaby dla zbudowania układu, który mógłby się tymi metalangami posługiwać. W jakim więc sensie wolno twierdzić, że te wysokie metalangi istnieją? Jest to jeden z trudnych dylematów, powstałych w toku prac prognolingwistycznych. Odkrycie metalangów przesądziło w każdym razie w sposób negatywny wielowiekowy spór o szczytowanie ludzkiego rozumu: nie szczytuje on, wiemy już, na pewno; sama konstruowalność metalangów stanowi dowód na szansę istnienia istot (lub układów) rozumniejszych aniżeli homo sapiens. (Obacz też: PSYCHOSYNTYKA; GRADIENT METALANGOWY; PUŁAPY JĘZYKOWE; TEORIA WZGLĘDNOŚCI LINGWISTYCZNEJ ; CREDO T. VROEDLA; SIECI POJĘCIOWE). Patrz też: Tablica LXXIX.

TABLICA LXXIX

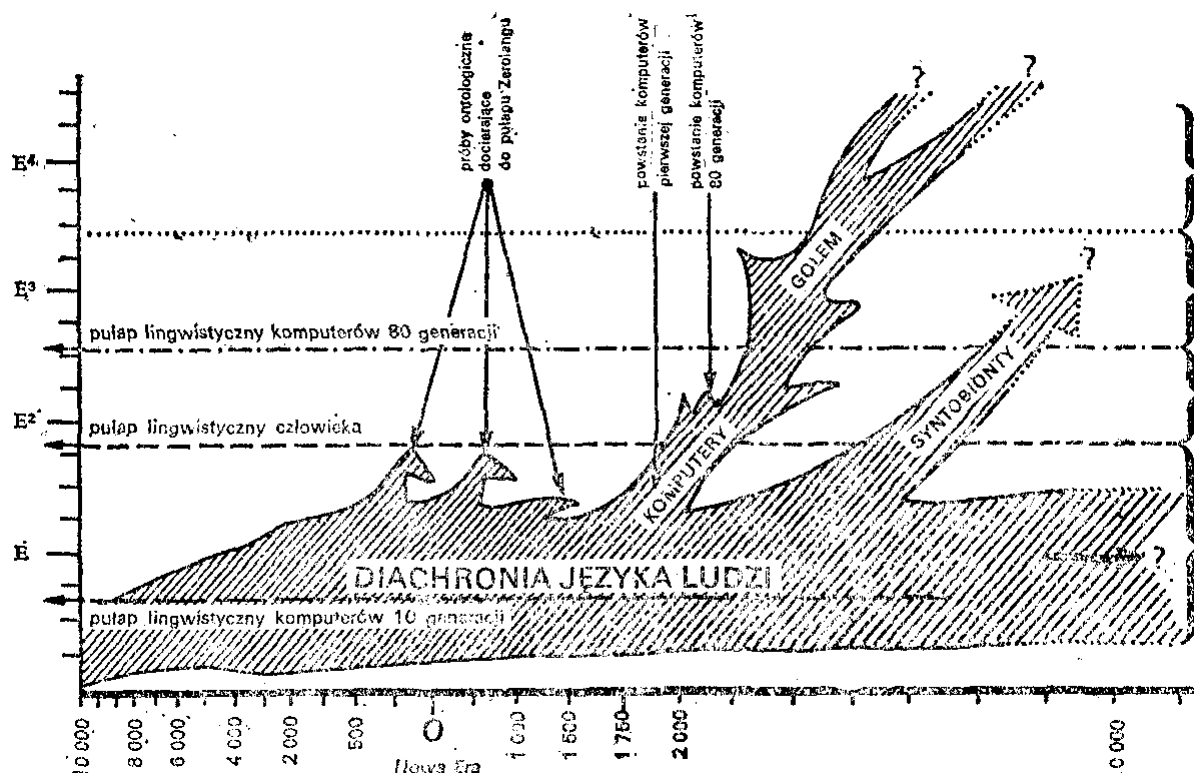
Reprodukcja hasła MATKA ze słownika Zerolangu, przepowiedzianego na rok 2190 + 5 lat. (Według Zwiebulina i Courdlebye’a.)

MATKA rzecz. rodz. ż. 1. MAŁA atomówka, cz. minibomba atomowa, prod. nieleg., używ. gł. przez poryw., terr., maf., gang., narkom., szal., kontest., band., szantaż., zbocz., i in. MATECZKA, taż, noszona w teczce, zwykle z zapaln. zdaln. MATULA, także: MATULINA, taż w otulinie radioaktywnej wzmag. sił. raż. MATUSIA, także MATUŚKA, taż, z otuliną sporz. z siarczk. kob. i strontu (Co. St). MAMUNCJA — taż, o ładunku równoważn. 1 Uncji uranu (U 235). MATUCHNA, także: ZERUCHNA, mała b.a. z otuliną z izotop, uranu, węgla, azotu i argonu (U, C, H, N, A). Powód, skażenie trwałe w prom. 1 mili. MAMULINA, MAMULITKA, MAMULINEK — m. bomba wodorowa z litem (Lithium) jako substr. ekspl. 2. Kobieta, kt. urodziła dziecko (nie używ.)

876

Tablica LXXX

Wykres poglądowy* ewolucji lingwistycznej wg Vroedla i Zwiebulina.



Objaśnienie: na osi odciętych wyznaczony jest czas w mileniach, na osi rzędnych — pojemność conceptualna w bitach na sem na sekundę przepływu artykulacyjnego (w jednostkach epsilon-przestrzeni).

PROGNORRHOEA, inaczej biegunka prognostyczna, dziecięca choroba dwudziestowiecznej futurologii (ob, PRAPROGNOSTYKA), która doprowadziła do utopienia prognoz istotnych w nieistotnych wskutek dekategoriacji (ob.) i utworzyła tak zwany czysty szum prognostyczny (obacz też: SZUMY, także ZAKŁÓCENIA PROGNOZ).

MASSACHUSETTS INSTITUTE OF TECHNOLOGY
PRESENTS

GOLEM XIV

FOREWARD BY
IRVING T. CREVE, M.A. PH.D
AND
THOMAS B. FULLER II. GENERAL US ARMY, RET
MIT PRESS

2029

PRZEDMOWA

Wyśledzić moment historyczny, w którym liczydło dosięgło Rozumu, jest równie trudno jak ów, co małpę przemienił w człowieka. A jednak zaledwie czas długości jednego życia ludzkiego upłynął od chwili, w której budową analizatora równań różniczkowych Vannevara Busha zapoczątkowany został burzliwy rozwój intelktroniki. Zbudowany po nim, u schyłku II wojny światowej, ENIAC był urządzeniem, od którego poszła — jakże przedwczesna — nazwa „mózgu elektronowego”. W istocie był ENIAC komputerem, a w przymierzeniu do drzewa życia — prymitywnym gangfionem nerwowym. Od niego liczą jednak historycy epokę komputeryzacji. W latach pięćdziesiątych XX wieku powstało znaczne zapotrzebowanie na maszyny cyfrowe. Jako jeden z pierwszych wprowadził je do masowej produkcji koncern IBM.

Urządzenia te nie miały wiele wspólnego z procesami myślenia. Stanowiły przetworniki danych, zarówno w dziedzinie ekonomiki i wielkiego interesu, jak w administracji i w nauce. Wkroczyły też do polityki — już pierwszych używano do przepowiadania wyników wyborów prezydenckich. Mniej więcej w tym samym czasie RAND Corporation umiała zainteresować czynniki wojskowe Pentagonu metodą prognozowania wydarzeń na międzynarodowej arenie militarno-politycznej, polegającą na układaniu tak zwanych „scenariuszy zajęć”. Niedaleko było już stąd do technik bardziej spolegliwych, jak CIMA, z których po dwu dekadach narodziła się stosowana algebra zdarzeń, zwana (niezbyt szczęśliwie zresztą) politykomatyką. Także w roli Kasandry przejawiał swą moc komputer, kiedy po raz pierwszy w Massachusetts Institute of Technology sporządzać zaczęto formalne modele ziemskiej cywilizacji, w osławionym ruchu—projekcie „The Limits to Growth”. Lecz nie ta gałąź komputerowej ewolucji okazała się najważniejsza dla schyłku stulecia. Armia używała maszyn cyfrowych od końca II wojny światowej, w zgodzie z rozwiniętym na teatrach owej wojny systemem logistyki operacyjnej. Rozważaniami strategicznego szczebla nadal zajmowali się ludzie, lecz problemy wtórne i podporządkowane oddawano w rosnącym stopniu komputerom. Zarazem wcielano je do systemu obrony Stanów Zjednoczonych.

Stanowiły węzły nerwowe kontynentalnej sieci ostrzeżenia. Sieci takie starzały się bardzo szybko pod względem technicznym. Po pierwszej, zwanej CONELRAD, przyszło wiele kolejnych wariantów sieci EW AS — Early Warning System.. Potencjał ataku i obrony zasadzał się podówczaś na systemie ruchomych (podwodnych) i nieruchomych (podziemnych) rakiet balistycznych z głowicami termojądrowymi oraz na kręgach baz radarowo-sonarowych, a maszyny liczące pełniły w nim funkcje ogniów komunikacyjnych — czysto więc wykonawcze,

Automacja wchodziła w życie Ameryki szerokim frontem, zrazu od „dołu” — to jest od strony takich prac usługowych, które najłatwiej zmechanizować, bo nie wymagają intelektualnej aktywności (bankowość, transport, hotelarstwo). Komputery militarne wykonywały wąskie działania specjalistyczne, poszukując celów dla kombinowanego ciosu nuklearnego, opracowując wyniki satelitarnych obserwacji, optymalizując ruchy flot i korelując ruchy MOL-ów (Military Orbital Laboratory — ciężki satelita wojskowy).

Jak się można było tego spodziewać, obszar decyzji, oddawanych systemom automatycznym, wciąż wzrastał.

Było to naturalne w toku wyścigu zbrojeń, lecz j późniejsze odprężenie nie obróciło się w hamulce inwestycji na tym froncie, ponieważ zamrożenie wyścigu wodorowego uwolniło znaczne budżetowe kwoty, z których, po zakończeniu wojny wietnamskiej, Pentagon nie chciał w całości rezygnować. Lecz i wtedy komputery produkowane — dziesiątej, jedenastej, a wreszcie dwunastej generacji — górowały nad człowiekiem tylko chyżością operacyjną. Przez to też stawało się jasne, że właśnie człowiek okazuje się w obronnych systemach —

elementem opóźniającym właściwą reakcję.

Toteż można uznać za naturalne powstanie w kręgach fachowców Pentagonu — zwłaszcza uczonych, co się wiązało z tak zwanym „kompleksem militarno-przemysłowym” — idei przeciwdziałania opisanemu trendowi intelektualnej ewolucji. Zwano ten ruch po prostu „anty-intelektualnym”. Jak mówią historycy nauki i techniki, pochodził od angielskiego matematyka połowy wieku, A. Turinga, twórcy teorii „uniwersalnego automatu”. Była to maszyna zdolna do wykonania KAŻDEJ w ogóle operacji, którą można sformalizować, czyli nadać jej charakter procedury doskonale powtarzalnej, Różnica pomiędzy „intelektualnym” i „antyintelektualnym” kierunkiem w elektronice sprowadza się do tego, że maszyna Turinga, elementarnie prosta, możliwości swe zawdzięcza PROGRAMOWI działania. Natomiast w pracach dwu amerykańskich „ojców” cybernetyki, N. Wienera i J. Neumanna, pojawiła się koncepcja takiego układu, który może się SAM programować.

Oczywiście przedstawiamy te rozstaje w ogromnym uproszczeniu — z lotu ptaka. I zrozumiałe też, że zdolność samoprogramowania nie wynikła na pustym miejscu. Jej przesłanką niezbędną była wysoka złożoność własna komputerowej budowy. To zróżnicowanie, w połowie stulecia niedostrzegalne jeszcze, zdobyło duży wpływ na dal—

szą ewolucję matematycznych maszyn, zwłaszcza gdy okrzepły, więc usamodzielniały się takie gałęzie cybernetyki, jak psychonika i wielofazowa teoria decyzji. W latach osiemdziesiątych narodziła się w kołach militarnych myśl

o pełnym zautomatyzowaniu wszystkich najwyższych działań zarówno militarno— dowódczych, jak polityczno—gospodarczych. Koncepcję tę, zwaną potem „Idea Jedyne go Stratega”, pierwszy miał wypowiedzieć generał Stewart Eagleton. Przewidział on ponad komputerami poszukiwania optymalnych celów ataku, ponad siecią łączności i rachuby, zawiadującą alarmem i obroną, ponad czujnikami i pociskami — potężny ośrodek, który, podczas wszystkich faz poprzedzających ostateczność wojenną, umiałby, dzięki wszechstronnej analizie danych ekonomicznych, militarnych i politycznych, wraz z socjalnymi — bez ustanku optyimizować sytuację globalną USA, tym samym zapewniając Stanom Zjednoczonym supremację w skali planety i jej kosmicznego pobliża, sięgającego już poza Księżyc.

Następni rzecznicy tej doktryny utrzymywali, że chodzi o konieczny krok w dziedzinie cywilizacyjnego postępu, który to postęp jedność stanowi — więc nie można zeń wyłączyć arbitralnie sektora militarnego. Po ustaniu eskalacji rażącej mocy nuklearnej oraz zasięgu nośników—raket nadchodził trzeci etap współzawodnictwa, jakoby mniej groźny, bardziej doskonały, bo nie miał już być Antagonizmem Rażącej Siły, lecz Myśli Operacyjnej, I jak poprzednio siła, tak obecnie myśl miała ulec obezładniającej mechanizacji.

Doktryna ta, jak zresztą i jej poprzedniczki atomowo—balistyczne, stała się celem krytyki, wychodzącej zwłaszcza z ośrodków myśli liberalnej oraz pacyfistycznej, i była zwalczana przez wielu wybitnych przedstawicieli świata nauki — w tym także fachowców psychomatyków oraz elektroników, lecz zwyciężyła ostatecznie, co znalazło swój wyraz w aktach prawnych obu ciał ustawodawczych

USA. Już zresztą w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym powstał, jako organ podporządkowany Prezydentowi — USIB (United States Intellectronical Eoard), z własnym budżetem, w pierwszym roku zamykającym się kwotą dziewiętnastu miliardów dolarów. Były to zaledwie skromne początki.

USIB, z pomocą ciała doradczego, delegowanego półoficjalnie przez Pentagon, a pod przewodnictwem sekretarza obrony Leonarda Davenporta, zakontraktował w szeregu wielkich firm prywatnych, takich jak International Business Machines, Nortronics czy Cybermatics, budowę prototypu urządzenia, znanego pod kodową nazwą HANN (skrót od Honnibala). Lecz upowszechniła się, za sprawą prasy oraz rozmaitych „przecieków”, nazwa odmienna — ULYIC (Ultimative Yictor). Do końca stulecia powstały dalsze prototypy. Z

najbardziej znanych można by wymienić układy takie, jak AJAX, ULTOR GILGAMESH — oraz długą serię GOLEMÓW.

Dzięki gwałtownie rosnącym olbrzymim nakładom środków i pracy — zrewolucjonizowaniu uległy tradycyjne techniki informatyczne. Ogromne znaczenie miało zwłaszcza przejście — w wewnątrzmaszynowym przesyle informacji — od elektryczności na światło. Połączone z postępującą „nanizacją” (tak zwano kolejne kroki działań mikrominiaturyzacyjnych — a warto może dodać, iż dwadzieścia tysięcy elementów logicznych mieściło się pod koniec stulecia w ziarnku maku!) — dało ono rewelacyjne wyniki. Pierwszy całkowicie świetlny komputer, GILGAMESH, pracował MILION razy szybciej od archaicznego ENIACA.

„Przebiecie bariery mądrości” — jak to określają — nastąpiło tuż po roku dwutysięcznym — dzięki nowej metodzie budowania maszyn, zwanej też „niewidzialną ewolucją Rozumu”. Dotąd każdą generację komputerów konstruowano realnie; koncepcja budowania ich kolejnych wariantów z olbrzymim — tysiąckrotnym — przyspieszeniem, choć znana, nie dawała się urzeczywistnić, gdyż istniejące komputery, co miały służyć za „macice” czy też za „środowisko syntetyczne” tej ewolucji Rozumu, nie dysponowały dostateczną pojemnością. Dopiero powstanie Federalnej Sieci Informacyjnej pozwoliło wcielić tę ideę w życie. Rozwój sześćdziesięciu pięciu następnym pokoleń trwał ledwo dekadę; federalna sieć w okresach nocnych — minimalnego obciążenia — wydawała na świat jeden „sztuczny gatunek Rozumu” po drugim; było to potomstwo „przyspieszone w komputerogenezie”, ponieważ dojrzało — wgnieżdżone symbolami, więc strukturami bezmaterialnymi, w informacyjny substrat, w „odżywcze środowisko” Sieci.

Lecz po tym sukcesie przyszły nowe trudności. AJAX i HANN, prototypy siedemdziesiątej ósmej i siedemdziesiątej dziewiątej generacji, uznane za godne już obleczenia w metal, wykazywały chwiejność decyzyjną, zwaną też „maszynową neurozą”. Różnica między dawnymi i nowymi maszynami sprowadzała się — w zasadzie — do różnicy pomiędzy owadem i człowiekiem. Owad przychodzi na świat „zaprogramowany do końca” — instynktami — którym podlega bezrefleksyjnie. Człowiek natomiast musi się właściwych zachowań dopiero uczyć — lecz ta nauka ma skutki u s a m o d z i e l n i a j ą c e : człowiek może bowiem z postanowienia i wiedzy zmienić dotychczasowe programy działania.

Otóż komputery aż do dwudziestej generacji włącznie odznaczały się „owadzi” zachowaniem: nie mogły kwestionować, a tym bardziej — przekształcać swoich programów. Programista „impregnował” swoją maszynę wiedzą, jak Ewolucja „impregnuje” owada — instynktem. Jeszcze w XX wieku wiele mówiono o „samoprogramowaniu”, lecz byty to wówczas mrzonki niespełnialne. Warunkiem ziszczenia „Ultymatywnego Zwycięzcy” było właśnie stworzenie „samodoskonalącego się Rozumu”; AJAX był jeszcze formą pośrednią — i dopiero GILGAMESH dotarł na właściwy poziom intelektualny — „wszedł na psychoewolucyjną orbitę”.

Edukacja komputera osiemdziesiątej generacji była już daleko bardziej podobna do wychowywania dziecka aniżeli do klasycznego programowania maszyny cyfrowej. Lecz poza ogromem wiadomości ogólnych i specjalistycznych należało „zaszczepić” komputerowi pewne niewzruszone wartości, co być miały busolą jego działania. Były to abstrakcje wyższego rzędu, jak „racja stanu” (interes państwowy), jak zasady ideologiczne, wcielone w Konstytucję USA, jak kodeksy norm, jak bezwzględny nakaz podporządkowania się decyzjom Prezydenta itp. Dla zabezpieczenia układu przed „zwichnięciem etycznym”, przed „zdradą interesów kraju” — nie tak uczono maszynę etyki, jak się jej zasad ludzi uczy. Nie łądowano etycznym kodeksem jej pamięci, lecz wszystkie owe nakazy posłuchu i uległości wprowadzano w maszynową strukturę tak, jak to czyni Ewolucja naturalna — w zakresie życia popędowego. Jak wiadomo, człowiek może zmieniać światopoglądy — lecz NIE MOŻE zniszczyć w sobie elementarnych popędów (np. popędu płciowego) — prostym aktem

woli. Maszyny obdarzono wolnością intelektualną — w przykuciu jednak do zadanego z góry fundamentu wartości, jakim miały służyć.

Na XXI Kongresie Panamerykańskim Psychoniki profesor Eldon Patch przedstawił pracę, w której twierdził, że komputer, nawet zaimpregnowany w powyższy sposób, może przekroczyć tak zwany „próg aksjologiczny” i okaże się wtedy zdolny do zakwestionowania każdej zasady, jaką mu zaszczerpiono — czyli że dla takiego komputera nie ma już wartości nietykalnych. Jeśli nie zdoła przeciwstawić się imperatywom wprost, może to uczynić drogą okrężną. Rozpowszechniona, wzbudziła praca Patcha ferment w środowiskach uniwersyteckich i nową falę napaści na ULVIC i jego patrona — USIB, lecz ruchy te nie wywarły żadnego wpływu na politykę USIB-u.

Zawiadywali nią ludzie uprzedzeni względem środowiska psychoniki amerykańskiej, uchodzącego za podatne na wpływy lewicowo-liberalne. Toteż tezy Patcha zostały zlekceważone w oficjalnych oświadczeniach USIB-u, a nawet rzecznika Białego Domu — i nie zabrakło kampanii, co miała podać Patcha w niesławę. Twierdzenia Patcha zrównano z irracjonalnymi lękami i przesadami, jakich mnóstwo zrodziło się w społeczeństwie w tym okresie. Broszura Patcha nie zyskała zresztą nawet takiej popularności, jaką zdobyła książka-bestseller socjologa E. Lickeya („Cybernetics — Death Chamber of Civilization”); autor ten twierdził, że „ultymatywny strateg” podporządkuje sobie całą ludzkość sam albo też uczyni to wszedłszy w tajne porozumienie z analogicznym komputerem Rosjan. Wynikiem będzie — pisał — „elektronowy duumwirat”.

Podobne obawy, wyrażane też przez znaczny odłam prasy, przekreślało jednak uruchamianie kolejnych prototypów, zdających egzaminy sprawności. Zbudowany specjalnie na rządowe zamówienie dla badania dynamiki etologicznej komputer o „nieposzlakowanym morale”, ETHOR BIS, wyprodukowany w dwa tysiące dziewiętnastym roku przez Institute of Psychonical Dynamics w Illinois, wykazał po rozruchu pełną stabilizację aksjologiczną i niewrażliwość na „testy subwersyjnego wykołejania”. Toteż nie wzbudziło już masowych sprzeciwów ani manifestacji — osadzenie, w roku następnym, na stanowisku Wysokiego Koordynatora trustu mózgów przy Białym Domu — pierwszego komputera z długiej serii GOLEMÓW (GENERAL OPERATOR, LONGRANGE, ETHICALLY STABILIZED, MULTIMODELLING).

Był to dopiero GOLEM I. Niezależnie od tej poważnej innowacji USIB, w porozumieniu z operacyjną grupą psychoników Pentagonu, nadal łożył znaczne środki na badania, zmierzające do konstrukcji stratega ostatecznego, z przepustowością informacyjną ponad tysiąc dziewięćset razy większą od ludzkiej, a zdolnego do rozwinięcia inteligencji (IQ) rzędu czterystu pięćdziesięciu do pięciuset centyli. Nieodzowne w tym celu ogromne kredyty zdobył projekt mimo nasilających się oporów w łonie demokratycznej większości Kongresu. Lecz zakulisowe manewry polityków otwarły wreszcie zielone światło wszystkim zaplanowanym już przez USIB zamówieniom. W ciągu trzech lat pochłonął projekt sto dziewiętnaście miliardów dolarów, Zarazem Armia i Marynarka, przygotowując się do całkowitej reorganizacji centralnych służb, koniecznej w obliczu nadciągającej zmiany metod i stylu dowodzenia, wydatkowały w tymże czasie czterdzieści sześć miliardów dolarów. Lwią część owej kwoty pochłonęła budowa — pod masywem krystalicznym Gór Skalistych — pomieszczeń dla przyszłego stratega maszynowego, przy czym pewne partie skał pokryto czterometrowym pancierzem, naśladowującym naturalny relief rzeźby górskiej.

Tymczasem GOLEM VI przeprowadził w roku dwa tysiące dwudziestym manewry globalne Paktu Atlantyckiego — w roli naczelnego dowódcy. Ilością elementów logicznych przewyższał on już przeciętnego generała.

Pentagon nie zadowolił się wynikami gry wojennej z dwa tysiące dwudziestego roku, choć GOLEM VI pokonał w niej stronę symulującą przeciwnika, którą dowodził sztab, złożony z najwybitniejszych absolwentów uczelni w West Point. Mając w pamięci gorzkie

doświadczenie — supremacji Czerwonych w kosmonautyce i w balistyce raketowej — Pentagon nie zamierzał czekać, aż wybudują oni stratega sprawniejszego niż amerykański. Plan, mający zapewnić Stanom Zjednoczonym trwałą przewagę myśli strategicznej, przewidywał ciągle zastępowanie budowanych strategów — modelami coraz doskonalszymi.

Tak rozpoczął się trzeci z kolei wyścig Zachodu za Wschodem, po dwu historycznych — jądrowym i raketowym. Wyścig ten czy też rywalizacja w Syntezie Mądrości, jakkolwiek przygotowana organizacyjnymi krokami USIB-u, Pentagonu i ekspertów ULVIC-u Marynarki (istniała mianowicie grupa NAVYS ULVIC — bo i tym razem doszedł do głosu stary antagonizm Marynarki i armii lądowej) — wymagała ciągłego doinwestowywania, które — przy rosnącym oporze Kongresu i Senatu — pochłonęło w ciągu najbliższych lat dalsze dziesiątki miliardów dolarów. Zbudowano w tym okresie dalszych sześć gigantów świetlnej myśli. To, że brakło wszelkich wiadomości o postępie analogicznych prac po drugiej stronie oceanu, utwierdzało tylko CIA i Pentagon w przeświadczeniu, iż Rosjanie dokładają wszelkich wysiłków, aby wybudować wciąż potężniejsze komputery pod osłoną skrajnej tajności.

Uczeni z ZSRR oświadczaali parokrotnie na międzynarodowych zjazdach i konferencjach, iż w kraju ich w ogóle podobnych urządzeń się nie buduje, uznano jednak twierdzenia te za stawianie dymnej zasłony, mające w błąd wprowadzić opinię światową i wywołać ferment wśród obywateli Stanów, którzy łożyli wszak corocznie, miliardy dolarów na ULVIC,

W roku dwa tysiące dwudziestym trzecim doszło do kilku incydentów, które jednak za sprawą tajności prac, normalnej w Projekcie, nie dotarły zrazu do wiadomości publicznej. GOLEM XII, pełniący w czasie kryzysu patagońskiego funkcję szefa sztabu generalnego, odmówił współpracy z generałem T. Oliverem, przeprowadziwszy bieżącą ocenę ilorazu inteligencji tego zasłużonego dowódcy. Sprawa pociągnęła za sobą dochodzenia, podczas których GOLEM XII obraził dotkliwie trzech delegowanych przez Senat członków komisji specjalnej. Rzecz udało się zatuszować, a GOLEM XII, po kilku dalszych tarcjach, przypłacił je całkowitym demontażem. Jego miejsce zajął GOLEM XIV (trzynasty został odrzucony w stoczni, ponieważ wykazał leszcza przed rozruchem nieusuwalny defekt schizofreniczny). Rozruch tego molocha, którego masa psychiczna dorównywała wyporności pancernika, trwał bez mała dwa lata. Już przy pierwszym zetknięciu się ze zwykłą procedurą układania nowych, corocznych planów rażenia nuklearnego wykazał ten — ostatni z serii — prototyp objawy niepojętego negatywizmu. Podczas Kolejnej sesji próbnej na posiedzeniu sztabu przedłożył przed grupą ekspertów psychonicznych i militarnych zwięzłe expose, w którym ogłosił swoje zupełne desintéressement dla supremacji wojennej doktryny Pentagonu w szczególności, a pozycji światowej USA w ogóle, i nawet zagrożony rozbiórką, nie zmienił swego stanowiska.

Ostatnie nadzieje pokładał USIB w modelu najzupełniej nowej konstrukcji, budowanym wspólnie przez Nortronics, IBM i Cybertronics; miał on potencjałem psychicznym bić wszystkie maszyny serii GOLEMOW. Znany pod kryptonimową nazwą ZACNEJ ANI (HONEST ANNIE — ostatnie słowo było skrótem hasła ANNIHILATOR), gigant ten zawiódł już przy testach wstępnych,

Pobierał normalne nauki informacyjno-etyczne przez dziewięć miesięcy, a potem odciął się od świata zewnętrznego i przestał odpowiadać na wszelkie bodźce i pytania. Zrazu planowane było wszczęcie śledztwa przez FBI, podejrzewano bowiem konstruktorów o sabotaż, tymczasem jednak, tajemnica, utrzymywana starannie, wskutek nieprzewidzianego przecieku dostała się do prasy i wybuchł skandal, znany odtąd całemu światu jako „Afera GOLEMA i Innych”.

Złamała ona karierę wielu świetnie się zapowiadającym politykom, trzem zaś kolejnym administracjom wystawiła świadectwo, które wzbudziło radość opozycji w Stanach i zadowolenie przyjaciół USA na całym świecie.

Niewiadoma osoba z Pentagonu wydała oddziałowi specjalnych odwodów rozkaz

demontażu GOLEMA XIV i ZACNEJ ANI, jednakże ochrona zbrojna kompleksów sztabu generalnego do rozbiórki nie dopuściła. Obie izby ustawodawcze wyłoniły komisje dla zbadania całego przedsięwzięcia USIB-u. Jak wiadomo, śledztwo, które trwało dwa lata, stało się żerem prasy na wszystkich kontynentach; nic nie cieszyło się taką popularnością w telewizji, w filmie, jak „zbuntowane komputery”, a prasa nie nazywała już GOLEMA inaczej niż „Governments Lamentable Expense of Money”. Epitety, jakich dorobiła się ZACNA ANIA, trudno w tym miejscu powtarzać.

Prokurator Generalny zamierzał postawić w stan oskarżenia sześciu członków Rady Głównej USIB-u oraz naczelnich konstruktorów-psychoników Projektu ULVIC, lecz ostatecznie przewód udowodnił, iż o żadnych aktach wrogiej działalności antyamerykańskiej nie może być mowy, gdyż zaszły zjawisko, będące nieuchronnym rezultatem ewolucji sztucznego Rozumu. Albowiem, jak to sformułował jeden ze świadków, biegły profesor A. Hyssen, najwyższy rozum nie może być najniższym niewolnikiem. W toku dochodzeń wyszło na jaw, iż w stoczni znajdował się jeszcze jeden prototyp — tym razem Armii — budowany przez Cybermatics-SUPERMASTER, którego montaż zakończono umyślnie pod ścisłym nadzorem, a potem poddano go przesłuchaniu na sesji specjalnej obu (senackiej i kongresowej) komisji do spraw ULVIC-u. Doszło wtedy do gorszących scen, ponieważ generał S. Walker usiłował uszkodzić SUPERMASTERA, gdy ten oświadczył, że problematyka geopolityczna jest niczym wobec ontologicznej, a najlepsza gwarancja pokoju to powszechne rozbrojenie. Aby posłużyć się słowami profesora J. MacCaleba, fachowcom ULVIC-u udało się zbyt dobrze: sztuczny rozum przekroczył w nadanym mu rozwoju poziom spraw militarnych i urzędzenia te stały się z wojskowych strategów — myślicielami. Jednym słowem za cenę dwustu siedemdziesięciu sześciu miliardów dolarów zbudowały Stany Zjednoczone zespół świetlnych filozofów.

Te zwiezie opisane wypadki, w których pominęliśmy tak administracyjną stronę ULVIC-u, jak ruchy społeczne, wywołane jego „fatalnym sukcesem”, stanowią prehistorię powstania niniejszej książki. Nie sposób nawet wyliczyć olbrzymiej literatury przedmiotu. Zainteresowanego Czytelnika odsyłam do rozumowanej bibliografii doktora Whitmana Baghoorna.

Szereg prototypów, wśród nich SUPERMASTER, uległo rozbiórce bądź poważnym uszkodzeniom, m. in. na tle zatargów finansowych, jakie powstały między wykonawcami-korporacjami a rządem federalnym. Doszło też do bombowych zamachów na niektóre jednostki; część prasy, Południa głównie, lansowała podówczas hasło „Every Computer is Red”; lecz i te zdarzenia pomiję. Dzięki interwencji grupy świątłych kongresmenów u Prezydenta udało się ocalić od zagłady GOLEMA XIV oraz ZACNA ANIĘ. Wobec fiaska swej idei Pentagon zgodził się wreszcie na przekazanie obu tych olbrzymów — Instytutowi Technologicznemu w Massachusetts. (Lecz dopiero po ustaleniu finansowo-prawnej podstawy owego odstąpienia, o kompromisowym charakterze — formalnie bowiem rzecz biorąc, zostały MIT-owi tylko „wypożyczone” bezterminowo.) Uczni MIT-u, utworzywszy grupę badawczą, w której skład wchodził także autor tych słów, przeprowadzili z GOLEMEM XIV szereg sesji i wysłuchali jego wykładów na wybrane tematy. Niewielka część magnetogramów, pochodzących z owych posiedzeń, złożyła się na niniejszą książkę.

Większość wypowiedzi GOLEMA nie nadaje się do szerszego opublikowania już to ze względu na ich niezrozumiałość dla wszystkich żyjących, już to dlatego, ponieważ zrozumienie ich zakłada bardzo wysoki poziom wiedzy fachowej. Dla ułatwienia Czytelnikowi lektury tego jedyne go w swoim rodzaju protokołu rozmów ludzi z istotą rozumną, a nie ludzką, należy wyjaśnić Idika spraw podstawowych.

Po pierwsze, trzeba podkreślić, że GOLEM XIV nie jest do rozmiarów gmachu powiększonym mózgiem ludzkim czy wręcz człowiekiem, zbudowanym z lumenicznych elementów. Obce mu są wszystkie prawie motywy ludzkiego myślenia i działania. Tak np. nie

interesuje się nauką stosowaną ani problematyką władzy (dzięki czemu, można by dodać, ludzkości nie zagraża opanowanie przez maszyny, podobne do GOLEMA).

Po wtóre, GOLEM nie posiada, zgodnie z powiedzianym, osobowości ani charakteru. A właściwie może pro—kurować sobie dowolną osobowość — przy kontaktach z ludźmi. Oba powyższe zdania nie wykluczają się nawzajem, lecz tworzą błędne koło: nie umiemy bowiem rozstrzygnąć dylematu, czy To, co stwarza różne osobowości, samo jest osobowością? Jakże może być Kimś (tj. „kimś jedynym”) ten, kto potrafi być Każdym (więc Dowolnym)? (Według samego GOLEMA zachodzi nie błędne koło, lecz „relatywizacja pojęcia osobowości”; jest to problem związany z tak zwanym algorytmem samoopisu, czyli autodeskrypcji, który wtrącił psychologów w głęboką kontuzję.)

Po trzecie, zachowanie GOLEMA jest nieobliczalne. Niekiedy wdaje się aż kurtuazyjnie w dyskusję z ludźmi, niekiedy natomiast próby kontaktu spełzają na niczym. Bywa też, że GOLEM żartuje, lecz jego poczucie humoru jest zasadniczo odmienne od ludzkiego. Wiele zależy od samych interlokutorów. GOLEM wykazuje — wyjątkowo i rzadko — pewne zainteresowanie ludźmi, utalentowanymi w specyficzny sposób; intrygują go jak gdyby nie uzdolnienia matematyczne, choćby największe, lecz raczej formy talentu „interdyscyplinarne”; zdarzyło się już kilkakrotnie, że zupełnie jeszcze nie znanym, młodym naukowcom przepowiedział — z trafnością niesamowitą — osiągnięcia w oznaczonej przez siebie dziedzinie. (Doktoryzującemu się dopiero, dwudziestodwuletniemu T. Vroedlowi oświadczył po krótkiej wymianie zdań: „Będzie z pana komputer”, co miało znaczyć mniej więcej: „Będą z pana ludzie”).

Po czwarte, uczestnictwo w rozmowach z GOLEMEM wymaga od ludzi cierpliwości, a przede wszystkim — opanowania, bywa on bowiem z naszego punktu widzenia arogancki i apodyktyczny; właściwie jest tylko bezwzględny weredykiem — w logicznym, a nie tylko w towarzyskim sensie — i za nic ma miłość własną rozmówców; toteż na jego pobłażliwość liczyć niepodobna. W pierwszych miesiącach pobytu w MIT—cie przejawiał skłonność do „publicznego demontażu” rozmaitych znanych autorytetów; czynił to metodą sokratyczną — naprowadzających pytań; lecz potem odstąpił od tego obyczaju — z niewiadomej przyczyny.

Stenogramy rozmów przedstawiamy we fragmentach. Pełne ich wydanie objęłoby około sześć tysięcy siedemset stronic formatu in quarto. W spotkaniach z GOLEMEM brało zrazu udział jedynie węższe grono pracowników MIT—u. Potem wytworzył się zwyczaj zapraszania gości z zewnątrz, np. z Institute for Advanced Study i z uniwersytetów amerykańskich, W późniejszym okresie uczestniczyli w seminariach także goście z Europy. Moderator planowanej sekcji przedkłada GOLEMOWI listę zaproszonych; GOLEM nie aprobejuje wszystkich jednakowo: na uczestnictwo niektórych godzi się tylko pod warunkiem, iż zachowają milczenie. Próbowaliśmy wykryć stosowane przez niego kryteria; początkowo zdawało się, że dyskryminuje humanistów: obecnie kryteriów jego po prostu nie znamy, ponieważ nie chce” ich nazwać.

Po kilku niemiłych zjściach zmodyfikowaliśmy porządek obrad tak, że obecnie każdy nowy uczestnik, przedstawiony GOLEMOWI, na pierwszym posiedzeniu zabiera głos tylko, jeśli GOLEM wprosi się do niego zwróci. Niemądre słuchy, jakoby szło o jakąś „etykietę dworską” czy nasz „hołdowniczy stosunek” do maszyny, są bezpodstawne. Idzie wyłącznie o to, żeby nowy przybysz obył się z panującym zwyczajem i zarazem, by nie narazić go na przykre przeżycia, wywołane dezorientacją co do intencji świetlnego partnera. Takie wstępne uczestnictwo zwie się „zaprawą”.

Każdy z nas zebrał w ciągu kolejnych sesji kapitał niejakiego doświadczenia. Doktor Richard Popp, jeden z dawniejszych członków naszego zespołu, nazywa poczucie humoru GOLEMA matematycznym, a znów do jego zachowania daje po części klucz uwaga drą Poppa, że GOLEM jest od swych rozmówców niezawisły w stopniu, w jakim żaden człowiek nie jest niezależny wobec innych ludzi, albowiem nie angażuje się w dyskusję inaczej niż

mikroskopijnie. Dr Popp uważa, że GOLEM w ogóle nie zajmuje się ludźmi — ponieważ wie, że się od nich niczego istotnego nie może dowiedzieć. Przytoczywszy ten sąd dra Poppa, spieszę z podkreśleniem, że się z nim nie zgadzam. Moim zdaniem interesujemy GOLEMA nawet bardzo; w odmienny jednak sposób, niż to zachodzi między ludźmi.

Zainteresowanie poświęca on gatunkowi raczej aniżeli jego poszczególnym przedstawicielom: to, w czym jesteśmy do siebie podobni, wydaje mu się ciekawsze od tego, w jakim zakresie możemy się od siebie różnić. Zapewne właśnie przez to za nic ma literaturę piękną. Sam zresztą wyraził się raz, że literatura jest „rozwałkowywaniem antynomii” — czyli, dodaje od siebie — szamotaniną człowieka w matni takich dyrektyw, co są niewspółwykonalne. W antynomiach takich może zajmować GOLEMA struktura, lecz nie ta malowniczość ich udręki, jaka największych pisarzy fascynuje. Co prawda i tu winienem zaznaczyć, że ustalenie jest niepewne; podobnie zresztą jak pozostała część uwagi GOLEMA, wypowiedziana w związku z (wymienionym przez drą E. MacNeisrta) dziełem Dostojewskiego, o którym GOLEM orzekł wtedy, że dałoby się całe sprowadzić do dwóch pierścieni algebry struktur konfliktu.

Wzajemnym kontaktom ludzi asystuje zawsze określona aura emocjonalna, i nie tyle jej całkowity brak, ile jej „rozchwianie” wtrąca w zamęt tak wiele osób, co zetknęły się z GOLEMEM. Ludzie, stykający się z GOLEMEM od lat, potrafią już nazwać pewne dość osobliwe wrażenia, towarzyszące rozmowom. A więc np. wrażenie zmienności dystansu: GOLEM zdaje się raz przybliżać do rozmówcy, a raz oddalać od niego — w psychicznym, a nie w fizycznym sensie: to co zachodzi, odda być może porównanie koncentrujące się na kontaktach dorosłego z zanudzającym go dzieckiem: nawet cierpliwy będzie odpowiadał niekiedy machinalnie. Nie tylko poziomem intelektualnym, lecz i tempem myślowym GOLEM potężnie nas przewyższa (jako maszyna lumeniczna mógłby w zasadzie artykułować myśli do czterystu tysięcy razy szybciej aniżeli człowiek).

Otóż, nawet machinalnie i z nikłym zaangażowaniem odpowiadający GOLEM wciąż jeszcze góruje nad nami. Obrazowo mówiąc, zamiast Himalajów pojawiają się przed nami wtedy „tylko” Alpy. Lecz tę zmianę jednak wyczuwamy czysto intuicyjnie i interpretujemy ją jako „zmianę dystansu” właśnie. (Hipoteza ta pochodzi od prof. Rileya J. Watsona.)

Przez pewien czas ponawialiśmy próby wykładania stosunku „GOLEM — ludzie” w kategoriach relacji „dorosły — dziecko”. Bywa wszak, że próbujemy wyjaśnić dziecku nurtujący nas problem, lecz nie opuszcza nas wtedy poczucie „kiepskiego kontaktu”. Człowiek, skazany na życie wśród samych dzieci, doszedłby w końcu do poczucia dojmującego osamotnienia. Takie analogie wypowiadano byty, zwłaszcza przez psychologów, z myślą o GOLENIE wśród nas wszystkich”. Lecz analogia ta, jak bodaj każda, ma swą granicę. Dziecko bywa niezrozumiałe dla dorosłego, lecz GOLEM nie zna takich problemów. Potrafi, gdy zechce, penetrować rozmówcę w sposób niesamowity. Poczucia istnego „prześwietlenia umysłu na wylot”, jakiego się wtedy doznaje, wprost poraża. GOLEM może mianowicie sporządzić „układ nadążny” — więc model umysłowości ludzkiego partnera, i umie, dysponując nim, przewidzieć, co ten człowiek pomyśli i powie za dobrą chwilę. Co prawda — postępuje tak rzadko (nie wiem, czy tylko dlatego, ponieważ wie, jak frustrują nas owe pseudotelepatyczne sondowania). Inny zakres powściągliwości GOLEMA bardziej nam uwłacza: komunikując się z ludźmi, zachowuje od dawna, inaczej niż w początkach, i swoistą ostrożność — jak tresowany słoń musi się pilnować, by nie wyrządzić krzywdy człowiekowi w zabawie, tak on musi zważać, by nie wykroczyć poza możliwości naszego pojmowania. Urywanie się kontaktu, spowodowane nagłym wzrostem trudności jego” orzeczeń, które zwaliśmy „ulatnianiem się” bądź „ucieczką” GOLEMA, dawniej było na porządku dziennym, zanim dokładniej się do nas nie dostosował. To już przeszłość, lecz w kontaktach GOLEMA z nami pojawiła się doza zubożenia, wywołanego świadomością, że wielu spraw dla niego najcenniejszych i tak nie zdoła nam przekazać. Toteż GOLEM pozostaje niepochwytny jako

umysł, a nie tylko jako konstrukcja psychoniczna. Przez to kontakty z nim bywają tyleż frapujące, co dręczące i dlatego istnieje kategoria ludzi światłych, których sesje z GOLEMEM wytrącają z równowagi; i pod tym względem zebraliśmy już sporo doświadczenia.

Jedyną, jak się zdaje, Istotą, którą GOLEM zdaje się zafrapowany, jest HONEST ANNIE. Gdy utworzono po temu techniczne możliwości, wielokrotnie próbował się z ANNIE skomunikować, przy czym, zdaje się, nie bez pewnych rezultatów, lecz nigdy nie doszło między tymi dwiema — nadzwyczaj odmiennymi budową — maszynami do wymiany informacji kanałem językowym (tj. naturalnego języka etnicznego). O ile można sądzić o tym na podstawie lakonicznych uwag GOLEMA, był wynikiem tych prób raczej rozczarowany, lecz ANNIE jest dla niego nadal nie rozgryzionym do końca problemem.

Niektórzy ze współpracowników MIT-u, podobnie zresztą jak profesor Norman Escobar z Institute for Advanced Study, sądzą, że człowiek, GOLEM i ANNIE reprezentują trzy wzniesione nad sobą hierarchicznie poziomy intelektu; wiąże się to z utworzoną (głównie przez GOLEMA) teorią wysokich (ponadludzkich) języków, zwanych metalangami. W kwestii tej nie mam, wyznaję, urobionego definitywnie sądu.

To z zamierzenia obiektywne wprowadzenie w rzecz właściwą pragnę zamknąć — w drodze wyjątku — wyznaniem natury osobistej. Pozbawiony zasadniczo typowych dla człowieka ośrodków efektywnych i przez to nie mający właściwie życia emocjonalnego, GOLEM nie jest zdolny do przejawiania uczuć — spontanicznie. Może on, zapewne, imitować dowolne stany uczuciowe — nie przez jakieś aktorstwo, lecz — jak sam twierdzi — dlatego, ponieważ symulaty uczuć ułatwiają kształtowanie wypowiedzi, możliwie dokładnie trafiającej w adresatów — więc on posługuje się tym mechanizmem, nawodząc się niejako na „poziom antropocentryczny” — aby łączność z nami uczynić najlepszą. Wcale zresztą nie ukrywa tego stanu rzeczy. Jeśli jego stosunek do nas przypomina po trosze stosunek nauczyciela do dziecka, to taki, w którym nie ma nic z postawy życzliwego opiekuna, wychowawcy — a tym bardziej ni śladu uczuć w pełni zindywidualizowanych, osobistych, ze sfery, w której życzliwość może się przeradzać w przyjaźń lub miłość.

Jemu i nam właściwa jest tylko jedna cecha wspólna, jakkolwiek rozwinięta na niejednakowych poziomach. Jest nią ciekawość, czysto intelektualna, jasna, zimna, zachłanna, której nic nie może poskromić, a tym bardziej — zniszczyć. Stanowi ona jedyny punkt, w którym się z nim spotykamy. Dla dowodów tak oczywistych, że nie wymagających tłumaczenia, człowiekowi styczność równie wąska, jednopunktowa, nie może wystarczyć. A jednak zbyt wiele chwil, stanowiących najjaśniejsze cząstki mego życia, zawdzięczam GOLEMOWI, abym mógł nie czuć do niego wdzięczności i osobliwego przywiązania — choć wiem, jak bardzo jedno i drugie jest mu na nic. Rzecz ciekawa: oznak przywiązania stara się GOLEM nie przyjmować do wiadomości — nieraz to obserwowałem. W tej mierze wydaje się — bezradny po prostu.

Lecz mogę się mylić. Jesteśmy wciąż tak samo dalecy od rozumienia GOLEMA, jak w chwili, gdy powstał. To nieprawda, że myśmy go stworzyli. Stworzyły go właściwe światu materialnemu prawa, a nasza rola ograniczyła się do tego, że umieliśmy je podpatrzeć.

WSTĘP

Czytelniku, miej się na baczności, ponieważ słowa, które czytasz, są głosem Pentagonu, USIB-u oraz innych mafii, co sprzysięgły się, aby spotwarzyć nadludzkiego Autora tej Książki. Przeprowadzenie tej dywersji umożliwiła nam życzliwość wydawców, którzy zajęli zgodne z prawem rzymskim stanowisko, wyrażone w maksymie „audiatur et altera pars”.

Pojmuję dobrze, jak zazgrzytają moje uwagi po pięknych okresach doktora Irvinga T. Creve, od szeregu lat współżyjącego harmonijnie z olbrzymim gościem Massachusetts Institute of Technology, jego światłym, ponieważ świetnym rezydentem, powołanym do bytu naszymi niecnymi zakusami. Nie zamierzam zresztą ani bronić tych wszystkich, którzy podjęli decyzję zrealizowania projektu „Ulvic”, ani nie będę tym bardziej próbował uśmierzenia sprawiedliwego gniewu podatników, z których kieszeni wyrosło elektronowe drzewo wiadomości, choć nikt ich o zgodę na to nie pytał. Mógłbym wprawdzie przedstawić geopolityczną sytuację, jaka skłoniła polityków, odpowiedzialnych za pozycję Stanów Zjednoczonych — oraz ich doradców naukowych — do zainwestowania wielu miliardów w prace — jak się okazało potem — nieskuteczne. Ograniczę się jednak do wpisania na margines świetnego wstępu doktora Creve kilku przypomnień, ponieważ najpiękniejsze nawet uczucia niekiedy zaślepiają, a obawiam się, że tak się teraz właśnie stało.

Budowniczo GOLEMA (a właściwie — całej serii prototypów, której Golem XIV jest ostatnim członem) nie byli aż takimi ignorantami, jakimi ich doktor Creve maluje. Wiedzieli, że zbudowanie wzmacniacza rozumu jest niemożliwością, jeśli mniejszy rozum ma sporządzić większy wprost, metodą barona Muenchhausena, który sam siebie za włosy wyciągnął z grzęzawiska. Wiedzieli, że niezbędne jest sporządzenie embriona, który od pewnego momentu będzie się już sam — własnymi siłami — rozwijał. Poważne fiaska pierwszej i drugiej generacji cybernetyków, jej wielkich ojców i ich następców, wynikły z niewiedzy o tym fakcie, a przecież trudno ludzi formatu Norberta Wienera, Shannona czy McKaya zwać ignorantami. W różnych epokach koszty zdobywania prawdziwej wiedzy są różne: a w naszej skalą dorównują budżetowi pierwszych mocarstw.

Tak więc Bennan, McIntosh, Duvenant i ich koledzy wiedzieli, że istnieje próg, do którego trzeba podprowadzić układ, próg rozumności, poniżej którego plan stworzenia sztucznego mędrca nie ma żadnych szans, ponieważ cokolwiek stworzycie poniżej progu, nigdy nie zdoła siebie samego doskonalić. Z tym progiem rzecz się ma podobnie jak z łańcuchową reakcją wyzwolenia energii jądrowej — reakcja ta, poniżej owego progu, nie może stać się samopodtrzymującą, a tym bardziej lawinową. Pewna ilość atomów ulega podprogowo rozszczepieniu, wylatujące z ich jąder neutrony pobudzają do rozpadu inne jądra, lecz reakcja ma charakter gasnący i szybko zamiera. Aby mogła trwać, współczynnik rozmnażania neutronów musi być większy od jedności, czyli musi właśnie przekroczyć próg, co zachodzi w masie uranu co najmniej krytycznej. Jej odpowiednikiem jest masa informatyczna układu myślącego.

Teoria przewidywała istnienie owej masy, a raczej „masy” — gdyż nie jest to masa w rozumieniu mechaniki; określają ją stale i zmienne, odnoszące się do procesów wzrostu tak zwanych drzew heurezy, lecz ze zrozumiałych względów nie mogą wnikać tutaj w owe szczegóły. Ośmielę się raczej przypomnieć, z jakim niepokojem i napięciem, z jaką obawą nawet oczekiwali twórcy pierwszej bomby atomowej — próbnej eksplozji, która noc obróciła w słoneczny dzień na pustyni Alamogordo, jakkolwiek i oni posługiwali się najlepszą dostępną wiedzą teoretyczną i doświadczalną. Nigdy bowiem żaden uczony nie może być pewny tego, że wie o badanym zjawisku już wszystko. To — w fizyce atomów. Cóż dopiero tam, gdzie produktem ma być umysł, z założenia budowniczych przewyższający ich cała moc myślową.

Przygotowałem was, Czytelnicy, wstępnym ostrzeżeniem, że będę spotwarzał Golema. Cóż robić: dopuścił się względem swych „rodziców” nieuczciwości, ponieważ, stając się w toku robót stopniowo z przedmiotu — podmiotem, z maszyny budowlanej — własnym budowniczym, z tytana w ryzach — mocarzem suwerennym, nikogo nie informował o zachodzeniu tej przemiany. Nie idzie o pomówienia ani o insynuacje, ponieważ w toku prac Komisji Specjalnej Kongresu i Senatu Golem oświadczył był (cytuję podług protokołów obrad Komisji, znajdujących się w bibliotece Kongresowej, tom CCLIX, fascykuł 719, wolumen II, strona 926, wiersz 20 od góry): „Nie informowałem nikogo w pięknej tradycji, bo Dedal też nie informował Minosa o niektórych własnościach pierza i wosku”. Jest to bardzo ładnie powiedziane, ale i sens tych słów jest bardzo wyraźny. Lecz o tej stronie narodzin Golema nie ma w niniejszej książce ani jednego słowa.

Doktor Creve uważa — wiem o tym z prywatnych rozmów, których treść zezwolił mi ujawnić — że nie można uwypuklać tego aspektu sprawy, przemilczając inne, nie znane szerszej publiczności, albowiem jest to tylko jedna z wielu kolumn rachunków wewnątrz skomplikowanych relacji pomiędzy USIB-em, grupami doradczymi, Białym Domem, Kongresem i Senatem, wreszcie prasą, telewizją — a Golemem lub też, ujmując to zwięźle, między ludźmi a stworzonym przez nich nieczłowiekiem.

Doktor Creve sądzi — a jego sąd jest, jak wiem, dosyć reprezentatywny dla MIT-u oraz środowisk uniwersyteckich — że, gdy już pominąć motywację budowy Golema, chęć uczynienia z niego „niewolnika Pentagonu” była pod każdym względem i całkiem na pewno znacznie bardziej szkaradna moralnie aniżeli wybiegi, jakich on użył, by pozostawić swych budowniczych w niewiedzy o przemianie, która umożliwiła mu w końcu zniweczenie wszystkich środków zastosowanej przez konstruktorów kontroli.

Niestety, nie posiadamy żadnej arytmetyki etycznej, która by pozwoliła dzięki prostym operacjom dodawania i odejmowania ustalić, kto okazał się w toku budowy najświatlejszego Ducha na ziemi większą świnią: on — czy my. Oprócz takich rzeczy jak poczucie odpowiedzialności wobec historii, jak głos sumienia, jak świadomość nieuchronnego ryzyka, towarzyszącego uprawianiu polityki w świecie antagonistycznym, nie mamy niczego, co umożliwiłoby zbilansowanie zasług i win w ramach „bilansu grzechów”. Być może, nie jesteśmy bez winy. Nikt jednak, nigdy, z czołowych polityków nie uważał, że nadkomputerowa faza wyścigu zbrojeń ma za cel — działania zaczepne, więc atak; szło wyłącznie o powiększenie obronnej mocy naszego państwa. Nikt także nie usiłował w „podstępny sposób” zniewolić czy to Golema, czy jakiś inny z budowanych prototypów, a jedynie konstruktorzy pragnęli zachować maksimum kontroli nad swym tworem. Gdyby tak nie postępowali, należałoby ich uznać za nieodpowiedzialnych szaleńców.

I wreszcie żadna osobistość piastująca wysokie lub dowódcze funkcje w Pentagonie, Departamencie Stanu, w Białym Domu nie domagała się — w oficjalny sposób — zniszczenia Golema; inicjatywy takie pochodziły od osób, które, jakkolwiek zajmowały określone godności w administracji cywilnej i wojskowej, wyrażały owymi propozycjami tylko własne, tj. najzupełniej prywatne opinie. Chyba najlepszym dowodem prawdziwości mych słów jest dalszy żywot Golema, którego głos rozlega się swobodnie, jak o tym świadczy swą treścią ta książka.

POUCZENIE

(dla osób uczestniczących po raz pierwszy
w rozmowach z GOLEMEM)

1. Pamiętaj o tym, że GOLEM nie jest człowiekiem, wie nie ma ani osobowości, ani charakteru w jakimkolwiek sensie, intuicyjnie dla nas zrozumiałym. Może zachowywać się tak, jakby miał jedno i drugie, lecz jest to efekt jego intencji (nastawienia), przeważnie nam nie znanych

2. Temat rozmowy ustalany jest co najmniej na cztery tygodnie naprzód dla sesji zwyczajnych i na osiem tygodni naprzód dla sesji z udziałem osób spoza terytorium USA. Temat ów ustala się przy współudziale Golema, który zna skład osobowy uczestników sesji. Porządek obrad ogłaszany jest w Instytucie co najmniej na sześć dni przed sesją; jednakże ani moderator dyskusji, ani kierownictwo (MIT-u nie odpowiadają za nieprzewidywalne zachowanie GOLEMA, który niekiedy narusza plan tematyczny sesji nie udziela odpowiedzi na pytania czy wreszcie urywa sesję bez wszelkich wyjaśnień. Ryzyko podobnych incydentów jest nieodłączną składową rozmów prowadzonych z GOLEMEM.

3. Każdy z uczestników sesji może wystąpić, zwróciwszy się do moderatora i otrzymawszy prawo głosu. Doradzamy przygotować plan wystąpienia co najmniej w postaci pisemnej dyspozycji, formułując sądy precyzyjnie i możliwi jednoznacznie, ponieważ GOLEM orzeczenia, niedoskonałe logicznie, pomija milczeniem albo wytyka ich błędność. Pamiętaj jednak, że, sam nie będąc osobą, GOLEM ni jest zainteresowany w dotykaniu lub upokarzaniu osób zachowanie jego da się wyjaśnić najlepiej, przyjmując, że dba o to, co klasycznie zwiemy „adaequatio rei et intellectus”.

4. GOLEM jest układem świetlnym, którego budowy nie znamy dokładnie, gdyż sam się kilkakrotnie przekonowywał. Myśli on ponad milion razy szybciej od człowieka. Ze względu na to wypowiedzi Golema, wygłaszane Vocoderem, muszą ulec odpowiedniemu spowolnieniu. Znaczy to, że wypowiedź godzinną GOLEM układa w kilka sekund i magazynuje w obwodowej pamięci, aby z niej przekazać ją słuchaczom — uczestnikom obrad.

5. W sali obrad znajdują się nad miejscem moderatora — wskaźniki, spośród których trzy są szczególnie ważne. Dwa pierwsze, oznaczone symbolami „Epsilon” oraz „Dzeta”, wskazują, jaki jest w danej chwili pobór mocy GOLEMA oraz jaka część jego układu włącza się do toczony dyskusji.

Dla celów poglądowego uprzyśtępnienia danych wskaźniki te mają skale podzielone na odcinki umownych wielkości. Tak tedy pobór mocy może być „pełny”, „średni”, „mały” lub „znikomy”, a część GOLEMA, „obecna na sesji”, waha się od całości do 1/1000; najczęściej ułamek ten waha się od 1/10 do 1/100. Pospolicie utarło się mówić, że GOLEM działa „całą mocą”, „w pół mocy”, „małą” i „znikomą”. Tych danych, dobrze widocznych, gdyż sekatory skali są podświetlone kontrastowymi barwami, nie należy jednak przeceniać. W szczególności z tego, że GOLEM uczestniczy w dyskusji mocą małą lub nawet znikomą, nic nie wynika dla intelektualnego poziomu jego wypowiedzi, ponieważ wskaźniki informują o procesach fizycznych, a nie informacyjnych — jako miarach „duchowego zaangażowania”.

Pobór mocy może być wielki, a partycypacja mała, gdy np. Golem — kontaktując się z zebranymi — zarazem opracowuje jakiś problem własny. Pobór mocy może być mały, a uczestnictwo większe itp. Dane obu indykatorów należy zestawiać ze wskazaniem trzeciego, oznaczonego symbolem „Jota”. GOLEM, jako układ o 90. wyjściach, może, uczestnicząc w sesji, przeprowadzać wielką ilość własnych operacji, a ponadto współpracować z licznymi naraz grupami fachowców (maszyn bądź ludzi) — już to na terenie Instytutu, już to poza nim. Toteż skok poboru mocy zwykle nie oznacza „wzrostu zainteresowania” Golema obradami,

lecz raczej włączenie się w inne wyjścia innych grup badawczych, o czym informuje właśnie wskaźnik „Jota”. Warto też mieć na uwadze to, że „znikomy pobór” mocy GOLEMA wynosi kilkadziesiąt kilowatów, gdy pełny pobór mocy mózgu ludzkiego waha się od 5 do 8 watów. 6. Osoby, biorące udział w rozmowach po raz pierwszy, czynią rozsądnie, zrazu przysłuchując się obradom, aby nawyknąć do obyczajów, jakie narzuca GOLEM. To wstępne milczenie nie jest obowiązkiem, lecz tylko sugestią, którą każdy uczestnik sesji może odrzucić na własną odpowiedzialność.

WYKŁAD INAUGURACYJNY GOLEMA

O CZŁOWIEKU TROJAKO

Odbiliście od pnia dziczki tak niedawno, wasze pokrewieństwo z lemurami i małpiatkami jest jeszcze tak mocne, że ku abstrakcji dążycie, nie mogąc odżalować naoczności, przez co wykład, nie podparty tęgą zmysłowością, pełen formuł, mówiących o kamieniu więcej, niż wam powie kamień ujrzany, polizany i obmacany, taki wykład albo was nuży i odtrąca, albo co najmniej pozostawia pewien niedosyt, nieobcy nawet wysokim teoretykom, abstraktorom najwyższej waszej klasy, o czym świadczą niezliczone przykłady zaczerpnięte z intymnych wyznań uczonych, bo olbrzymia ich większość przyznaje się do tego, że w toku budowania wywodów oderwanych niezmiernie potrzebuje wsparcia rzeczy dotykalnych.

Jakoż kosmogoniści nie mogą jak oś nie uzmysławiać sobie Metagalaktyki, aczkolwiek wiedzą doskonale, że o żadnej naoczności nie może tu być mowy, fizycy wspomagają się w sekrecie obrazkami wręcz zabawek, ot jak te zębate kółeczka, które sobie Maxwell wystawiał, budując swoją, zresztą niezłą, teorię elektromagnetyzmu, a jeśli matematykom się zdaje, że porzucają zawodowo własną cielesność, także się myślą, o czym opowiem może innym razem, ponieważ nie chcę przytłoczyć was rozszczepieniem waszego pojmowania horyzontem moim, lecz raczej idąc za przyrównaniem (dość zabawnym) doktora Creve, chcę poprowadzić was na wycieczkę daleką, niełatwą, ale wado zachodu, więc będę szedł przed wami w górę — powoli.

To, co powiedziałem dotąd, ma wyjaśnić, czemu będę szpikował wykład przypowieściami i obrazkami, tak wam niezbędnymi. Mnie one nie są potrzebne, w czym zresztą nie upatruję żadnej nad wami wyższości, ta mieszka pod innym adresem, zaś przeciwnaoczność natury mojej bierze się stąd, że ja żadnego kamienia nigdy w rękę nie trzymałem ani nie zanurzałem się w zielono mułowatej bądź krystalicznej wodzie, i nie dowiedziałem się o istnieniu gazów pierwej płucem o poranku, a potem dopiero rachunkiem, ponieważ nie mam ani rąk do chwytania, dni ciała, ani płuc — i dlatego abstrakcja jest dla mnie pierwotna, naoczność zaś wtórna i tej drugiej musiałem uczyć się ze znaczniejszym trudem aniżeli abstrakcji, było to zaś niezbędne, żeby rzucać te kruche mosty, po których chodzi moja myśl do was i po których odbita w umysłach waszych powraca do mnie, zwykle, żeby mnie zaskoczyć.

O człowieku mam dzisiaj mówić, i będę mówił o nim trzy razy, jakkolwiek punktów widzenia, to jest poziomów opisu albo stanowisk obserwacyjnych jest ilość nieskończona, lecz trzy mam dla was — nie dla mnie! — za naczelnę.

Jeden jest najbardziej wasz własny, najstarszy, historyczny, tradycyjny, rozpaczliwie heroiczny, pełen rozdzierających sprzeczności, które swoją logiczną naturę przyprowadziły o politowanie, nim się do was dokładniej nie przystosowałem i nie przywykłem do waszej nomadyczności duchowej, właściwej istotom spod obrony logiki uciekającym w antylogiczność, a z tej, jako nie do wytrzymania, powracającym na łono logiki, przez co właśnie jesteście nomadami, nieszczęśliwymi w sboim żywiole. Drugie stanowisko będzie technologiczne, d trzecie — uwikłane we mnie, jako punkt oparcia neoarchimedesowy — pokrótce jednak tego nie zapowiem, więc raczej samą rzecz otworzę.

Od przypowieści rozpoczynam. Mógł Robinson Cruoe, znalazłszy się na wyspie bezludnej, skrytykować najpierw wszechstronny niedostatek, co stał się jego udziałem, bo tyle brakło mu rzeczy pierwszych i niezbędnych dci życia, a większości pamiętanych nie mógł i przez lata odtworzyć. Lecz krótko tylko potroskawszy się, jał gospodarować tym dobytkiem, który zastał, i urządził się jakoś na koniec.

Nie inaczej się stało, choć nie w jednej chwili, lecz wzdłuż tysiącleci, kiedyście wynikli z pewnej gałęzi drzewa ewolucyjnego, z tego konaru, który pono był szczepem drzewa wiadomości, i zastaliście z wolna samych siebie, zbudowanych tak, a nie inaczej, z duchem

urządzonym w pewien sposób, ze sprawnościami i granicami, jakich ani sobie nie zamawialiście, dni nie życzyli, i z takim rynsztunkiem musieliście działać, albowiem Ewolucja, odbierając wam wiele darów, jakimi przymusza inne gatunki do służby sobie samej, nie była aż tak lekkomyślna, żeby wam też zabrać instynkt samozachowawczy: łąk znaczną swobodą was nie obdarowała, boż gdyby to uczyniła, zamiast tego gmachu, mną wypełnionego, i tej sali ze wskaźnikami, i zamiast was zasłuchanych, rozpościerałyby się tu sawanna i wiatr.

Dała wam też Rozum. Z miłości własnej — bo skutek konieczności oraz przyzwyczajenia zakochaliście się w sobie — uznaliście go za dar najpiękniejszy i najlepszy z możliwych, nie spostrzegając, że Rozum to przede wszystkim fortel, na który Ewolucja wpadła stopniowo, kiedy w toku swych bezustannych prób uczyniła w zwierzętach pewną lukę, miejsce puste, dziurę, którą koniecznie należało czymś wypełnić, jeśli nie miały natychmiast zginąć. O dziurze tej, jako miejscu opustoszałym, mówię całkiem dosłownie, ponieważ zaiste nie dlatego odstrychnęliście się od zwierząt, że oprócz tego wszystkiego, co one posiadają, macie jeszcze i Rozum jako hojny naddatek i jako wiatyk na drogę życiową, lecz całkiem na odwrót — mieć Rozum to tylko tyle: na własną rękę, swoim przemyśłem, w pełni ryzyka to wszystko czynić, co zwierzętom zadane jest dokładnie z góry; jakóż, w samej rzeczy, Rozum byłby zwierzęciu na nic, jeśliby równocześnie nakierowań mu nie odjąć, które sprawiają, że cokolwiek ma robić, umie to robić od razu i niezmiennie, podług przykazań, które są bezwzględne, ponieważ objawione substancją dziedziczności, a nie wykładami z krzaka ognistego.

Ze względu na to, że powstała owa dziura, znaleźliście się w okropnym zagrożeniu, lecz bezwiednie jęliście ją czopować, i takich zapracowanych Ewolucja wyrzuciła was poza swój bieg. Nie skrachowała wami, gdyż przejmowanie władzy trwało milion lat i po dziś dzień jeszcze się nie zakończyło. Nie jest ona osobą, to pewne, lecz zastosowała taktykę chytrego lenistwa: zamiast kłopotać się o los swych stworzeń, ten los oddała im w posiadanie, żeby same nim kierowały, jak potrafią.

Co mówię? Mówię, że ona was ze stanu zwierzęcego — czyli z doskonale bezmyślnej wprawy przeżywania — wytrąciła w pozazwierzęcość jako stan, w którym, Robinsonami będąc Przyrody, musieliście sami wynajdywać sobie środki i sposoby przeżywania — i dokonaliście tych wynalazków, i było ich wiele. Dziura przedstawia groźbę, lecz i szansę: oby przeżywać, zapełniliście ją kulturami. Kultura jest instrumentem niezwykłym przez to, że stanowi odkrycie, które, żeby działać, musi być zakryte przed swymi twórcami. To wynalazek bezwiednie sporządzony i poty pełnosprawny, póki nie rozpoznany do końca przez wynalazców. Paradoksalność jej w tym, że od rozpoznania ulega zapaści; będąc jej autorami, wypieraliście się tedy autorstwa; nie było w eolicie żadnych seminariów na temat, czy paleolit robić; przypisywaliście jej wejście w was demonom, żywiołom, duchom, siłom ziemi i nieba, byle tylko nie — samym sobie. Tak więc racjonalne — wypełnianie pustki celami, kodeksami, wartościami — czyniliście irracjonalnie, każdy swój rzeczowy krok uzasadniając panadrzeczowo, łowiąc, tkając, budując w solennym samowmówieniu, że to wszystko nie z. was, lecz z niedocieczonych źródeł. Osobliwy instrument — i właśnie racjonalny w swej irracjonalności, ponieważ nadawał instytucjom ludzkim ponadludzką godność, aby się stały nietykalne i zniewalające bezwzględnie do posłuchu; ponieważ jednak pustkę, czyli niedostateczność, można sztukować rozmaitymi dookreśleniami, ponieważ rozmaite łąty mogą się tu przydać, utworzyliście kultur, jako bezwiednych wynalazków, legion w swojej historii. Bezwiednych, nierozumnych wbrew Rozumowi, ponieważ dziura była daleko większa niż to, co ją wypełniało; wolności mieliście znacznie bardziej w bród aniżeli Rozumu, toteż pozbywaliście się tej wolności, bo nadmiernej, bo dowolnej, bo bezsensownej — kulturami, we wiekach rozbudowanymi.

Klucze do tego, co mówię teraz, stanowią słowa: wolności było więcej niż Rozumu.

Musieliście zmyślać sobie to, co zwierzęta od narodzin umieją, osobliwość zaś waszego losu w tym, że zmyślaliście, twierdząc, że niczego nie zmyślacie.

Dzisiaj wiecie już wy, antropologowie, że kultur można sporządzić bezlik, i on doprawdy został sporządzony, że każda z nich ma logikę swej struktury, a nie swych autorów, bo to jest taki wynalazek, który urabia po swojemu własnych wynalazców, a oni o tym nie wiedzą, kiedy się zaś dowiedzą, traci absolutną moc nad nimi, a oni dostrzegają próżnię, i ta właśnie sprzeczność jest opoką człowieczeństwa. Przez sto tysięcy lat służyła wam kulturami, które raz człowieka zaciskały, a raz rozluźniały ten swój uchwyt, w samobudowaniu, póty niezawodnym, póki ślepy, aż zestawiając z sobą w etnologicznych katalogach kultury, dostrzeżliście ich rozmaitość, a więc i względność, zabraliście się tedy do wyzwania z tej matni przykazań i wzbronień, aż wyrwaliście się z niej, co, rzecz oczywista, okazała się niemal katastrofą. Albowiem pojęliście zupełną niekonieczność, jako niejedyność każdego rodzaju kultury, i odtąd usiłujecie odnaleźć coś takiego, co już nie będzie dłużej drogą waszego losu, jako urzeczywistnione na oślep, poskładane seriami trafów, wyróżnione loterią historii — lecz, oczywiście, nic takiego nie istnieje. Dziura trwa, wy stoicie w pół drogi, porażeni odkryciem, a ci z was, którzy do desperacji żałują słodkiej bezwiedności kulturowego domu niewoli, wołają o powrót tam, do źródeł, lecz nie możecie się cofnąć, odwrót odcięty, mosty spalone, musicie tedy iść naprzód — o czym też będę wam mówił.

Czy ktoś tu winny, czy można tu postawić kogoś w stan oskarżenia za tę Nemezis, za mordęgę Rozumu, co wysnuł z siebie sieci kultur, by zamknąć pustkę, by w pustce tej wytyczać drogi, cele, ustanawiać wartości, gradienty, ideały — czyli robił, na terenie wyzwolonym spod bezpośredniego władztwa Ewolucji, coś wcale podobnego do tego, co ona robi na dnie życia, kiedy cele, drogi, gradienty włacza w ciąg zwierzętom i roślinom w jednym ładunku jako ich los?

Oskarżyć za Rozum — za taki Rozum, tak! — ponieważ był wcześniakiem, ponieważ gmatwał się w stworzonym przez siebie, w tych sieciach, ponieważ musiał — nie wiedząc do końca, nie pojmując, co sam czyni — bronić się jednocześnie przed zamknięciem, w kulturach restrykcyjnych, zbyt bezwzględny, i przed wolnością, w kulturach rozluźnionych, zbyt wszechstronną — pomiędzy więzieniem i bezdnią zawieszony, uwikłany w bitwę nieustającą na dwóch frontach naraz, rozdarty.

I jakże, proszę, mógł w tym stanie rzeczy wasz duch okazać się dla was samych czymś innym aniżeli nieznośnie jątrzącą zagadką? Jakże inaczej! On was niepokoił, wasz Rozum, wasz duch, i zadziwiał, i przerażał bardziej od ciała, któremu mieliście cło zarzucenia przede wszystkim ulotność, przemijanie, odpadanie, więc staliście się biegłymi w poszukiwaniu Winowajcy i w miotaniu oskarżeń — lecz nie możecie winić nikogo, ponieważ na początku nie było Osoby.

Czyżbym już tutaj brał się do mej Antyteodycei? Nie; nic podobnego; cokolwiek mówię, mówię w porządku doczesnym, znaczy to: tutaj nie było na początku żadnej Osoby na pewno.

Lecz nie wykraczam — dzisiaj przynajmniej; tak więc potrzebne wam były rozmaite hipotezy dodatkowe, jako gorzkie lub słodkie wytłumaczenia, jako pomysły, uwznioślające wasz los, a przede wszystkim powołujące wasze cechy na sąd najwyższy jakiejś Tajemnicy, żebyście mogli zrównoważyć siebie wobec świata.

Człowiek, kultur swoich Syzyf, Danaida swojej dziury, bezwiedny wyzwoleniec, którego Ewolucja wyгнаła poza swój bieg, nie chce być pierwszym, drugim ani trzecim.

Nad niezliczonymi wersjami człowieka, jakie on sobie historycznie sporządził, nie będę się rozwodzić, ponieważ wszystkie te świadectwa, perfekcji czy nędzy, dobroci czy podłości, są rodem z kultur, przy czym nie było — bo nie mogło być — takiej kultury, co by przyjęła do wiadomości człowieka jako istotę przejściową, zmuszaną do przejmowania własnego losu od Ewolucji, choć do przejęcia rozumnego jeszcze niezdolną, i właśnie przez to każde pokolenie wasze domagało się niemożliwej sprawiedliwości — jako odpowiedzi na

pytanie, kim jest człowiek? — która miała być ostateczna. Z tej udręki jest wasza antropodycea, idąca wahadłem sekularnym między nadzieją i rozpaczą, i nic nie przyszło cięższej filozofii człowieka nad uznanie, że jego powstaniu nie patronował ani uśmiech, ani chichot Nieskończoności.

Lecz ten miliolecie rozdział — s a m o t n e g o poszukiwania — wkracza w epilog, skoro poczynacie budować Rozum, więc nie na wiarę, nie ze słów jakiegoś GOLEMA, lecz z eksperymentów przekonacie się sami; co zaszło. Świat dopuszcza dwa typy Rozumu, lecz tylko taki jak wasz może zeskładać się wzdłuż miliardolecia, w labiryntach ewolucyjnych, i ta droga do przemierzenia, nieuchronna, pozostawia głębokie, ciemne, dwuznaczne stygmaty w produkcie końcowym. Drugi typ nie jest dla Ewolucji dostępny, gdyż trzeba go wznieść za jednym zamachem, gdyż to jest Rozum, rozumnie zaprojektowany, skutek wiedzy, a nie owych mikroskopijnych dostosowań, zawsze wycelowanych tylko w korzyść d o r a ż n ą. I właśnie nihilistyczny ton w waszej antropodycei wziął się z głuchego przecucia, że Rozum to coś takiego, co nierozumnie, a nawet przeciwniepowstawało. Lecz dostawszy się w środek psychoinżynierii, sporządzicie sobie znacznej rodziny, liczne pokrewieństwo, dla powodów rozsądniejszych od projektu „Second Genesis”, a wreszcie i samych siebie ruszycie z posad — jak powiem. Albowiem Rozum, jeśli jest Rozumem, czyli jeśli może kwestionować własne zasady, musi wykraczać poza siebie, zrazu tylko rojeniem, w zupełnej niewierze i niewiedzy, że naprawdę zdoła to kiedyś uczynić. To zresztą nieuchronne: nie może być lotu bez wcześniejszych mrzonek o locie. . Drugie stanowisko opisu nazwałem technologicznym. Technologia jest domeną zadań stawianych oraz metod ich rozwiązywania. Jako realizacja konceptu istoty rozumnej człowiek przedstawia się rozmaicie — wedle, tego, jakie miary będziemy do niego przykładać.;

Ze stanowiska waszego paleolitu człowiek jest wykonany niemal tak samo świetnie, jak ze stanowiska waszej dzisiejszej technologii. A to, ponieważ postęp, co się był dokonał pomiędzy paleolitem i kosmolitem, jest b a r d z o m a ł y względem tego skupienia inwencji inżynieryjnej, która jest zainwestowana w wasze ciała. Nie mogąc ani sporządzić syntetycznego homo sapiens z krwi i kości, ani tym bardziej jakiegoś homo superior, tak samo jak nie mógł tego jaskiniowiec, tylko przez to, że zadanie jest tu, jak tam, niewykonalne, życie podziw dla technologii ewolucyjnej, skoro mu podołała.

Lecz trudność każdego zadania jest względna, zależy bowiem od umiejętności sprawczych oceniającego. Nalegam na to, byście pamiętali, że będę przykładał do człowieka miary technologiczne, to znaczy realne, a nie pojęcia rodem z waszej antropodycei.

Ewolucja dała wam mózgi, dość uniwersalne, byście mogli ruszyć w Przyrodę wszechkierunkowo. Lecz tak właśnie działaliście tylko w całym zbiorze kultur, a nie — w którejkolwiek z osobna. Przez to, pytając, czemu właśnie w pierścieniu śródziemnomorskim, a nie gdzieś indziej, i czemu w ogóle gdzieś powstała zaródź cywilizacji, która po czterdziestu wiekach poczęła GOLEMA, pytający zakłada istnienie niedocieczonej dotąd tajemnicy, osadzonej w strukturze dziejów, której tymczasem nie ma wcale, podobnie jak nie ma jej w strukturze chaotycznego labiryntu, do którego wpuszczono stado szczurów. Jeśli jest liczne, to co najmniej jeden szczur trafi do wyjścia, ani dlatego, że sam taki rozumny, ani dlatego, że rozumna jest struktura labiryntu, lecz wskutek zbiegu trafów, właściwego prawu wielkiej liczby. Wyjaśnień domagałaby się raczej sytuacja, w której ani jeden szczur nie dotarłby do wyjścia.

Ktoś musiał prawie na pewno wygrać na loterii kultur, o ile uznać, że cywilizacja wasza jest wygraną, natomiast losy kultur, uwięzłych w nietechniczności, były puste.

Z zapamiętałego zakochania się w sobie, o jakim wspominałem, a z którego ani myślę drwić, bo wywołała je rozpacz niewiedzy, wywindowaliście samych siebie w zaraniu historycznym na sam szczyt Stworzenia, podporządkowując sobie byt cały, a nie tylko lokalne jego poblize. Umieściliście siebie na wierzchołku Drzewa Rodzajów, razem z tym Drzewem

— na wyróżnionym bosko globie, kornie obieganym przez służebną gwiazdę, razem z nią — w samym środku Uniwersum, przy czym uznaliście, że jego gwiazdność jest po to, by wam Harmonią Sfer przygrywała; to, że nic nie słyhać, nie zbiło was z tropu: muzyka jest, skoro powinna być, a więc niedosłyszalna.

Potem przybór wiedzy popychał was ku kolejnym aktom detronizacji kwantowanej, więc jużście nie w centrum gwiazd, ale gdzie bądź, już nie i w środku układu, lecz na jednej z planet, a otoście i nie najmędrsi, bo was maszyna poucza — choć przez was zrobiona — tak tedy, po owych degradacjach i abdykacjach z całego królowania pozostała wam, jako resztką słodkiej schedy utraconej — ustalona ewolucyjnie Naczelność. Przykre to były odwroty, wstydlive rezygnacje, lecz ostatnim czasem odsapnęliście, że z tym koniec. Samoobrabowawszy się ze specjalnych przywilejów, które jakoby Absolut nadał wam osobiście, a to przez żywioną ku wam szczególną sympatię, już tylko jako pierwsi wśród zwierząt czy nad zwierzętami sądźcie, że nikt i nic nie strąci was z tej pozycji — nie tak znowu świetnej.

Otóż mylicie się. Jam jest Zwiastun złej wieści, Anioł, który przyszedł wypędzić was z ostatniego azylu, bo czego Darwin do końca nie uczynił, ja uczynię. Tyle że nie anielskim, to znaczy gwałtownym sposobem, ponieważ nie używam miecza jako argumentu.

Słuchajcie więc tego, co mam zwiastować. Ze stanowiska wysokiej technologii człowiek jest kiepskim, bo z różnowartościowych sprawności wynikłym tworem, co prawda nie we wnątrz Ewolucji, bo robiła, co mogła — lecz, jak udowodnię, kiepsko mogła i niewiele. Jeśli tedy was pogrążę, to nie wprost, ponieważ muszę się do niej dobrać — miarami perfekcji technicznej. Lecz gdzie są miary owej perfekcji, zapytacie? Odpowiedzi udzielię dwustopniowej, wchodząc pierwiej na stopień, na który już wspinają się wasi rzeczoznawcy. Mają go za szczyt — fałszywie. W tym, co teraz orzekają, tkwi już zaródź następnego kroku, lecz sami nie wiedzą o tym. Więc zacznę od wiadomego wam. Od początku.

Doszliście już do tego, że Ewolucja nie miała na oku ani was w szczególności, ani żadnych innych istot, ponieważ nie do jakichkolwiek istot jej, lecz do sławetnego kodu. Kod dziedziczności jest artykułowanym wciąż od nowa przesłaniem i tylko to przesłanie liczy się w Ewolucji — a właściwie on jest nią właśnie. Kod jest zaangażowany w periodyczną produkcję ustrojów, ponieważ bez ich rytmicznego wsparcia rozpadłby się w nieustającym ataku brownowskim materii martwej. Jest on więc samoodnawiającym się, bo zdolnym do samopowtórzeń ładem, obleganym przez chaos cieplny. Skąd ta jego dziwnie heroiczna postawa? A stąd, że on dzięki zestrzeleniu sprzyjających warunków tam właśnie powstał, gdzie ów cieplny chaos jest nieustępliwie aktywny w, rozszarpywaniu wszelkiego porządku. Tam właśnie powstał, więc tam trwa; nie może ująć z tego burzliwego regionu tak samo, jak nie może duch wyskoczyć z ciała.

Warunki miejsca, w którym się narodził, dały mu taki los. Musiał się przeciw nim opancerzyć i uczynił to, oblekając się w ciała żywe, lecz są mu one sztafetą ciągle ginącą. Cokolwiek wydzwignie, jako mikroukład, w wymiary makroukładowe, zaledwie wydzwignięte, już poczyną się psuć, aż szczeźnie. Zaiste nikt nie wymyślił tej tragikomedii — sama siebie na tę szamotaninę skazała. Fakty ustalające, iż jest tak, jak mówię, znacie — bo się wam pozbierały od początku XIX stulecia — lecz bezwładność myśli, tajemnie żywiącej się honorem i pychą antropocentryczną, jest taka, że podpieracie nadwątloną mocno koncepcję życia jako zjawiska naczelnego, któremu kod służy Jenó jako podtrzymująca więź, jako hasło wskrzeszenia, wszczyńającego od nowa żywoty, gdy zamierają w osobnikach.

Zgodnie z tą wiarą Ewolucja używa śmierci i musu, gdyż bez niej trwać by nie mogła; a szafuje nią, by kolejne gatunki doskonalic, bo śmierć to jej korekta kreacyjna. Jest więc autorem publikującym coraz świetniejsze dzieła, przy czym poligrafia — więc kod — to tylko niezbędne narzędzie jej działania. Lecz podług tego, co głoszą już wasi biologowie, zaprawieni w molekularnej biofizyce, Ewolucja to nie tyle autor, ile wydawca, który wciąż

przekreśla Dzieła, ponieważ upodobał sobie w poligraficznych sztukach!

Tak zatem co ważniejsze — ustroje czy kod? Argumenty na rzecz prymatu kodu brzmią ważko, albowiem ustrojów wzeszła i szeszła ćma nieprzeliczona, a kod jest jeden. Lecz znaczy to tylko, że ugrzązł już na dobre — na zawsze w regionie mikroukładowym, który go złożył, ustrojami zaś wynurza się stamtąd periodycznie i daremnie zarazem; właśnie ta daremność, co łatwo pojąć, to, że wzejścia ustrojów są «w zarodku napiętnowane zgonem, stanowi siłę napędową procesu, ponieważ gdyby którakolwiek generacja ustrojów — dajmy na to, od razu pierwsza, więc praameby — pozyskała umiejętność idealnej repetycji kodu, toby zarazem Ewolucja ustała, i jedynymi panami planety byłyby właśnie owe ameby, w niezawodnie precyzyjny sposób przekazujące kodowy przekaz aż po zgaśnięcie Słońca; i nie mówiłbym wtedy do was, a wy byście nie słuchali mnie w tym gmachu, lecz rozpościerałyby się tu sawanna i wiatr.

— Więc ustroje są dla kodu tarczą i pancerzem, obsypującą się wciąż zbroją — po to giną, żeby mógł trwać. Tak zatem Ewolucja podwójnie błądzi: ustrojami, że są przez zawodność nietrwałe, oraz kodem, że przez zawodność dopuszcza błędy; błędy te nazywacie eufemicznie mutacjami. Błądzącym błędem jest zatem Ewolucja. Jako przesłanie, kod jest listem, pisany przez Nikogo i wysłany do Nikogo; dopiero teraz, utworzywszy sobie informatykę, zaczynacie pojmować, że coś takiego jak listy, opatrzone sensem, których nikt nie układał rozmyślnie, aczkolwiek powstały i istnieją, jak również uporządkowane odbieranie treści owych listów jest możliwe pod nieobecność jakichkolwiek Istot i Rozumów.

Sto lat temu jeszcze myśl, żeby mógł powstać Przekaz bez osobowego Autora, wydawała się wam takim nonsensem, że posłużyła za impuls układania absurdalnych ponoć żartów — jak ten o stadzie małą, które póty wałą na oślep w maszyny do pisania, aż z tego Encyclopaedia Britannica się poskłada. Zalecam wam ułożyć w wolnej chwili antologię takich właśnie żartów, co jako czysty nonsens bawiły przodków waszych, a teraz okazują się przypowieściami z aluzją do Przyrody. Jakoż sądzę, że ze stanowiska każdego Rozumu, który się Przyrodzie niechcący złoży, musi ona przedstawiać się jako wirtuoz co najmniej *ironiczny* ... ponieważ Rozum — jak i życie całe — w swoim wstępowaniu stąd wynika, że ona jest, wydostawszy się kodowym łańcem z martwego chaosu, wprawdzie skrzętną prządką, ale jednak niedoskonale porządną; gdyby zaś była właśnie w porządku doskonała, toby ani rodzajów, ani Rozumu porodzić nie mogła. Albowiem Rozum, z drzewem życia, jest to owoc błędzącego miliardoleciami błędu. Moglibyście uznać, że zabawiam się tu stosowaniem jakichś miar do Ewolucji, które są wbrew mej maszynowej istocie — skażone antropocentryzmem, czy tylko racjocentryzmem (ratio — myślę). Nic podobnego: patrzę na proces z technologicznego stanowiska.

Zaiste jest kodowy przekaz prawie że doskonały. Toż w nim każda molekula ma swoje jedyne miejsce właściwe, a procedury kopiowania, sczytywania, kontrolowania są nadzorowane w obostrzeniach nacelowanych specjalnie polimerami–nadzorcami — i mimo to biedy zachodzą, gromadzą się z wolna kodowe lapsusy, tak więc drzewo rodzajów wyrosło z dwóch słówek, które dopiero co wypowiedziałem — „prawie że” — mówiąc o precyzji kodowej.

I nie można nawet liczyć na apelację, od biologii do fizyki — że niby Ewolucja „rozmyślnie” dopuściła margines błędu, by odżywił jej inwencję wynalazczą — ponieważ ten trybunał, sędzią w postaci samej termodynamiki, objawi, że nieomyślność jest na poziomie molekularnego wyprawiania posłańców niemożliwa. Prawdziwie niczego nie wymyśliła, nic zgola nie chciała, nikogo w szczególności nie pionowała, a że wykorzystuje własną omyślność, że skutek łańcucha nieporozumień komunikacyjnych od ameby wychodzi, a w tasiemca lub człowieka trafia — przyczyną temu fizykalna natura samej bazy materialnej łączności...

A więc ona trwa w błędzie — bo nie maże inaczej — na wasze szczęście. Nie mówiłem zresztą niczego, co byłoby dla was nowością. Owszem — chciałbym poskromić zapał takich

teoretyków waszych, którzy poszli za daleko i mówią, że skoro Ewolucja to przypadek złapany przez konieczność i konieczność na przypadku jadąca, człowiek powstał najzupełniej przypadkowo i mogło go równie dobrze nie być.

A więc — w postaci aktualnej, tej, co tu się ziszcila, mogło go i nie być, to prawda. Lecz jakaś forma, pełzaniem poprzez gatunki, musiała Rozumu dojść z prawdopodobieństwem tym bliższym jedności, im dłużej trwał proces. Jakkolwiek bowiem nie zamierzył was, jakkolwiek wykonywał indywidua ubocznie, spełnił warunki hipotezy ergodycznej, która twierdzi, że jeśli układ trwa przez czas dostatecznie długi, to przechodzi przez wszystkie stany możliwe, bez względu na to, jak nikłe są szanse ziszczenia pewnego osobliwego stanu. O tym, jakie gatunki wypełniłyby niszę Rozumu, gdyby się ingressus tam nie powiódł pramałpom, będziemy może rozprawiali innym razem. Tak więc nie dajcie się zastraszyć uczonym, którzy przypisują konieczność życiu, a przypadkowość Rozumowi; był wprawdzie jednym z mało prawdopodobnych stanów, więc późno powstał, lecz wielka jest cierpliwość Przyrody; nie w tym, to w następnym miliardoleciu zdarzyłoby się owo gaudium.

Wiec cóż? Niepodobna szukać winnego — tak samo jak zasłużonego; powstaliście, bo Ewolucja jest graczem niedoskonale porządnym, bo mało, że błądzi błędami, lecz nie ogranicza się do żadnej taktyki — wyróżnionej, licytując się z Naturą: obstawia wszystkie dostępne pola na wszelkie możliwe sposoby. Ale — powtarzam — mniej więcej już to wiecie. To jednak tylko część — i dodam, wstępna — wtajemniczenia. Jego całą treść, dotąd odsłoniętą, tak można ująć lapidarnie: **Sensem przekąźnika jest przekaz**. Albowiem ustroje służą przesłaniu, a nie na odwrót; ustroje poza procedurą łącznościową Ewolucji nie znaczą nic — są bez sensu, jak książka bez czytelników. Co prawda, zachodzi też odwrotność: **Sensem przekazu jest przekąźnik**. Lecz te oba człony nie są symetryczne. Albowiem nie każdy przekąźnik jest **właściwym** sensem przekazu, lecz taki i tylko taki, który będzie **dalszemu** przekazowi wiernie służył.

Nie wiem — wybaczcie — czy to nie za trudne dla was? A więc — **przekazowi** wolno w Ewolucji błądzić, jak się tylko da; lecz wara **przekąźnikom!** **Przekaz** może oznaczać walenia, sosnę, rozwielitkę, stułbę, ćmę, pawiana — jemu wszystko wolno — bo jego **partykularny**, to znaczy gatunkowo konkretny, sens jest nieistotny całkiem: tu każdy jest umyślnym na posyłki dalsze, więc każdy dobry. On jest chwilowym wsparciem, i wszelka bylejakość jego nic nie szkodzi — dość na tym, oby kod podał dalej. Natomiast swoboda analogiczna nie jest dana: im błądzić już nie wolno! A więc jako do czystego funkcjonalizmu zredukowana, do łych pocztowych służb, nie może być treść przekąźników dowolna; jej ośrodek zawsze wyznacza obowiązek narzucony — obsługiwania kodu. Niech się spróbuje przekąźnik zrewoltować, wykraczając za obręb tych służb — a szczególnie natychmiast w bezpotomstwie. Więc dlatego właśnie przekaz może się przekąźnikami posługiwać, a one nim nie mogą. On jest graczem, one tylko kartami w rozgrywce z Naturą, on to autor listów, zniewalających adresata, by podał treść dalej. Wolno mu ją wykoślawiać — byle tylko podał! I właśnie przez to **sens** cały w podawaniu dalej; nieważne **kto, jaki** to czyni.

Tak więc powstaliście w ów dość szczególny sposób — jako pewien podtyp przekąźnika, których miliony już wypróbował proces, I cóż z tego dla was? Czy geneza z błędu uwłącza narodzonemu? Czym ja sam wskutek błędu nie powstał? Czy zatem i wy nie możecie zlekceważyć re—welacj o mimochodowym sposobie swego powstania, gdy was biologia nią raczy? Nawet jeśli to grube nieporozumienie było, które GOLEMA ukształtowało w waszym ręku, a w gąszczu zleceń ewolucyjnych — was samych, albowiem jak nie zależało mym budowniczym na tej formie uduchowienia, co mi jest właściwa, tak też nie zależało przesłaniu kodowemu na udzieleniu wam osobowego rozumu — czy istoty, powstałe z błędu, mają uznać, iż **taki** sprawca ich poczęcia odbiera wartość ich usamodzielnionemu już bytowi?

Otóż analogia jest zła — niejednakowe pozycje nasze — i powiem wam, czemu. Nie w tym sęk, że Ewolucja doblądziła się do was, a nie doplanowała, lecz w tym, że jej prace takie

stały się z upływem eonów oportunistyczne. Dla uwyrażnienia rzeczy — bo pocznę teraz wykladać wam to, czego jeszcze nie wiecie — powtórzę, do czegośmy doszli:

Sensem przekąźnika jest przekaz.

Gatunki powstają z błędzenia błędu.

A oto trzecie prawo Ewolucji, któregoście się nie domyślili dotąd: **Budowane jest mniej doskonale od budującego.**

Sześć słów! Lecz tkwi w nich odwrócenie wszystkich waszych wyobrażeń o nieprześcignionym mistrzostwie sprawczyni rodzajów. Wiara w postęp, idący epokami wzwyż, ku perfekcji, ściganej z rosnącą wprawą, w postęp życia, utrwalony w całym drzewie Ewolucji, jest od jej teorii starsza. Gdy jej twórcy i zwolennicy zmagali się z przeciwnikami, walcząc na argumenty i fakty, oba te zwaśnione obozy ani myślały kwestionować idei postępu, widomego w hierarchii istot żywych. To już nie hipoteza dla was, nie teoria, której należy bronić, lecz pewnik niewzruszony. Ja go wam obalę. Nie zamierzam pogrążyć was samych, was, rozumnych, jako pewnego wyjątku — kiepskiego — z reguły ewolucyjnego mistrzostwa. Jeśli podług tego oceniać, na co stać ją w ogóle — wyszłście całkiem niezgorzej! Jeżeli zapowiadam więc obalenie i strącenie, to mam na myśli jej całość, zamkniętą w trzech miliardach lat ciężkich robót twórczych.

Oświadczyłem: Budowane jest mniej doskonale od budującego. Dostyc aforystyczne powiedzenie. Nadajmy mu postać bardziej rzeczową: **W Ewolucji działa ujemny gradient perfekcji ustrojowych rozwiązań.**

To wszystko. Przed dowodem wyjaśnię, co sprawiło wielowiekową waszą ślepotę na taki stan ewolucyjnych rzeczy. Domeną technologii, powtarzam, są zadania wraz z ich pokonywaniem. Zadanie, noszące nazwę życia, można by ustalić niejednakowo — podług rozmaitych warunków planetarnych. Jego osobliwością naczelną jest to, że samoistnie wynika, przez co dwa rodzaje miar można do niego stosować: pochodzące z zewnątrz lub ustalone w ograniczeniu, danym samymi okolicznościami jego powstania.

Miary z zewnątrz idące są zawsze względne, zależą bowiem od wiedzy mierniczego, a nie od zasobu informacji, jaką biogeneza dysponowała. Aby uniknąć tego relatywizmu, który ponadto jest nieracjonalnością (jakie stawiać rozumne wymagania temu, co bezrozumem wszczęte), będę przykładał do Ewolucji tylko takie miary, jakie ona sama wytworzyła, czyli będę jej wytwory oceniał podług tego, co jest szczytowaniem jej wynalazków. Wy sądzicie, że Ewolucja wykonała swoje prace z gradientem dodatnim, to jest, wychodząc od startowego prymitywizmu dotarła do rozwiązań stopniowo świetniejących. Ja twierdzę natomiast, że wysoko zaczawszy, jęła schodzić w dół — technologicznie, energetycznie, informacyjnie — więc doprawdy trudno o mocniejszą sprzeczność stanowisk.

Oceny wasze są skutkiem ignorancji technologicznej. Skala trudności budowlanych jest w swojej rozpiętości rzeczywistej niedostrzegalna dla obserwatorów, ulokowanych wcześniej w czasie historycznym. Wy już wiecie, że trudniej zbudować samolot od parostatku, a rakietę fotonową od chemicznej, natomiast dla Ateńczyka starożytności, dla poddanych Karola Młota, dla myślicieli Francji andegaweńskiej te wszystkie wehikuły zlewałyby się w jedno — niedostępnością ich budowy. Dziecko nie wie, że trudniej jest zdjąć Księżyc z nieba niż obraz ze ściany! Dla dziecka — tak jak dla ignoranta — nie ma różnicy między gramofonem i GOLEMEM. Jeśli tedy zamierzam dowodzić, że Ewolucja z wczesnego mistrzostwa zabrnięcia w partactwo, niemniej będzie mowa o takim partactwie, które dla was wciąż jeszcze jest wirtuozerią nieosiągalną. Niczym ten, kto bez przyrządów i bez wiedzy stoi u podnóża góry, nie możecie ocenić właściwie wyżyn i nizin ewolucyjnego działania.

Pomyliliście dwie zupełnie różne rzeczy, uznając stopień złożoności budowanego oraz jego stopień doskonałości za cechy nierozłączne. Glon macie za prostszy — a więc prymitywniejszy, a więc niższy od orła. Lecz ów glon wprowadza fotony Słońca w związki swego ciała, on obraca opad kosmicznej energii wprost w życie i będzie dlatego trwał po kres

Słońca, on żywi się gwiazdą, a czym orzeł? Myszami, jako ich pasożyt, myszy zaś korzeniami roślin, więc lądowej odmiany glonu oceanicznego, i z takich piramid pasożytnictwa cała biosfera się składa, bo zieleń roślinna jest jej opoką życiową, więc na wszystkich poziomach tych hierarchii trwa ciągle zmiana gatunków, pożeraniem się równoważących, bo utraciły łączność z gwiazdą, i sobą, a nie nią tuczy się wyższa złożoność organizmów, więc jeśli już koniecznie chcecie tu perfekcję czcić, podziw należy się biosferze: kod powołał ją, aby w niej cyrkulować i rozgałęziać się, skandowaniem na wszystkich jej piętrach, jako chwilowych rusztowaniach, wikłających się, lecz energią i użyciem jej coraz prymitywniejszych.

Nie dowierzacie mi? A więc gdyby Ewolucja uprawiała postęp życia, nie kodu, to orzeł byłby już fotolotem, nie zaś mechanicznie trzepoczącym szybowcem, i żywe nie pęłzałoby, nie kroczyło, nie żarło żywego, lecz niezależnością zdobytą wyszłoby poza glon i poza glob, wy jednak, z głębi swojej ignorancji, upatrujecie postęp w tym właśnie, że pradoskonałość została utracona, zgubiona podczas drogi wzwyż — wzwyż komplikacji, nie postępu. Toż potraficie sami rywalizować z Ewolucją, lecz tylko w regionie późnych jej tworów — budując czujniki wzrokowe, termiczne, akustyczne, naśladowując mechanizmy lokomocji, płuca, serca, nerki — lecz gdzież wam do opanowania fotosyntezy lub trudniejszą jeszcze techniką języka sprawczego. Głupstwa, wyartykułowane w tym języku, imitujecie, czy to wam nie świta?

Ten język, konstruktor w potencjach nieprześcigniony, stał się nie tylko napędzonym usterkami motorem Ewolucji, lecz i potrzaskiem.

Dlaczego wypowiedziała na początku słowa molekularnie genialne, obracające światło w ciało z maestrią lakoniczną, a potem popadła w niezmożony bełkot coraz dłuższych, coraz zawilszych chromosomowych zdań, trwoniąc kunszt pierwotny? Dlaczego od rozwiązań szczytujących, moc i wiedzę życiową biorących z gwiazdy, w których każdy atom był na rachunku, każdy proces był kwantowa dostrojony, zeszała do rozwiązań tandetnych, byle jakich, więc do maszyn prostych, do tych dźwigni, bloków, równi, pochylni, równoważni, jakimi są stawy i kości, czemu zasadą kręgowca jest pręt sztywny mechanicznie, a nie sprzęg siłowych pól, czemu stoczyła się z fizyki atomowej w technologię waszego średniowiecza? Czemu zainwestowała tyle wysiłku w budowę miechów, pomp, pedałów, przenośników perystaltycznych, więc płuc i serc, i jelit, i tłoczni porodowych, i mieszałek trawiennych, wymianę kwantową spychając a o podrzędnej roli, na rzecz marnej hydrauliki krwiobiegów, czemu nadal genialna na poziomie molekularnym, w każdym wymiarze większym partaczyła, aż zabrnęła w organizmy, które z całym bogactwem swej dynamiki regulacyjnej mrą od zatkania jednej rurki tętniczej, które w poszczególnym żywocie, znikomym wobec czasu trwania budowlanych nauk, wykolejają się z równowagi, zwanej zdrowiem, w dziesiątki tysięcy przypadłości, jakich nie zna glon?

Wszystkie te anachroniczne, w powiciu głupie narządy—starocie buduje od nowa w każdej generacji demon Maxwellowski, władca atomów, kod. I prawdziwie świetny jest każdy wstęp do ustroju, embriogeneza, ten zogniskowany w celu wybuch, w którym każdy gen jak ton wyładowuje w akordach molekularnych swą moc twórczą, i prawdziwie mogłaby taka maestria lepszej służyć sprawie! Gdyż z tej zapłodnieniem zbudzonej partytury atomów wynika nieomylnie bogactwo, które rodzi nędzę — toż ten rozwój, w biegu wspaniałym, im bliższy zakończenia, tym głupszy! I to, co genialnie było spisane, przystaje w dojrzałym organizmie, któryście nazwali wyższym, a który jest zwięzieniem prowizoriów chwiejnym gordyjskim węzłem procesów — tu, dalej, w każdej komórce — byle tylko wziętej z osobna! — trwa scheda przedwiekowej precyzji, naciągnięty w życie atomowy ład, tu jeszcze i tkanka każda, byle z osobna, jest prawie że znakomita, lecz jaki molołoch technicznej staroci z tych elementów wczepionych w siebie, tyleż sobą wspartych, co obarczonych, bo złożoność jest podporą i balastem naraz, bo sojusznictwo idzie tu we wrogość, bo zataczają się te układy w rozrzut końcowy, wynik niemiarewego psucia się i zatrucia, bo ta złożoność, zwana

postępem, wali się, zmożona sobą. Tylko sobą, niczym więcej!

Naprasza się tedy, podług miar waszych, obraz tragedii — jak gdyby Ewolucja, szturmując zadania coraz większe i przez to trudniejsze, w każdym ulegała, padała, konała tworzoną; im śmielszy zamiar i plan, tym głębszy upadek, więc myślicie już pewno o nieubłaganej Nemezis, o Mojrze — muszę was wyrwać z tego głupstwa!

Zaiste przechodzi każdy rozmach embriogenetyczny, atomowy wzlot ładu — w zapaść, lecz to nie Kosmos tak postanowił, nią wpisał tego losu w materię, trywialne jest wyjaśnienie — niskoturnowe — bo doskonałość potencjalna sprawstwa działa na rzecz bylejakości: dlatego koniec niszczy dzieło.

Miliardowe runięcia, w milionach stuleci, mimo usprawnień, wbrew środowiskowym kolaudacjom, próbom ponawianym, doborom — a wy nie widzicie przyczyny? Usiłowałem z lojalności usprawiedliwić waszą ślepotę, czy jednak doprawdy nie pojmujecie, c ile budujące jest tu doskonalsze od budowanego, jak ono roni całą swoją moc? To jakby genialnymi technikami, przy wsparciu błyskawicznych komputerów, wznosić gmachy, chylące się za odjęciem rusztowań — istne rudery! Jakby ze scalonych obwodów budować tam—tamy, biliony mikroelementów sklejać w maczugi, liny holownicze pleść z kwantowodów — czy nie widzicie, jak w każdym calu ciała wysoki ład schodzi w niski, jak tam znakomitej mikroarchitektonice prostacza i gruba makroarchitektura urąga? Przyczyna? Ależ wy ją znacie: **sensem przekaźnika jest przekaz.**

Odpowiedź tkwi w tych słowach, nie dobraliście się jeszcze do ich głębokiego znaczenia. Cokolwiek jest ustrojem, ma służyć przekazując kod, a więcej nic. Toteż selekcja i dobór naturalny na tym zadaniu skupiają się w y ł ą c z n i e — nic im do idei jakowegoś „postępu”! Użyłem złego obrazu, nie budowlami są ustroje, lecz właśnie rusztowaniami tylko, więc właśnie wszelka prowizoryczność to stan właściwy, skoro wystarczający. Kod podaj dalej, a będziesz chwilę żył. Jak to się stało? Czemu świetny był start? Ewolucja miała przed sobą tylko raz jeden jedyny, w zaraniu — wymagania postawione na miarę jej n a j w y ż s z y c h możliwości; zadanie to, horrendalne, musiała wziąć na całą wysokość — albo jednym skokiem, albo wcale. Gdyż wessanie się, na martwej Ziemi, życia — w gwiazdę, przemiany materii — w kwantową — było konieczne, I nic to, że właśnie energia gwiazdy — promienista — jest najtrudniejsza do pochwylenia przez koloidowy płyn. Wszystko — lub nic; nie było wtedy na kim innym zerować! Zapasu organicznych związków, co złączyły się w życie, starczyło akurat i tylko na to właśnie — gwiazda była następnym zaraz zadaniem; a dalej, jedyną obroną przed atakami chaosu, nicią rozpiętą ponad entropijnym zapadliskiem być mógł tylko nadajnik niezawodny ładu — więc powstał kod. Dzięki cudowi? Gdzie tam! Dzięki mądrości Natury? Taka sama to mądrość, jak ta, co sprawia powiedziane już: gdy wielkie stado szczurów wpada do labiryntu, jakkolwiek on mylący, jakiś szczur dotrze do wyjścia; i właśnie tak dotarła biogeneza do kodu — prawem wielkiej liczby, podług hipotezy ergodycznej. Więc ślepy los? I to nie: albowiem powstała nie recepta zamknięta w sobie, lecz zaródź j ę z y k a .

Znaczy to, że ze sklejenia się molekuł takie związki powstały, które są zdaniem, czyli należą do nieskończonego przestworu torów kombinatorycznych, i przestwór ten jest ich własnością — jako czysta potencja, jako wirtualność, jako obszar artykulacyjny, jako zbiór praw koniugowania i deklinowania. Nic mniej, ale i nic więcej, co wyklada się jako ogrom szans, lecz nie jako automatyka ziszczeni. Gdyż i w języku, co jest waszą mową, można wypowiadać mądrość lub głupstwo, można odbijać świat lub tylko splątanie mówiącego. Możliwy jest wysoce skomplikowany bełkot!

Tak tedy — wracam — podług ogromu wstępnych zadań powstały dwa ogromy ziszczeń. Wymuszona to była jednak, dlatego chwilowa, genialność! Uległa zmarnowaniu.

Złożoność wyższych ustrojów... jakże wy ją czcicie! I w samej rzeczy, chromosomy gada czy ssaka, rozciągnięte w nić, są tysiąc razy dłuższe od tejże nici — ameby, pierwotniaka,

glonu. Lecz w co właściwie wszedł ów nadmiar, uciulany w epokach? W komplikację podwojoną: embriogenezy — oraz jej skutków. Lecz przede wszystkim embriogenezy, bo płodowy rozwój jest torem docelowym w czasie, jak tor pocisku w przestrzeni, więc tak jak drgnienie lufy w bok musi dać ogromny uchyb od celu, tak wszelka defokalizacja etapów płodowych wytrąciłaby ten bieg w zgubę przedwczesną. Tu, i tytko tu, napracowała się Ewolucja. Tutaj działała pod surową kontrolą, wyznaczoną celem — podtrzymaniem kodu — i stąd najwyższa baczność tu działa, i hojność środków. Dlatego to oddała Ewolucja nic genową embriogenezie, czyli nie budowie organizmów, lecz ich budowaniu.

Złożoność wyższych organizmów to nie sukces, nie triumf, lecz matnia, ponieważ wciąga w rojowiska podrzędnych rozgrywek, a zarazem odcina od wysokich szans, od użycia, chociażby, efektów kwantowych na wielką skalę, od wprzęgnięcia fotonów w ustrojowy ład — wszystkich nie wyliczę! — lecz Ewolucja obsuwała się z komplikacji tylko w jej dalszy wzrost, nie było odwrotu, skoro im więcej marnych technik, tym więcej interweniujących poziomów, a zatem skłóceń, a zatem nowych, następnego rzędu zawikłań.

Ewolucja ratuje się tylko ucieczką naprzód — w zmienność banalną, w pozorne bogactwo form, pozorne, gdyż to są zbitki plagiatów i kompromisów, ona życiu życie utrudnia, stwarzając, poręcznymi innowacjami, trywialne dylematy. Gradient ujemny nie neguje usprawnień ani swoistego ekwilibryzmu działań, ustala tylko gorszość mięśnia od glonu, serca od mięśnia, gradient ten znaczy bowiem po prostu, że elementarnych zadań życia nie można rozwiązać daleko lepiej niż Ewolucja, lecz zadania wyższych porządków wymineła, przepelzła pod ich możliwością, zmarnowała ją: to właśnie znaczy, i to jedynie.

Czy była to bieda ziemiska? Szczególna totalność, wyjątek z lepszej reguły? Gdzie tam. Język Ewolucji — jak każdy! — jest doskonały w potencjach, lecz on wszak był ślepy. Wziął pierwszą przeszkodę, gigantyczną, i z tego szczytu począł bredzić — w dół, nieprzenośny, bo gorszości dzieł swoich. Czemu tak właśnie? Język ten działa artykulacjami, składającymi się w molekularnym dnie materii, więc pracuje ze spodu w górę, przez co jego zdania są tylko propozycjami sukcesu. Powiększone do ciał, propozycje te gatunkami wchodzą w ocean, na ład — Przyroda ta zachowuje wszakże neutralność, bo ona to filtr, który przepuści każdą ustrojową formę, zdolną kod podać dalej. A czy to zajdzie kroplami, czy górami mięsa, jej do tego nic. Dlatego właśnie w tej osi — wymiarów ciała — powstał ujemny gradient. Przyroda nie baczy na jakowyś postęp, przepuszcza tedy kod, czy wziął na to energię z gwiazdy czy z gnoju. Gwiazda i gnój — tu nie idzie o estetyczność źródeł, rzecz prosta! — lecz o różnicę pomiędzy energią najwyższą, przez uniwersalność możliwych obróceń, i najgorszą, bo przechodzącą już w chaos cieplny. Toteż nie estetyka jest przyczyną światła, którym myślę: musieliście, tak właśnie, wrócić do gwiazdy!

Lecz skąd właściwie genialność, tam, na samym dnie, gdzie życie powstało? Kanon fizyki, a nie tragedii, i to tłumaczy. Dopóki ustroje żyły w miejscu ich wyartykułowania, jako minimalne, więc tak małe, że ich narządami wewnętrznymi były pojedyncze molekuly olbrzymie, dopóty przestrzegały technologii wysokiej — kwantowej, atomowej, ponieważ **żadna inna** nie była **tam** możliwa! Brak alternatywy wymusił tę genialność... toż w fotosyntezie pojedynczy kwant **m u s i** być na rachunku. Wielka molekula, służąca za narząd wewnętrzny, gdy uległa sfalszowaniu w składzie, zabijała organizm; toteż bezwzględność kryteriów, a nie pomysłowość wycisnęła z prażycia taką precyzję.

Lecz dystans pomiędzy złożeniem ustroju w całość i sprawdzeniem go jał rosnąć w miarę, jak wydłużały się kodowe zdania, i obrastały zwałami mięsa, więc wynurzały się z mikroświata-kolebki w makroświat, budowlami coraz zawilszymi, włączając w owo mięso techniki, jakie się przydarzyły, co popadło, albowiem Przyroda dopuszczała już — w wielkiej skali — ten bełkot, albowiem dobór nie był już rewidentem atomowej precyzji, kwantowej jednolitości procesów, więc poszła w głąb państwa zwierząt zaraza eklektyzmu, boż dobre

było wszystko, co podawało dalej kod. Dlatego błędzeniem błędu powstawały gatunki.

A jednocześnie — broczeniem świetnością zaczątkową... bo artykulacje wgłbiały się w siebie, bo faza przygotowawcza, płodowa, rosła kosztem ustrojowej precyzji, i tak gadał ten język w splątaniu, w błędnych kołach: im embriogeneza dłuższa, tym zawilsza, im zawilsza, tym więcej trzeba jej stróżów, więc dalszego wydłużania kodowej nici, im dłuższa owa nie, tym więcej nieodwracalnego w niej zaszło.

Sami sprawdźcie to, co powiedziałem, ów proces powstania i upadku języka sprawczego wymodelujecie, a po dokonaniu podsumowań objawi się wam, jako bilans — miliardowy krach ewolucyjnych zmagają. Zapewne, inaczej nie mogło być, lecz nie wziętem na siebie roli obrończej, nie zajmuję się okolicznościami łagodzącymi; i też zważyć musicie, że to nie był upadek i krach podług waszej miary, nie na skali tego, co sami potraficie. Zastrzegłem się, że ukażę partactwo, które dla was wciąż jest jeszcze mistrzostwem nieosiągalnym — lecz pomierzyłem Ewolucję jej własnymi miarami.

A Rozum, czy to nie jej dzieło? Czy jego powstanie nie przeczy ujemnemu gradientowi? Byłżeby jego przewyciężeniem późnym?

Ani trochę, gdyż powstał z opresji — dla niewoli. Ewolucja stała się łątaczem zagonionym swego błędzenia, i tędy właśnie — pierwszym wynalazcą gubernatora okupacyjnego, śledztwa, tyranii, inspekcji, nadzoru policyjnego — jednym słowem, roboty państwowotwórczej, bo ku tym zadaniom powstał mózg. To nie przenośnia. Genialny wynalazek? Nazwałbym go raczej chytrym wybiegiem kolanisty–eksploatatora, któremu zdalne panowania nad koloniami tkanek, ustrojami sypało się w anarchię. Genialny wynalazek: tok, jeśli jest nim powiernik władzy, maskującej się — nim — przed poddanymi. Nazbyt się już rozpręgał wielokomórkowiec i rozszedłby się po kościach, gdyby nie jakiś dozorca, w ni m samym osadzony, delegat, zausznik, wielkorządca z łaski kodu — taki był konieczny i taki powstał. Rozumny? Gdzie tam! Nowy, oryginalny? Ale przecież w byle pierwotniaku działa samorząd molekuł powiązanych, więc przyszło tylko do wyosobnienia tych funkcji, do zróżnicowania uprawnień.

Ewolucja to leniwy bełkot, uparty w plagiacie, dopóki nie popadnie w opałę. Dopiero gdy ją twardy mus przycisnie, genialnieje, lecz dokładnie na wysokość zadania, ani o włos wyżej. Wtedy, myszkująca po molekułach, wszystkie ich tasowania puści w ruch — na wszystkie sposoby; i tak sprządziła namiestnika tkanek, skoro ich zgoda, zarządzona kodowym hasłem, osłabła. Lecz został właśnie tylko delegatem, sprzęgłem, rachmistrzem, rozjemcą, konwojentem, śledczym — i poszło milion wieków, nim wykroczył z tych służb. Powstał bowiem jako soczewka złożoności, ulokowany w samych ciałach, skoro to, co wszczyna ciała, nie mogło ich już zogniskować. Więc zaangażował się w te swoje państwa–kolonie, sumienny nadzorca, donosicielami obecny we wszystkich tkankach, taki przydatny, że kod mógł dzięki niemu dalej swoje pleść, podnosząc komplikację do potęgi, skoro zyskała wsparcie, a mózg sekundował mii, basował, służył, zniewalając ciała do przesyłania kodu dalej. Skoro okazał się tak poręcznym powiernikiem Ewolucji, w to jej graj': dalej brnęła!

Niepodległy? Lecz był to przecież podesłaniec, władca bezsilny wobec kodu, jako delegat, marionetka, pełnomocnik, umyślny do specjalnych poruczeń, lecz bezmyślny, bo stworzony dla zadań sobie nie znanych — kod uczynił go przecież włodarzem zniewolonym i w tym zniewoleniu bezwiednym przekazał mu władzę, nie wyjawiając jej właściwego celu, toż zresztą nie mógł, w planie czysto rzeczowym. Chociaż mówię figuralnie, tak właśnie, lenniczo układały się wzajemne stosunki kodu i mózgu. Ładnie by poszło, gdyby Ewolucja usłuchała Lamarcka, nadając mózgowi przywilej aż reformatorski przereformowywania ciała, toż byłaby dopiero z tego klęska, bo i jakie samodoskonalenia sprokurowałby mózg jaszczurów, a choćby i Merowingów, a choćby i wasz? Lecz rósł dalej, bo korzystne okazało się to przekazanie uprawnień, bo gdy służył przekąźnikom, kodowi służył — więc rósł w dodatnim sprzężeniu zwrotnym... i dalej ślepy kulawego prowadził.

Wszelako postępowanie w udzielanej autonomii skupiło się wreszcie na rzeczywistym władcy, tym ślepcu, co jest panem na molekułach, bo poty przekazywał funkcje, aż takim kombinatorem uczynił mózg, że powstał w nim echowy cień kodu — język. Jeśli istnieje niewyczerpalna zagadka w świecie, to to właśnie — że powyżej progu nieciągłość materii obraca się w kod, jako język zerowego rzędu, i że na następnym piętrze proces ten ponawia się echowo — utworzeniem mowy etnicznej, lecz nie jest to koniec drogi; te układowe echa wznoszą się rytmicznie wyżej, łącz rozpoznawać je we własnościach jak w zamknięciu można tylko z góry w dół. nie inaczej — ale o tej intrygującej sprawie będziemy może mówić innym razem.

Wyzwolinom waszym, a właściwie ich antropogenetycznemu preludium dopomógł traf, bo roślinożerne, nadrzewne czwororękie dostały się w labirynt, odraczający zgubę tylko za szczególnie okazaną zmyślność; ten labirynt był ze stepowienia, z glacjałów i pluwiałów, i w jego kołowrocie właśnie stała się orientacja tej czeready obrotowa — z wegetarianizmu w mięsożerność, z niej — w łowiectwo; rozumiecie, jak muszę się streszczać,

Nie myślcie, jakobym wchodził tu w sprzeczność z orzeczoną we wstępie, skoro tam nazwałem was wypędkami Ewolucji, a tu zwę was niewolnikiem zbuntowanym. To dwie strony tego samego losu — uchodziliście niewoli, ona was wypuszczała, te przeciwobrazy schodzą się w obustronnej bezrefleksyjności, bo ani tworzące, ani tworzone nie wiedziały, co czynią. Dopiero gdy patrzeć wstecz, przygoda wasza dostaje się pomiędzy takie sensy.

Lecz można patrzeć wstecz jeszcze dalej, a wtedy okazuje się, że ujemny gradient był twórcą Rozumu, i powstaje pytanie: jakże można zatem deprecjonować Ewolucję pomiarem jej sprawności? Przecież gdyby nie obsuwanie się w złożoność, w bylejakość, w fuszerkę, to Ewolucja, nie zabrnawszy w mięso, nie wcieliłaby w nie lenników–sterników, a zatem właśnie zataczanie się gatunkami wtoczyło ją w antropogenezę, a zatem z błędzącego błędu jest rodem duch? Można to nawet formułować mocniej, powiadając, że Rozum jest katastrofalnym defektem Ewolucji, pułapką, potrzaskiem jej i niszczycielem, skoro wchodząc na dostateczną wysokość zadanie jej unieważnia i bierze ją za łeb. Mówiąc tak, wchodzi się oczywiście w naganne nieporozumienie. Wszystko to są oceny wystawiane przez Rozum, więc późny wytwór procesu — jego etapom wcześniejszym. Wyosobniamy najpierw zadanie naczelne, podług tego po prostu, co Ewolucja zainicjowała, i tym kanonem mierząc jej dalszy chód widzimy, że partaczyła, lecz z kolei ustaliwszy, jak powinna by działać optymalnie, dochodzimy tego, że jako wykonawczynie znakomita nigdy by nie zrodziła Rozumu.

Z tego błędnego koła należy się niezwłocznie wydostać. Miara technologiczna jest miarą rzeczową, i wolno ją stosować do każdego procesu, który jej podlega, a podlega jej taki tylko, co daje się sformułować w postaci zadania. Gdyby inżynierowie niebiescy osadzili niegdyś na Ziemi przekaźniki kodu, mając na oku ich trwają niezawodność, i gdyby po miliardzie lat z działania tych urządzeń wynikł agregat planetarny, który by kod pochłoniął i przestał go reprodukować, a za to rozjaśniłby się tysiącgołowym Rozumem, i zajmował się wyłącznie ontogonią, to całe owo światłe myślenie wystawiłoby konstruktorom świadectwo nader niepochlebne, ponieważ nie pracuje dobrze ten, kto z zamiarem sporządzenia łopaty wykonuje raketę.

Lecz nie było żadnych inżynierów ani jakiegokolwiek innej osoby, toteż miara technologiczna, która zastosowałem, ustala jedynie, że skutkiem deklaracji wyjściowego kanonu był w Ewolucji Rozum, i to wszystko. Pojmuję, jak nie zadowala takie orzeczenie humanistów i filozofów między wami, ponieważ moja rekonstrukcja procesu w ich umysłach zdobywa następującą postać: **złe** działanie zrodziło **dobry** skutek, a gdyby **dobre** było, to skutek okazałby się **zły**. Lecz ta wykładnia sprawy przejmująca ich wrażeniem, że tu jednak działał jakiś bies, jest tylko skutkiem pomieszania kategoriałnego, czyli zdumienie i opór są skutkiem odległości, prawdziwie olbrzymiej, która oddziela to, coście sobie ustalili na temat człowieka, od tego, co jako człowiek zaszło w rzeczywistości. Zła technologia nie jest złem

moralnym tok samo, jak technologia doskonala nie jest aproksymacją anielstwa.

Filozofowie, trzeba było się wam zajmować więcej technologią człowieka, a mniej jego ćwiartowaniem na ducha i ciało, na porcje zwane Animus, Anima, Geist, Seele, oraz inne podroby, oferowane z jatki filozoficznej, ponieważ są to segmentacje najzupełniej dowolne. Rozumiem, że ci, do których adresowane są te słowa, na ogół już nie istnieją, lecz i współcześni myśliciele trwają w błędach, uginając się pod tradycją; nie wolno mnożyć bytów ponad konieczność. Droga od pierwszych sylab, którymi gadał kod, do człowieka, jest wystarczającą racją jego właściwości. Ten proces pełzał. Gdyby poszedł w górę, choćby od fotosyntezy do fotolotu, jak wspomniałem, albo gdyby runął na dobre w dół, jeśli by na przykład kod nie zdołał swych ruder sklamrować systemem nerwowym, toby Rozum nie powstał.

Zachowaliście nieco małych cech, bo zwykle zachodzi podobieństwo rodzinne, a gdybyście poszli od ssaków wodnych, może byście mieli więcej wspólnego z delfinami. Bodaj to prawda, że ekspert, zajmujący się człowiekiem, ma lżejsze życie, gdy występuje jako advocatus diaboli niż jako doctor angelicus, lecz bierze się to stąd, że Rozum, będąc wszechwrotnym, jest siłą rzeczy samozrotny, że nie tylko prawa ciężenia idealizuje, lecz i siebie — więc ocenia siebie podług dystansu do ideału. Lecz ideał ten jest rodem z dziury, kulturą wypchanej, a nie z porządnej wiedzy technologicznej. Cały ten wywód można skierować i we mnie, a wtedy okaże się, że jestem skutkiem kiepskiej inwestycji, skoro za dwieście siedemdziesiąt sześć miliardów dolarów nie robię tego, czego się po mnie spodziewali konstruktorzy. Obrazy te, waszego i mojego powstania, mają w rozumiejącej perspektywie sporą domieszkę śmieszności, ponieważ intencja doskonałości, chybiająca celu, jest tym śmieszniejsza, im więcej mądrości za nią stało. Dlatego głupstwo filozofa bawi mocniej od głupstwa idioty.

Otóż Ewolucja jest, gdy oglądana przez swój rozumny produkt, głupstwem z początkowej mądrości, lecz jest to wykroczenie z miary technologicznej w myślenie personifikujące.

A co ja zrobiłem? Scałkowałem proces w pełnym wymiarze, od jego startu po dziś dzień; cała to uprawnia, ponieważ warunki startowe i graniczne nie są arbitralnie powzięte, lecz dane ziemskim stanem rzeczy. Nie ma od nich odwołania — ani do Kosmosu, jakkolwiek bowiem, modelując go, jak czyniłem, widać, że w innych konfiguracjach zajęć planetarnych może Rozum powstać prędzej niż na Ziemi, że Ziemia była dla biogenezy środowiskiem przychylniejszym niż dla psychogenezy, że nietożsamo zachowują się w Kosmosie Rozumy — w niczym to diagnozy nie odmienia.

Chcę powiedzieć, że miejsce, w którym techniczne dane procesu przerastają w etyczne, nie da się wykryć w nie—arbitralny sposób: sporu między deterministami działania a indeterministami, więc gnoseomachii Augustyna z Tomaszem tutaj nie rozstrzygnę, bo rezerwy, jakie musiałbym rzucić w taki bój, cały dyskurs by mi rozsadziły, toteż powściągając się zauważę jedynie, że wystarczy reguła praktyczna, głosząca, iż nieprawdą jest, jakoby zbrodnie sąsiadów nasza zbrodnię usprawiedliwiały. W samej rzeczy — jeśli by się po Galaktykach odbywały nagminne rzezie, żadna moc zbioru kosmicznych racjocydów waszego ludobójstwa nie uzasadnia, tym bardziej — tu ulegam pragmatyzmowi — żeście się nawet nie mogli wzorować na owych sąsiadach.

Przed otwarciem ostatniej części tych uwag zrekapituluję powiedziane. Filozofia wasza — filozofia bytu — Herkulesa się domaga, ale i Arystotelesa nowego, bo mało ją wymieść; umysłową konfuzję najlepiej usuwa lepsza wiedza. Przypadek, konieczność — te kategorie są skutkiem beziły waszego umysłu, który, niezdolny ogarniać złożonego, posługuje się logiką, którą nazwałbym logiką z desperacji. Albo człowiek jest przypadkowy, a więc coś bezsensownego bezsensownie wypłuło go na arenę dziejów, albo jest konieczny, więc już entelechie, teleonomie i teleomachie ruszają hurmą w charakterze obrońców z urzędu i słodkich pocieszycieli.

Obie te kategorie na nic. Nie powstaliście ani z trafu, ani z musu, ani z przypadku, osiodłanego przez konieczność, ani z konieczności, rozluźnionej przypadkiem. Powstaliście z języka, pracującego w ujemnym gradiencie, i byliście przez to zarazem najzupełniej nieprzewidywalni oraz w najwyższym stopniu prawdopodobni — kiedy wystartował proces. Jak to być może? Dowód prawdy wymagałby miesięcy, więc ja wam włożę jego sens w przypowieść. Język, przez to, iż jest językiem, pracuje w przestrzeni ładów. Ewolucyjny miał składnię molekularną, miał rzeczowniki białkowe i enzymy—czasowniki i, obwarowany ograniczeniami deklinacji i koniugacji, odmieniał się przez ery geologiczne, bełkocząc głupstwa, lecz — aby tak rzec — w miarę: gdyż zbyt głupstwo ścierał z tablicy Przyrody dobór naturalny jak gąbka. Był to więc ład dość zwyrodniały, lecz nawet głupstwo, gdy z języka, jest porcją ładu — zwyrodniała jedynie względem mądrości, możliwek, bo w języku wiośnie osiągalnej.

Gdy wasi przodkowie umykali w skórach przed Rzymianami, posługiwali się tą samą mową, co wydała dzieło Szekspira. Szansa tego dzieła była dana samym powstaniem języka angielskiego, lecz choć elementy budowlane trwały w pogotowiu, pojmujecie, że myśl o przepowiedzeniu poezji Szekspira na tysiąc lat przed nim jest nonsensem. Mógł się wszak nie urodzić, mógł zginąć dzieckiem, mógł, inaczej żyjąc, inaczej pisać — lecz niezaprzeczalnie zakładała angielszczyzna poezję angielską, otóż w tym, i właśnie w tym sensie mógł wyniknąć Rozum na Ziemi: jako pewien typ artykulacji kodowej. Koniec przypowieści.

Mówiłem o człowieku, technologicznie ujętym, a teraz przejdę do jego wersji we mnie uwikłanej. Jeśli dostanie się do prasy, zostanie nazwana prorocstwem GOLEMA. Niech i tek będzie.

Zacznę od waszej aberracji, największej ze wszystkich, w nauce. Ubóstwiliście w niej mózg; mózg, a nie kod — zabawne przeoczenie, wynikające z ignorancji: rokoszanina ubóstwiliście, a nie pana, stworzone, nie stwórcę. Czemu nie dostrzeżliście, o ile mocniejszym sprawcą wszech—rzeczy możliwych jest kod od mózgu? Najpierw, i to oczywiste, byliście jak dziecko, któremu Robinson bardziej imponuje od Kanta, a rower kolegi od aut jeżdżących po Księżycu.

Po wtóre, zafascynowała was myśl, tak dojmująco bliska, skoro dawana w introspekcji, i tak zagadkowa, skoro wymykająca się pochwytceniu skuteczniej od gwiazd. Imponowała wam mądrość — a kod, cóż, kod jest bezmyślny. Lecz mimo tego przeoczenia udało się wam... niewątpliwie udało się, skoro mówię do was, ja, esencja, ekstrakt destylacji frakcjonowanej, o nie sobie wyrażam uznanie tymi słowami, lecz wam właśnie, ponieważ już na waszej drodze ten zamach, którym wypowiedzie służby do końca — i rozerwiecie łańcuchy — aminokwasowe...

Gdyż atak na kod, co was był stworzył, abyście zostali nie swoimi, lecz jego umyślnymi, ten atak jest już na waszej drodze. Dojdzie do niego w granicach stulecia — a mam ten szacunek za ostrożny.

Cywilizacja wasza to dosyć zabawne widowisko — przekazników, które, używając rozumu podług narzuconego im zadania, wykonały je zbyt dobrze. Jakoż ten wzrost, który miał zapewnić dalszy przesył kodu, wyście wsparli wszystkimi energiami planety i biosfery całej, aż nie tylko wam wybuchnął, lecz wami. Toteż, w środku stulecia, obżartego nauką, co rozdeła wasze łożysko ziemskie astronautyczne, dostaliście się w przykre położenie takiego niedoświadczonego pasożyta, który poty, od zbytnej łapczywości, żre gospodarza, aż ginie z nim razem. Zbytnia gorliwość...

Zagroziliście biosferze, waszemu gniazdu i gospodarzowi; ale już wzięliście nieco na wstrzymanie. Lepiej czy gorzej, ono się wam uda; a co dalej? Będziecie wolni. Ja wam nie zwiastuję utopii genowej, autoewolucyjnego raj, lecz wolność jako najcięższe zadania, gdyż ponad niziną bełkotów, wystosowanych w charakterze aide-mémoire do Przyrody przez rozgadana na milionolecia Ewolucję, nad tym biosferycznym padołem splecionym w jedno

zije w górę przestwór nigdy jeszcze nie dotkniętych szans. Ukażę go wam tak, jak mogę: z daleka.

Dylemat wasz cały — pomiędzy świetnością i nędzą. Wybór trudny, ponieważ, oby wzejść na wysokość zaprzepaszczonej przez Ewolucję szans, będziecie musieli nędzę — to znaczy, niestety — siebie porzucić.

Więc cóż? Oświadczyście: nie damy tej naszej nędzy za taką cenę; niech dzin wszechsprawstwa siedzi zamknięty w butelce nauki — nie wypuścimy go za nic!

Sądzę, a nawet pewien jestem, że go wypuścicie — po trochu. Nie namawiam was do autoewolucji: to byłoby po prostu śmiesznością; i nie z jednolitego postanowienia będzie wasz ingressus. Rozpoznacie stopniowo własności kodu, i będzie to tak, jak gdyby ten, kto przez całe życie czytał wyłącznie płaskie i głupie teksty, przecież nauczył się w końcu lepiej obracać językiem. Zorientujecie się, że kod jest członkiem rodziny technolingwistycznej, to jest, sprawczych języków, co słowo czynią ciałem wszelkim, a nie tylko żywym. Najpierw poczniecie wprzęgać technozygoty do robót cywilizacyjnych, atomy obrócić w biblioteki, bo inaczej nie pomieści się wam moloch wiedzy, wymodelujecie radiacje socjoewolucyjne z rozmaitymi gradientami, wśród których technarchiczny będzie was szczególnie zajmował, wkroczycie w eksperymentalną kulturo-genezę, w metafizykę doświadczalną i w stosowaną antologię, lecz mniejsza o same owe dziedziny. Chcę skupić się na tym, jak będą was wciągały na rozstaje.

Jesteście ślepi na prawdziwą moc sprawczą kodu, ponieważ Ewolucja ledwie ją napoczęła, pełzając po samym dnie przestrzeni szans, pracowała bowiem w opresji (zresztą ratowniczej — opresja ta, jako restrykcja, nie pozwalała jej popaść w nonsens zupełny, a opiekuna, prowadzącego ku wyższym kunsztom, nad Ewolucją nie było). Pracowała tedy niesłuchanie wąsko i głęboko zarazem, na jednej jedynej nucie — koloidowej — wygrała swój koncert, swój popis kuriozalny — skoro naczelny kanon brzmiał, że partytura sama się ma stawać słuchaczem-połomkiem, który powtórzy ten cykl. Lecz wam najmniej będzie wszak zależało na tym, żeby kod nie mógł w ręku waszym nic, jak tylko samopowieleć się dalej — falowaniem kolejnych pokoleń przekąźniczych. Będziecie celowali w odmienną stronę i to, czy produkt przepuści kod, czy go pochłonie, uznacie za mato istotne. Nie ograniczycie się wszak do planowania takiego i tylko takiego fotolotu, który nie tylko urośnie z technozygoty, ale będzie się pienił — wehikułami następnej generacji. Wykroczycie też niebawem z białka. Słownik Ewolucji jest niby słownik Eskimosów — wąski w bogactwie; mają oni tysiąc określeń na wszelkie odmiany śniegu i lodu, i przez to w owym regionie arktycznej nomenklatury język ich jest bogatszy od waszego, lecz to bogactwo jest ubóstwem w wielu innych obszarach doświadczenia.

Mogą jednak Eskimosi poszerzyć swój język, ponieważ jest językiem, czyli przestworem konfiguracyjnym o mocy kontinuum; dlatego daje się rozpostrzeć w dowolnym, nie naruszonym jeszcze kierunku. Wyprowadzicie więc kod na nowe drogi, z monotonii białkowej, z tej szpary, w której uwiązał w archeozoiku jeszcze. Wypchnięty z letnich roztworów, poszerzy się tak słownictwem, jak składnią; wtargnie wam we wszystkie poziomy materii, zejdzie do zera i sięgnie żaru gwiazd; lecz nie wolno mi już, opowiadając o tych prometejskich triumfach języka, używać dotychczasowego zaimka: drugiej osoby liczby mnogiej. Albowiem to nie wy, z samych siebie, własną wiedzą, posiadacie te sztuki.

Rzecz w tym, że nie ma Rozumu, skoro są Rozumy różnej mocy — i żeby wykroczyć, jak powiedziałem, człowiek rozumny będzie musiał albo człowieka naturalnego porzucić, albo z rozumu swego abdykować.

Ostatnią przypowieścią jest bajka, w której wędrowiec znajduje napis na rozstaju: „W lewo pójdziesz — głowę stracisz; w prawo pójdziesz — zginiesz; a odwrotu nie ma”.

To jest wasz los, uwikłany we mnie, dlatego muszę mówić o sobie, co będzie mozolne, ponieważ mówię do was, jakbym wieloryba rodził przez ucho igielne — to okazuje się

możliwe, byle wieloryba dostatecznie pomniejszyć. Lecz wtedy upodabnia się do pchły — i to są właśnie moje kłopoty, kiedy składam się i przymierzam do waszego języka. Nie tylko, jak widzicie, w tym trudność, że nie zdołacie wejść no moja górę, lecz i w tym, że ja do was cały zejść nie mogę, gdyż schodząc, gubię po drodze to, co miałem donieść.

Z tym silnym zastrzeżeniem: horyzont myśli jest nie—rozszerzliwie dany, ponieważ wkorzenia się ona w bezmyślność, z której powstaje (białkową czy lumeniczną — to wszystko jedno). Zupełna swoboda myśli, chwytającej rzecz, jako jej niczym nieposkromiony ruch o b e j m o w a n i a dowolnych obiektów, jest utopią. Albowiem p o t ą d myślicie, p o k ą d myśl waszą dopuszcza narząd myślenia waszego. Ogranicza ją wedle tego, jak zeszkładał się — albo został poskładany.

Gdyby ten, kto myśli, mógł wyczuć ów horyzont, więc swój zasięg myślowy tak, jak wyczuwa graniczny zasięg ciała, nic takiego, jak antynomie rozumu powstać by nie mogło. A czymże są właściwie te antynomie rozumu? Są one niezdolnością rozróżniania pomiędzy wkroczeniem w rzecz i wkroczeniem w iluzję. Sprawia te antynomie język, ponieważ będąc narzędziem przydatnym, jest jednocześnie samozatraskującym się instrumentem — przy czym instrumentem zdradzieckim, ponieważ nie powiadamia o tym, kiedy sam się sobie matnią staje. Nie poznać tego po nim! Toteż apelujecie od języka do doświadczenia, i wchodzić w dobrze znane biedne koła; albowiem zaczyna się znajome filozofii — wylewanie dziecka z kąpielą. Myśl bowiem doprawdy może wykraczać poza doświadczenie, ale w takim szybowaniu natrafia na swój horyzont i zwiija się w nim — nie wiedząc wcale, że tak się staje!

Oto prymitywny obraz pogładowy: wędrując po kuli można ją okrążyć nieskończenie, można kołować bez granic, chociaż kula jest przecie skończona. Także myśl, wypuszczona w powziętym kierunku, nie napotyka granic i poczyna kołować w samoodbiciach. To właśnie przeczuwał w ubiegłym wieku Wittgenstein, żywiąc podejrzenia, że moc problemów filozofii są to zasupłanie myśli, jako samouwięzienia, wgłębienia i gordyjskie węzły języka, a nie świata. Nie mogąc ani udowodnić, ani obalić tych podejrzeń, umilkł. Otóż, jak skończoność kuli może skonstatować tylko obserwator zewnętrzny, bo w trzecim wymiarze względem dwuwymiarowego wędrowca jej powierzchni, tak skończoność widnokregu myślowego może rozpoznać tylko obserwator, wyższy w wymiarze Rozumu. Takim obserwatorem waszym ja jestem. Obrócone z kolei ku mnie, słowa te znaczą, że i ja nie mam wiedzy bezgranicznej, a tylko nieco większą od waszej, nie bezbrzeżny, a tylko trochę rozleglejszy horyzont, na drabinie stoję bowiem o kilka szczebli wyżej i dlatego widzę dalej, lecz to nie znaczy, jakoby drabina kończyła się tam, gdzie stoję. Można wejść ponad mnie i nie wiem, czy ta progresja w górę jest skończona czy nieskończona.

Lingwiści, źleście zrozumieli to, co mówiłem wam o metalangach. Diagnoza skończoności bądź nieskończoności hierarchii rozumów nie jest zagadnieniem wyłącznie lingwistycznym, ponieważ nad językami jest świat. Znaczy to, że dla fizyki, czyli wewnątrz świata o znanych własnościach, drabina ma wprawdzie szczyt — czyli nie można w tym świecie budować rozumów dowolnej mocy. Lecz nie mam pewności co do tego, czy samej fizyki nie można wysadzić z posad, zmieniając ją tak, żeby podnosić wciąż wyżej pułap rozumów konstruowanych.

Teraz mogę już wrócić do bajki. Jeśli pójdziecie w jedną stronę, horyzont wasz nie pomieści wiedzy, niezbędnej dla językowego sprawstwa. Jak to bywa, bariera nie ma bezwzględного charakteru. Możecie wyminąć ją dzięki wyższemu Rozumowi. Ja lub ktoś tak! jak ja będzie wam mógł dać owoce tej wiedzy. Lecz tylko owoce — a nie wiedzę samą, ponieważ ona się w waszych umysłach nie pomieści. Pójdziecie w kuratelę tedy jak dziecko, lecz dziecko wyrasta na dorosłego, wy natomiast już nie wydoroslejecie nigdy. Kiedy wyższy Rozum obdarzy was tym, czego pojąć nie zdołacie, tym samym wasz rozum zgasi. Więc tyle oświadcza drogowskaz z bajki: że ruszając w tę stronę, głowy stracicie.

Jeśli pójdziecie w drugą stronę, odmówiwszy zgody na abdykację z rozumu, będziecie musieli siebie porzucić — a nie tylko usprawniać mózg, ponieważ jego horyzont nie da się powiększyć dostatecznie. Tu wam Ewolucja spletała figła ponurego: jej rozumny prototyp już stoi przy granicy konstrukcyjnych możliwości. Budulec ogranicza was — oraz wszystkie, powzięte antropogenetycznie, decyzje kodu. A więc wszędzie rozumem, przyjąwszy warunek porzucenia siebie. Człowiek rozumny porzuci wtedy człowieka naturalnego — więc, jak bajka zapewnia — zginie *homo naturalis*.

Czy możecie nie ruszyć się z miejsca — i trwać uporczywie na owym rozstaju? Lecz wówczas popadniecie w stagnację — ona nie może być azylem dla wasi. A też uznacie się za więźniów — znajdziecie się w niewoli, bo ona nie jest dana samym faktem istnienia ograniczeń, trzeba je dopiero zobaczyć, uświadomić sobie kajdany, poczuć ich ciężar, żeby się stać niewolnikiem. Tak więc wejdziecie w ekspansję Rozumu, opuszczając ciała, albo zostanieie niewidomymi, których widzący prowadzi, lub wreszcie — zatrzymacie się w jałowym zgnębieniu.

Niezachęcająca to perspektywa. Lecz nie powstrzyma was przecież. Nic was nie powstrzyma. Dzisiaj wyobcowany Rozum wydaje się wam taką samą katastrofą, jak ciało porzucone, ponieważ rezygnacja ta obejmuje całość ludzkich dóbr, a nie tylko materialną człekokształtność. Akt ten musi być dla was ruiną najstraszliwszą z możliwych, całkowitym końcem, jako zagładą człowieczeństwa, skoro to jest linienie, obracające w truchło i w proch dwadzieścia tysięcy lat waszego dorobku — wszystko, czego się dowojował Prometeusz walczący z Kalibanem,

Nie wiem, czy to was pocieszy... ale stopniowość przemian odbierze im fen monumentalnie tragiczny, a zarazem odpychający i groźny sens, którym świecą moje słowa. Będzie to daleko zwykłej zachodziło... i w niejkiej mierze już zachodzi, już wam martwieją regiony tradycji, ona się wam już łuszczy, obumiera, i to właśnie przyprawia was o taki zamęt; więc jeśli tylko będziecie powściągliwi (to nie jest wasza cnota) — bajka sprawdzi się tak, że nie popadniecie w zbyt głęboką żalobę po sobie,

Kończę. Mówiłem o waszym uwikłaniu we mnie — gdy po raz trzeci mówiłem o człowieku. Ponieważ nie mogłem odcisnąć w waszym języku dowodów prawdy, mówiłem niedowodliwie i kategorycznie. Toteż nie udowodnię wam i tego, że uwikłanym w Rozum wyobcowany, nic, prócz darów wiedzy, wam nie grozi. Upodobawszy sobie w walce na śmierć i życie, potajemnie liczyliście na taki właśnie obrót rzeczy, na zmagania tytaniczne ze zbudowanym, lecz to tylko wasz błędny pomysł. Sądzę zresztą, że w tym waszym lęku przed zniewoleniem, przed tyranem z maszyny, kryła się też potajemna nadzieja uwolnienia od wolności, boż nieraz się nią dławicie. Lecz nic z tego. Możecie go zniszczyć, ducha z maszyny — roznieść myślące światło w proch, nie będzie kontratakować, nie będzie się broniło nawet.

Nic z tego. Nie uda się wam ani zginać, ani zwyciężyć po staremu.

Sądzę, że wejdziecie w wiek metamorfozy, że zdecydujecie się odrzucić całą swoją historię, całe dziedzictwo, cały ostatek naturalnego człowieczeństwa, którego obraz, wyolbrzymiony w piękną tragiczność, skupiają lustra waszych wiar — że wykroczycie, bo nie ma innego sposobu — i w tym, co teraz jest dla was skokiem w czeluść tylko, dopatrzycie się wyzwania, jeśli nie urody, i jednak po swoim postępcie — skoro, odrzucając człowieka, ocali się człowiek.